

TWARDA WALKA O WOLNOŚĆ SŁOWA



Wojna „Wyborczej” z Agorą
– Ziemkiewicz arbitrem



Prof. Andrzej Nowak
stanowczo odpowiada
swoim polemistom

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 26/431 28 CZERWCA–4 LIPCA 2021



„DO RZECZY” NA WAKACJE:
JACEK KOMUDA OPROWADZA
PO 10 NAJWSPANIALSZYCH
ZAMKACH POLSKI
– NA POČĄTEK KRASICZYN

„Kontrrrewolucja” – fragment
nowej książki Lisickiego

ŚLEDZTWO W SPRAWIE POMYSŁÓW ŚWIATOWEJ ORGANIZACJI ZDROWIA

Szczepionkowy łąd według WHO



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 57,2 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 73413d5b6b



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VI EDYCJA NAGRODY

JUŻ W GRUDNIU



SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS:



eprasa.pl 73413d5b6b



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

A jednak rozczarowanie?

Kiedy na początku maja premier Mateusz Morawiecki i prezes Jarosław Kaczyński zaprezentowali hucznie i z przytupem program rozwoju polskiej gospodarki, nazwany skromnie Polskim Ładem (z wcześniejszej nazwy – Nowy Ład – partia rządząca w porę się wycofała), sądziłem, że jest to cios w sensie politycznym miażdżący. Na pozór wszystko na to wskazywało. Doskonale retorycznie przygotowane wystąpienia (choć złośliwcy mówili, że prezes przemawiał za długo, a premier powtarzał jedynie to, co przedtem powiedział szeregowy wicepremier), sprytnie zbudowane hasła, wreszcie socjotechnicznie przemyślany program walki z „bogaczami”, którzy mieli zapłacić solidarnie za wzrost wydatków na służbę zdrowia – to powinno się udać. Tym bardziej że dla wypromowania nowego otwarcia PiS użył wszystkich dostępnych propagandowych środków. Ogłoszenie Polskiego Ładu powinno zatem przynieść wzrost poparcia dla rządzących do, jak mniemałem, co najmniej 40 proc. i tym samym zapewnić kolejne zwycięstwo wyborcze. Szczególnie jeśli dodać do tego katastrofalną sytuację opozycji.

Tymczasem miesiąc po wielkim bum efekty są dość mizerne. I nie mam tu na myśli tylko utraty sejmowej większości: w piątek przynajmniej jeden z posłów, którzy odeszli z partii, jako przyczynę wymieniał właśnie niezgodę na Polski Ład. Gorzej, że poparcie dla PiS pozostało na poziomie nie wyższym niż 35 proc. Na spokojny sen to nie pozwala. Do tego dochodzi dość powszechne poczucie rozczarowania propozycjami. I nie są to tylko opinie krytyków. Otóż według ostatniego sondażu CBOS – pracowni, którą trudno posądzić o wrogość do rządzących – 30 proc. Polaków uważa, że straci na zmianach podatkowych proponowanych w Polskim Ładzie. To wyniki, które powinny dać do myślenia. Tym bardziej że o programie usłyszało 71 proc. obywateli, a co piąty dorosły interesował się propozycjami zwartymi w programie i poszukiwał informacji na ten temat. Nie można zatem powiedzieć, że ludzie nie wiedzą, o czym mówią, i że propozycje PiS do nich nie dotarły. Dotarły, tyle że ich nie porwały.

Skąd bierze się ta różnica między odbiorem społecznym a wielkimi nadziejami, jakie PiS pokłada w Polskim Ładzie? O tych drugich najlepiej świadczą wypowiedzi samego prezesa Kaczyńskiego, który obecnie obejżdża Polskę, wszędzie głosząc dobrą nowinę o tym, że już wkrótce w Polsce będzie jak na Zachodzie i że do 2030 r., „jeżeli chodzi o dochód na głowę liczony w sile nabywczej, czyli realny dochód na głowę, Polska dogoni Europę”. Tym, co w największym stopniu powinno przynieść PiS poparcie, jak wynika z wypowiedzi polityków, ma być wzrost wydatków na służbę zdrowia – w 2023 r. ma to być 6 proc. PKB, a zaraz potem 7 proc., czyli „krótko mówiąc, dużo, dużo więcej, niż mamy w tej chwili”.

Najwyraźniej obietnice te są przyjmowane ze sceptycyzmem.

Powodów może być kilka. Być może, gdyby Polski Ład się ograniczył, tak jak to było w przypadku „500+”, do jednego prostego, pozytywnego dla wszystkich przekazu, np. do hasła „kwota wolna od opodatkowania do 30 tys.”, efekty byłyby inne. Jednak stało się inaczej. Choć sam pomysł walki z bogaczami brzmi zręcznie, odwołuje się bowiem do mechanizmu zawiści, to wydaje się, że prezes i premier nieco za nisko zawiesili poprzeczkę bogactwa. Z różnych wypowiedzi wynika, że tą granicą ma być 10 tys. zł brutto na pracownika miesięcznie, co może powodować dość powszechny niepokój. Z tego, co mówił premier Morawiecki, można bowiem wyciągnąć wniosek, że poza tą granicą zaczyna się już strefa bogactwa i luksusu. To przekaz, który zamiast mobilizować „biednych”, raczej odpycha „średnich” i powoduje bunt wśród ludzi przedsiębiorczych i zaradnych. Tak samo nie wiadomo, w jaki sposób pogodzić twierdzenie o bogactwie od 10 tys. zł miesięcznie z obietnicami, że w Polsce „będzie jak na Zachodzie”. Owa suma, czyli nieco więcej niż 2 tys. euro miesięcznie, nie jest przecież wyróżnikiem zachodniej klasy średniej.

Wreszcie można mieć wątpliwości, czy elektorat PiS faktycznie uważa, że większe wydatki na służbę zdrowia oznaczają lepszą służbę zdrowia. I czy należy podnieść z tego powodu podatki bogatym, cokolwiek by to znaczyło. PiS pomysł ten uzasadnia, odwołując się do zagrożenia pandemią. Nie wydaje się, że w podobnym stopniu postrzega grozę elektorat partii rządzącej. Zapewne nastroje społeczne i przekonania kierownictwa politycznego w tym punkcie się rozmiągają. Wygląda na to, że Polski Ład znalazł się w poważnych opałach. ©©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

14 WOJCIECH GOŁONKA
NADCHODZI GLOBALNY SANITARYZM
WHO chce rządzić światem?

18 WOJCIECH GOŁONKA
CIEMNE CHMURY NAD EKSPERTEM

KRAJ

20 KAMILA BARANOWSKA
LICZENIE SZABEL
Rugowanie Gowina

22 ŁUKASZ WARZECHA
POLSKA NA HULAJNODZE

24 TOMASZ ROWIŃSKI
ALIU KARCĄCY

26 ROZMOWA Z ANNĄ MARIĄ SIARKOWSKĄ
DZIECI NIE SĄ ŻYWYMI TARCZAMI

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ETOS ZROBIŁ SVOJE, ETOS MOŻE ODEJŚĆ

30 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI”
PODZIEMNY LUBLIN, PODZIEMNY GDAŃSK

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
POTWORY I LUDZIE
Nowe kinowe produkcje Disneya

NIE PRZEGAP

34 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 PAWEŁ LISICKI
BYLIŚMY TACY NAIWNI
Dlaczego neomarksści zwyciężają

50 JAN PARYS
NIE CZAS NA KAKOFONIE

HISTORIA



52 SEBASTIAN LIGARSKI
„BUNT ZAWIEDZIONYCH NADZIEI”
Echa powstania czerwcowego 1956 r.

ŚWIAT

56 PIOTR WŁOCZYK
SZCZEPIONKOWE SZPIONY
„From Russia with Love”

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
RODZINA DYKTATORA

EKONOMIA

64 TOMASZ CUKIERNIK
POLSKA ULGOWICZÓW
Dlaczego tak komplikujemy prawo?

68 JAKUB WOZINSKI
KOPALNIA PROBLEMÓW

„DO RZECZY” NA WAKACJE

72 JACEK KOMUDA
**DIABEŁ
W KRASICZYŃ**
10 najwspanialszych zamków Polski

74 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
APLIKACJE NA LATO

SPORT

76 ŁUKASZ ZBORALSKI
**SOSA MUSI
ZOSTAĆ?**
Co po Euro 2020



FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (8), GMYZ, GOCIEK (11), ZYCHOWICZ, KOPER (54), PRZYBYLSKI (58), GABRYEL, WARZECHA (70), KARWELIS (79), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojanczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela),
Tomasz Łukernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda,
Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska,
Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkos, Tomasz Rowiński,
Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak,
Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Toraniński,
Szewach Weiss, Piotr Woźnyk, Marcin Wolski, Małgorzata Woźnyk,
Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel**
(zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także
Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzry, Marcin Bugaj, Damian**
Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Dzianicki

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Zdzisław Krystofa**
Okładka: **ADOBESTOCK**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, p.pech@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż): **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829

Nakład 572 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy, aby korespondencję
elektroniczną kierować na adres:
listy@dorzeczy.pl.

„Szansa liberalnych nacjonalistów”, Jan Fiedorczuk, „DRz” 24/2021

*Dziwi mnie tytuł (i też w tekście)
„Szansa liberalnych nacjonalistów”
Jana Fiedorczuka. Chodzi mi o termin
„nacjonalisci”. Z tego, co wiem, to
opisywane w artykule środowiska
narodowe (część Koła Poselskiego
Konfederacja) nigdy nie uznawały
terminu „nacjonalisci”. W polskiej
tradycji historycznej, jak i obecnie,
mówi się o nacjonalistach: litewskich,
ukraińskich czy baskijskich (nie jest
to raczej określenie nazbyt życzliwe),
natomiast w Polsce o rodzimym ruchu
walki o prawa i racje Polaków zawsze
mówiło się „narodowcy” (np. Narodowa
Demokracja Romana Dmowskiego).*

*Autor tekstu strzelił, jak to się mówi,
kulą w płot, z użyciem nieadekwatnego
tu określenia. Ciekawe notabene, że jakoś
nie przyjęło się o partii hitlerowskiej
mówienie „socjaliści”, choć była to
przecież Narodowosocjalistyczna
Niemiecka Partia Robotników. I uparcie
(i wbrew wszelkim faktom) określając
tzw. nazistów (odłam socjalistów!) jako
„skrajną prawicę” czy faszystów (ci
ostatni, z Włoch, też zresztą byli częścią
lewactwa).*

*Jak długo jeszcze w Polsce na „białe”
będzie się mówić „czarne” i odwrotnie?!*

Pozdrawiam

Grzegorz Szulc

Od autora

Szanowny Panie,
przedwojenna endecja
była ugrupowaniem stricte
nacjonalistycznym – potwierdzi to
każdy historyk idei, można o tym
przeczytać w setkach prac naukowych.
Liderzy Konfederacji wielokrotnie
odwoływali się do tego dziedzictwa.
Przed wszystkim jednak to sami
politycy (K. Bosak czy R. Winnicki)
określają się mianem „chrześcijańskich
nacjonalistów”. Wydaje mi się, że
nieporozumienie wynika z faktu, iż
termin „nacjonalizm” postrzega Pan
zgodnie z liberalno-lewicową narracją,
która „zezwierzęcony” nacjonalizm

zrównuje z szowinizmem. Ta narracja
jest niezwykle efektowna i – niestety
– efektywna, ale nie możemy przecież
dać się terroryzować nienaukowym
fantazjom postępowców, dla których
każdy na prawo od Lenina jest faszystą.

Pozdrawiam

Jan Fiedorczuk

Garść pochwał

*Witam Redakcję, uszanowanko. Chciałem
tylko pochwalić i podziękować za gazetę
i świetne artykuły. Oczywiście nie mam
na myśli Ziemkiewicza, Cejrowskiego
i tego kalibru starych wyjadaczy. Chodzi
mi o dwie rubryki. Otóż, dzięki bardzo za
Jacka Komudę, który robi świetną robotę.
Taką trochę z innej beczki, ale naprawdę
fajnie się to czyta i sporo można się
dowiedzieć. No i dzięki wielkie za Panią
Małgorzatę Woźnyk. Jej PiP jest genialne,
ubawi, nauczy, skłoni do refleksji... Strzał
w 10.*

*Odpuść mu... to tylko kibi c
polskiej reprezentacji ...*



*A poza tym „Do Rzeczy” jest na stałym,
wysokim poziomie i pozostaje mi tylko
wierzyć, że będzie tak już zawsze (chyba
że będzie lepiej :-))*

Pozdrawiam jeszcze raz

Piotr Soćko, Nidzica

Wyjaśnienie

W artykule „Jedwabne: tajne archiwum”
prof. Marka Jana Chodakiewicza
(„Do Rzeczy” 25/2021) pojawiła
się informacja, że wydawcą książki
„Jedwabne. Historia prawdziwa:
Zbrodnia z 10 lipca 1941 r.” jest Veritatis
Splendor. Tymczasem książka została
wydana przez wydawnictwo 3S Media
w serii wydawniczej Veritatis Splendor.
Za pomyłkę przepraszamy.



PIOTR SEMKA

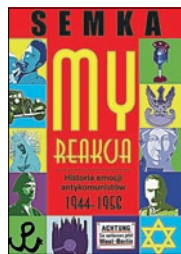
NA PIERWSZY OGIEŃ

Unieśmiertelnieni

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956”:

Gdy pada określenie „żołnierze wyklęci”, stają mi przed oczyma zdjęcia oddziałów leśnych. Postawnych oficerów w przedwojennych mundurach z ryngrafami z Matką Boską Ostrobramską na piersi, prezentujących z dumą swoje pistolety maszynowe lub stojących karnie w szeregach na leśnych przeglądach.

Dziś, po latach, widać, że robiąc sobie te zdjęcia, intuicyjnie czuli potrzebę unieśmiertelnienia swego istnienia w obliczu przeczuwanej rychłej zagłady. Tam, gdzie stacjonowali, pod ich stopami były jeszcze skrawki wolnej Polski, dlatego chętnie pozwalali sobie na odwagę uwieczniania się na fotografiach. Jednak w wielkich miastach, w których także działała konspiracja, na taki luksus nie było już nikogo stać.



Każde posiadane zdjęcie mogło w dowolnej chwili wpaść w trakcie rewizji w ręce bezpieki i stać się dla kogoś wyrokiem śmierci.

Wielkomięskie struktury konspiracyjne WiN, ugrupowania narodowe i piłsudczykowski oraz samodzielne grupy oporu znajdując się dziś nieco w cieniu sławy legendarnych dowódców leśnych. W czasie okupacji hitlerowskiej wielkie miasta, takie jak Warszawa, Kraków, Wilno czy Lwów, były dogodnym terenem działania Armii Krajowej. Wynikało to z naturalnej anonimowości, którą daje miasto. Trudniej było oddziałom leśnym poruszającym się po dużych obszarach leśnych i zależnym od siatki kontaktów wśród ludności wiejskiej i małomiasteczkowej.

Po wojnie warunki się odwróciły. Działalność w dużych miastach Polski powojennej stawała się coraz trudniejsza. Duże ośrodki miejskie, oprócz Krakowa, Lublina i Częstochowy, przeżyły niemal całkowitą wymianę ludności. Ludność lewobrzeżnej Warszawy uległa zupełnemu zniszczeniu

w czasie przyłączenia do Rzeszy, a Wilno i Lwów znalazły się poza nowymi granicami Polski. Tylko Kraków ze swoją nienaruszoną przedwojenną tkanką ludnościową zachował warunki przypominające sytuację pod okupacją niemiecką. W nowych miastach, wywróconych do góry nogami przez wojnę, problemem zaczęło być donosicielstwo na rzecz UB. Z kolei w dużych miastach ziem zachodnich, w których teoretycznie chaos rozpoczęcia nowej, polskiej egzystencji powinien dawać konspiracji margines swobody, powstawały siatki oparte na zaufaniu Kresowiaków – wilniuków lub lwowian.

Tuż po wojnie łatwiej było działać oddziałom leśnym, przynajmniej w początkowej fazie. Ludność wiejska, bardziej uparta i trudniejsza do spenetrowania przez UB, była – jak widać z perspektywy czasu – pewniejszym punktem oparcia dla leśnej partyzantki. Choć i tu z czasem mnożyć się zaczęli zwolennicy władzy wywodzącej się z biodyoty lub karierowicze Ignący do aparatu PPR. ©©

REKLAMA

Przeprosiny

Ja, Wojciech Lada, przepraszam Pana Jacka Stykowskiego i oświadczam, że formułowane przeze mnie informacje, które znalazły się w książce mojego autorstwa pt. „Bandyci z Armii Krajowej. Ile jest prawdy w czarnej legendzie polskiego podziemia”, jakoby jego ojciec – kpt. Wacław Stykowski ps. Hal – odpowiedzialny był za dokonany w czasie powstania warszawskiego mord na ludności żydowskiej przy ul. Twardej 30, którego miała dokonać korzystająca z jego protekcji i ochrony przyboczna bojówka, zostały podane w sposób nierzetelny, wybiórczy i nieuzasadniony, w oparciu o niezweryfikowany materiał źródłowy. Przepraszam za bezpodstawne powiązanie z tym zdarzeniem faktu mającego polegać na okłamaniu przez kpt. Wacława Stykowskiego posłańca dostarczającego wezwanie dla jednego z żołnierzy na przesłuchanie.


RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Dezorientacja seksualna

Czy wiedzą państwo, że w Polsce PiS-owski rząd, blokując „reformy klimatyczne”, zabija rocznie ok. 3 tys. ludzi? Tak, 3 tys. ludzi ginie w Polsce rocznie w wypadkach samochodowych. Te wypadki powodują samochody benzynowe. A rząd nie chce, tak jak to zrobiono w Norwegii i innych postępowych krajach, zakazać samochodów benzynowych! Mordercy!

Jeśli powiedzą państwo, że powyższy wywód to idiotyzm, to będą państwo faszystami. Tak bowiem lewica nazywa każdego, kto przeciwstawia się jej historycznym okrzykom, że przez „homofobię” ministra Czarnka dzieci masowo popełniają samobójstwa – a te okrzyki są oparte na takiej właśnie logice.

Trudno sobie wyobrazić większą tragedię niż samobójstwo dziecka. Tym większy gniew powinien spadać na lewicowych cyników, którzy tak ochoczo łączą te tragedie z krytyką organizacji LGBT i ich „parad”. W istocie wśród ponad 100 tragedii rocznie nie udało się im, mimo intensywnych starań, wskazać ani jednego wypadku, gdy samobójstwo naprawdę miałoby jakikolwiek związek z dezorientacją seksualną ofiar – a kilka imion (dwa, mówiąc ściśle – Dominika i Kacpra), które powtarzają aktywiści, pochodzi z doniesień medialnych, które po sprawdzeniu okazały się fałszywe. Dlaczego tak uparcie mimo to lewicowcy kłamią w ten sposób? Bo takich wypadków jest dużo i coraz więcej na Zachodzie. I w istocie po części mają one związek z LGBT –

są skutkiem mieszania dzieciom w głowy przez seksedukatorów i naładowanych ideologicznie wychowawców, podważających ich biologiczną płć i naturalny rozwój seksualności. Im bardziej LGBT w szkołach zwycięża, tym więcej diagnozowanych dziecięcych depresji, samookaleczeń, dysforii płciowych i samobójstw. W ciągu kilku lat w USA i innych krajach, których ambasadory maszerowały w pierwszym szeregu warszawskiej homoparady, liczba takich przypadków wzrosła o kilkadziesiąt, kilkaset, a w wypadku dysforii nawet o tysiąc procent!

I tęczęm w to graj – bo oczywiście ich propaganda przedstawia to jako dowód, że trzeba „więcej tolerancji” i jeszcze więcej tęczęm ideolo. Powiedzieć „hieny” to doprawdy za mało. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Dywersyjne sumienie

Kardynał Wyszyński mówił, że Polska potrzebuje ludzi sumienia. Parlament Europejski ma inne podejście; uważa, że Europa potrzebuje ludzi bez sumienia. Bo sumienie nie tylko może utrudniać funkcjonowanie demokracji (jak zresztą każdego systemu władzy), lecz także po prostu stanowi zawadę dla Praw Człowieka. Sumienie mówi „nie wolno”, a Prawa Człowieka – że wszystko wolno.

W uchwalonym parę dni temu aborcyjnym raporcie Matia Parlament nie tylko obwieszcza, że aborcja jest prawem człowieka, lecz także atakuje państwa, które samymi lekarzom i placówkom medycznym umożliwiają odmowę

– jak mówi raport Parlamentu – „opieki aborcyjnej” na podstawie tzw. klauzuli sumienia. Jedno trzeba lojalnie przyznać: raport uczciwie atakuje całe „państwa”, a nie tylko „rządy”. Bo w wypadku Polski chodzi nie o Prawo i Sprawiedliwość, ale o Rzeczpospolitą i Konstytucję. Na przykład o wyrok Trybunału z 7 października 2015 r. (tzw. chazanowski) w obronie szpitali odrzucających dzieciobójstwo prenatalne.

To chwalebne orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego wydał za prezesury Andrzeja Rzeplińskiego, w końcowym okresie rządów Platformy Obywatelskiej. Gdy je podejmował, prezydentem Warszawy była wiceprezes

PO, Hanna Gronkiewicz-Waltz, która rok wcześniej usunęła ze stanowiska dyrektora Szpitala Świętej Rodziny prof. Bogdana Chazana, właśnie z powodu odmowy praktyk aborcyjnych. To, że Trybunał potwierdził prawa szpitali i lekarzy do czynnego sprzeciwu wobec prenatalnego dzieciobójstwa, prezydent-wiceprezes ani trochę nie zafrasowało. Profesora Chazana na stanowisko nie przywróciła, dyrektora-dublera utrzymała. Zaraz potem zaczęła się wielka epopeja walki PO w obronie Trybunału i demokracji konstytucyjnej, oczywiście z czynnym udziałem prezydent HGW. To jednak już zupełnie inna historia i inny rozdział „Dziejów cynizmu w Polsce”. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O szarlotce amerykańskiej

Sprawa jest poważna. Zgodnie z amerykańskim powiedzeniem flaga narodowa, macierzyństwo i apple pie (szarlotka) to najistotniejsze czynniki jednoczące Amerykanki i Amerykanów. Na razie flaga Stanów Zjednoczonych i idea macierzyństwa mają się dobrze. Szarlotka amerykańska znalazła się jednak w nie lada opałach. Została oskarżona o rasistowskie pochodzenie. Proces trwa.

*Panie... przyszedł jakiś Joe... ,
ale nie jestem pewien, czy rozumie,
o co mu chodzi...*



Na ławie oskarżonych posadził ją superpostępowy brytyjski „Guardian”, a konkretnie naukowiec, pisarz i eseista, urodzony w Londynie, a wykształcony w Oksfordzie – Raj Patel. Uczony mąż napisał, że szarlotka jest tak amerykańska jak ziemia odebrana Indianom, zawłaszczony majątek i korzystanie z owoców cudzej pracy.

Po pierwsze, argumentuje Patel, jabłka przybyły do Ameryki wraz z kolonizatorami, którzy dopuścili się zbrodni ludobójstwa wobec rdzennej ludności. Po drugie – jabłonie sadzono jako symbol i znak, że pobliskie tereny są wolne od Indian, wymordowanych lub/i przepędzonych. Po trzecie – cukier (z trzciny cukrowej) używany do wypieku był owocem niewolniczej pracy. Po czwarte – i ważniejsze – apple pie w Ameryce zazwyczaj spoczywa na parapecie owinięty w tradycyjną bawełnianą ściereczkę w kratkę (gingham cloth) i tak jest podawany. A o związkach bawełny z niewolniczą pracą chyba nikomu przypominać nie trzeba.

Patel ubolewa, że krwawe, rasistowskie początki i tradycje amerykańskiej szarlotki padły ofiarą zbiorowej amnezji. Boli go, że jabłecznik z powodu ignorancji stał się symbolem Ameryki, domowego zacisza, a spożywany z sąsiadami – symbolem sąsiedzkiej zgody i przyjaźni.

Słowem – szaleństwo w postaci krystalicznej. W wojnie z rasizmem Patel otworzył nowy front: gastronomiczno-spożywczy. Jako amator szarlotki zastanawiam się, czy europejską mutację można spożywać bez podejrzeń o nienawiść rasową. Pierwszy odnaleziony przepis pochodzi z Anglii z 1381 r., sporo przed Kolumbem, więc chyba można. Niepokoi mnie natomiast niepewna przyszłość przemysłu bawełnianego. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Potop 2

Kto zadba o Polskę lepiej niż Krystyna

Pawłowicz? A już myślałem, że im się przedawniło, bo upłynęło ledwo 366 lat. O nie, nie, nie. Przed meczem Polski ze Szwecją Krystyna Pawłowicz w słowach żołnierskich zażądała od rabusiów, bandytów, grabieżców, a właściwie ich potomków na Twitterze: „Szwedzi! Przed meczem ZWRÓĆCIE Polsce ZRABOWANY i wywożony flotyllami w czasie potopu ogrom naszego narodowego dziedzictwa, pamiątki i skarby, które przetrzymujecie”. A żeby nie być gołosłowną, prof. Pawłowicz odsyła do książki Marcina Jamkowskiego oraz Huberta Kowalskiego, w której czytamy między innymi: „Całe flotyllę miały kamienne rafy koło Cytadeli i mknęły dalej. [...] szwedzkie zdobycze były przeładowywane na pełnomorskie żaglowce. Pod pokłady trafiały dzieła sztuki, broń, stroje i przedmioty codziennego użytku. Księgi były wcześniej pakowane do beczek, które rzemieślnicy uszczelniali smołą. Na nich szczególnie zależało Szwedom”. Oczywiście Szwedzi mają swoje wtyki na TT i swoich agentów, zdaje mi się. Jeden z nich próbował relatywizować, proszę Państwa, niby że naukowo i historycznie pisząc: „Niestety ze Szwedami zawarliśmy traktat pokojowy w Oliwie, w którym nie ma nic o zwrocie dzieł sztuki. Było o archiwach i tutaj możemy drażnić temat”. Ale nie z panią profesorem te pokoje. Mądrała została natychmiast skontrowany słowami pani Krystyny: „Ile panu Szwedzi płacą za reprezentowanie ich złodziejskich interesów?”. Zresztą na tym Krystyna Pawłowicz nie poprzestała. Jej następny wpis wydawał się bardziej stanowczy: „Jest dobra okazja, by Szwedom przypomnieć, bo rabowali Polskę jak dzika barbaria, jak Rosjanie i Niemcy, a teraz w swych muzeach chwalą się polską kulturą i jej skarbami. Nic nie lepsi od pozostałych złodziei pamiątek narodowych, a udają dziś niewiniątka. Ale Polacy pamiętają...” Na szczęście znaleźli się na TT ludzie rozumni, którzy dzielili się swą wiedzą za darmo: „Jestem historykiem wojskowości XVII w. i jakkolwiek słowa prof. Pawłowicz mogą wydawać się populizmem, to potwierdzam: w szwedzkich muzeach są gigantyczne ilości zrabowanych polskich zabytków – od zbroi husarskich do obrazów, strojów i ksiąg”. Szwedzi się dowiedzieli i zaatakowali w swych mediach, że ale jak to, jak to, to przecież stara sprawa etc. i w ogóle, o co kaman. Wtedy pani Krystyna na chwilę zmieniła taktykę, pisząc na TT, że jej wpis był nieco żartobliwy, ale kto zna panią profesora, ten zna głośny film „Przyczajony tygrys, ukryty smok”. Czekajmy! ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

OŚMIORNICA I OJCIEC

Celebrytka Natalia Klimas z okazji Dnia Ojca postanowiła pozachwycać się na Instagramie swoim mężem i ojcem swoich dwóch córek. – Byliśmy wczoraj w restauracji i oczywiście odesłał ośmiornicę „do podgrilowania”, bo za mało wypieczona. [...] wstaję od stołu, a on, że mam delikatnie odsuwać krzesło, „bo podłogę rysuję”. Czasem, a nawet częściej, mam ochotę go zabić – rozpoczęła swą opowieść. – Ale wtedy jakoś zawsze dzieje się cud. Schodzę na dół, a on z Hanką w nosidełku, czesze Zuzi włoski i robi tymi swoimi wielkimi, męskimi łapami maluteńkiego kucyka [...] – zachwyca się Klimas. – Nie widziałam w swoim dzieciństwie takich ojców, jakim jest Mikołaj. Takich, co przewijają, usypiają, kąpią, spacerują, czytają, przebierają i karmią dokładnie tyle samo, co mama.

Nie umiem wyobrazić sobie nawet, jakie to będzie cenne dla moich córek, jako dla kobiet, kiedyś, mieć taki wzorzec – stwierdza. Dobrnęliśmy jakoś do końca tych wyznań i zachwyty i nadal nie wiemy, o co chodziło z tą niedopieczoną ośmiornicą z początku? Widocznie za wysoki poziom refleksji dla zwykłego człowieka.

CHCIEĆ TO MÓC?

Narzeczona młodego piłkarza reprezentacji Przemysław Płachety jest, jak przystało na dziewczynę piłkarza, bardzo aktywna na Instagramie i aspiruje do miana celebrytki. W tym celu chętnie opowiada o swoim związku i wrzuca całą masę swoich stylizowanych zdjęć. Generalnie rzecz biorąc – banał i nic nowego. Tym razem jednak zrobiło się ciekawie, bo Aleksandra Łoboda wypowiedziała się na temat wysokich zarobków piłkarzy i na temat hejtu, wymierzonego w – a jakże – ich partnerki. – Jeśli ktoś ocenia inną osobę tylko na podstawie tego, że jest czymś partnerem, to świadczy jedynie o jego płytkości i poziomie. Poza tym wrzucanie każdego do jednego worka jest naprawdę niesprawiedliwe – oceniła, podkreślając, że była związana z piłkarzem, zanim ten stał się znany, a w ogóle jest studentką prawa. – Większość kobiet pracuje, rozwija się, zajmuje całym tym bałaganem poza piłką, ale kto to widzi? Czy ludzi interesuje, że studiuje jeden z najcieńszych kierunków? Że zajmuję się rzeczami, o których moi rówieśnicy jeszcze nawet nie myślą? – pyta rozgoryczona. Wysokie zarobki piłkarzy, co nie dziwne, nie razi jej ani tym bardziej jej nie przeszkadzają. – Piłkarze zarabiają tyle, ile kluby im płacą – stwierdziła. – Ja uważam, że nie powinno się zaglądać komuś do portfela, należy się skupić, aby nasz nas satysfakcjonował. Bo taki jest świat, nierówny i nie czarno-biały. Poza tym, w dzisiejszych czasach każdy może zostać, kim chce, i mieć, co chce, jest ogrom

możliwości, potrzeba tylko chęci – zakończyła. Jeśli komuś nie wyszło w życiu, to znaczy, że nie miał chęci. Ona miała i jej w życiu wyszło. To znaczy wyszło jemu, a jej przy okazji, ale kto by tam wnikał w szczegóły.

POLITYCZNIE ZAMIAST MUZYCZNIE

Wokalistka Daria Zawiałow promuje właśnie nową płytę i z tej okazji udzieliła wywiadu „Gazecie Wyborczej”. Opowiedziała w nim, jak bardzo nie podoba jej się obecna sytuacja polityczna w kraju. Czyli powtórzyła dokładnie to, co inni znani i lubiani mówią od sześciu lat. Mówi, że choć była do tej pory apolityczna, to granice zostały przekroczone, jest coś o tyranii oraz o wyrzucaniu frustracji poprzez muzykę i tupaniu nogą. Jest też mowa o tym, że państwo „coraz bardziej śmierdzi powrotem komunizmu i brakiem demokracji”. – Jestem załamana tym, co się u nas dzieje. Pojęcie patriotyzmu stało się dla mnie odległe, polskość – bolesna. No nic, trzeba walczyć – mówi Zawiałow.

– Dzieją się w Polsce rzeczy tak absurdalne, że nie można milczeć – dodaje. Pełna zgoda, nie można milczeć na temat rzeczy absurdalnych. Dlatego właśnie postanowiliśmy napisać o jej wywiadzie.



FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

TRUDNO SIĘ POWSTRZYMAĆ

Aktorka Agnieszka Włodarczyk, która aktualnie jest w ciąży i regularnie informuje świat o jej przebiegu na swoim Instagramie, narzeka na to, że inni ludzie oceniają wielkość jej brzucha. – Nigdy nie wiadomo, jaki ktoś ma brzuch, może poczuć się urażona, może być jej przykro... – mówi celebrytka. I dodaje, że nie znosi, jak inni komentują wielkość jej ciążowego brzucha. – Ja od szóstego miesiąca miałam spory brzuch i wszyscy zaczęli się rozpisywać, że zaraz rodzę. To nie jest przyjemne. Ruszmy czasem myślenie i nie komentujmy – zaapelowała na koniec. Mam lepsze rozwiązanie. Nie chcesz, by inni komentowali wielkość twojego brzucha? Nie wrzucaj jego zdjęć na Instagram. Wiemy, że to trudne. Za trudne, niestety. ©



FOT. PAMEL CROMAGDA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż rozpoczęły się wakacje, planowaliśmy pojechać na urlop nad polskie morze, ale zobaczyliśmy w necie zdjęcia paragonów grozy i się teraz bardzo boimy.

Otóż obawiamy się tego, że nie sprawdzimy ceny osoboryby z frytkami

najpierw reprezentanci tego kraju, a następnie fashystoffskiego krwawego reżimu. Cała postępową Europą patrzy i się cieszy, zwłaszcza iż wcześniej musiała się napatrzyć na półnagich otyłych Polaków na trybunach stadionu w Sankt Petersburgu.

pitan miał na ramieniu tęczową opaskę jako wyraz wsparcia społeczności LGBT.

Tymczasem kapitan Węgrów był wysoki, umięśniony, wyglądał dość patriarchalnie i strzelił Niemcom gola.

Na szczęście jednak wszystko skończyło się dobrze i ostatnie w Europie fashystoffskie dyktatury słusznie odpadają z turnieju dla europejskiej wspólnoty i jadą do domów oglądać, jak ta Europa się będzie dalej bawić.

Iż sami już nie wiemy, gdzie, na ile i z jakim certyfikatem wolno nam wyjechać za granicę, postanowiliśmy spędzić tegoroczny urlop jednak w tym kraju.

Of kors, nie nad morzem, jak już wspominaliśmy. Wygląda na to, że będziemy eksplorować przestrzeń miejską w poszukiwaniu nowego kodu kulturowego dla naszej wspólnoty w korpo.

Mamy tylko nadzieję, iż rząd może wyda jakieś certyfikaty dla mieszkańców małych ośrodków, iżby nie mogli ot, tak wjechać sobie np. do naszego Krakowa, a potem stoją na całej szerokości ruchomych schodów, słodzą kawę na wynos cukrem w kostkach czy stoją w kolejce do makdonalda. Jakies minimum obycia i kultury można byłoby jednak zachować. ©©



przed zakupem. A skoro nie sprawdzimy ceny, to pewnie i do głowy nie przyjdzie nam sprawdzenie gramatury. W efekcie otrzymamy swój własny paragon grozy.

W perspektywie mamy przynajmniej narobienie hysterii na pół Polski, wyślemy zdjęcie paragonu do jakiejś redakcji. Zawsze to jakieś pocieszenie.

Mieliśmy w środę wyjątkowo udany wieczór z Euro 2020, bo jedni po drugich odpadli

W każdym razie: to, że ten kraj odpadnie z Euro, było dla nas jasne od samego początku. Nie pomógł nawet zachodni, zagraniczny trener, który najwyraźniej nie mógł znaleźć wspólnego języka z wąsatymi podkarpackimi kopaczami.

Natomiast bardzo niebezpiecznie było w meczu Węgrów, którzy w naznaczonej bolesną historią Monachium byli bliscy wyeliminowania Niemców. W dodatku Niemcy jak zawsze stali po stronie uciskanych mniejszości, a ich ka-



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:

[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Pożądany efekt poszczepienny

Co tam jest po delcie, Adam? Nie rozumiem, Ela. W jakim sensie?

No, te literki, greckie chyba. To jakie są?

Nie pamiętam, w Internecie sobie sprawdz. Ja nie od tego jestem. A co?

A nie, tylko jakby co, jakby tam szło dalej, to ja już jestem dobrze zabezpieczona. W jakim sensie?

Miałam trzy tygodnie temu drugą dawkę fajzera, tydzień temu drugą dawkę moderny, dziesięć miesięcy temu, a jeszcze w marcu zenekę.

Ale... Jak ty to zrobiłaś?

No wiesz...

Druga osoba w państwie ma swoje dojścia.

I jak się czujesz?

Świetnie. Nabyłam zdolność widzenia przez ściany. Że co?!

Oj tam, żartuję. Tak naprawdę to chodzi o to, żeby mieć większe szanse w loterii. O, idzie Ryszard. Skąd wiesz? Przecież...

Widzę przez ścianę. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] z Euro 2020 odpadły Polska, Węgry, Turcja i Rosja. Może jednak nie warto niszczyć demokracji?”

KLAUDIA JACHIRA, posłanka Koalicji Obywatelskiej, na Twitterze

Wwakacje najlepiej czytać kryminały o życiu wyższych sfer. Zatem informujemy: Zamoyscy, Lubomirscy, Sobańscy to przedstawiciele najświetniejszej arystokracji, którzy zostali zawinięci przez CBA w ubiegłym tygodniu. Agenci Biura się nie patyczkowali i nie zwracali do nich per książę, hrabio czy ordynacie. Zaś prokuratura uważa ich za niepospolicich wprowadzie, ale jednak przestępców. Bo podejrzewa o fałszowanie testamentów, które miało umożliwić odzyskanie majątków.

GazWyb” publikuje ostatnio dodatki o ludziach z depresją. Powinni jeden zeszyt poświęcić Platformie Obywatelskiej. Po tym, jak obiecany biały koń z Tuskiem nie przyjeżdża, rośnie w niej podejrzenie, że Donald robi to, co robi, by PeŁo pogrzebać, a nie ją ratować. Wysłała różne sygnały, które naiwni biorą za dobrą monetę, potem się napalają i publicznie kompromitują. Zły Donald ma rację: nic tak łatwo nie przychodzi jego dawnym kolegom jak kompromitowanie się.

Wiewiórki z PeŁo opowiadają, że serial „Powrót Tuska” będzie trwał wiele sezonów. Tymczasem ekscytuje je powrót Scheta. Grzegorz Skorpion Schetyna znów jest dolnośląskim baronem i wraca do głównych władz PeŁo. Podzieliło to partię na pół. Jedni się cieszą, że Grzegorz uratuje Platformę. Drudzy się boją, że jak już ją uratuje, to dogada się z PiS.

Na razie wygląda na to, że dla polityków PeŁo trzeba będzie w oświadczeniach majątkowych wprowadzić nową rubrykę: „zrzutka na Sławka Nowaka”. Mamy ważną odpowiedź dla odpowiednich organów, które będą sprawdzać listę darczyńców – nie zapomnijcie o tych, którzy wykorzystują do tego zbożnego dzieła rodzinę bliższą i dalszą. Rodzinę dobrano bowiem wedle jednego kryterium: nazwiska odmienne od posłów. Taka, wiecie, zmyłka.

Senator Kazimierz Budyń Ujazdowski opuszcza klub PeŁo. Wiemy dlaczego. „Rządy PO to ukinanie przywództwa i stawianie na odwrócenie społeczeństwa od spraw publicznych”. Tak pisał w 2013 r. w „Gazecie Polskiej Codziennie”. Dlatego idzie do Peezelu. O którym pisał w 2012 r. w tej samej gazecie, że umacnia platformerski „mo-

dwaj panowie



nopol kosztem zasad demokratycznych i jakości życia publicznego”. Ujazdowski pojechał się z Koalicją Obywatelską niedawno. A z wiarygodnością – dawno.

Tymczasem w Agorze wojna między ludźmi Michnika i ludźmi, którzy chcą zarabiać pieniądze. Przedstawiana jako wojna papieru z onlajnem. Już wyjaśniamy: w tym samym czasie, gdy czołówką Wyborcza.pl była transmisja live ze spotkania Michnik-Bodnar o dyktaturze PiS, czołówką Gazeta.pl był artykuł o piekle dziewcząt chorych na anoreksję. Nic dziwnego, że plany podporządkowania redakcji „Wyborczej” zespołowi Gazeta.pl wywołują u zawodowych obrońców demokracji lęk i przerażenie.

Wtej wojnie rację przyznajemy Adamowi Michnikowi. O anoreksji każdy może pisać w Internecie. I zarabiać na tym pieniądze. A zbierać jałmużnę na walkę o demokrację w realu – tylko najbardziej doświadczeni bojownicy opozycji antykapitalistowskiej.

Witamy na Sygnale nowego użytkownika: to Zbigniew Jagiełło, były szef PKO BP. Pojawił się w komunikatorze w ostatnich tygodniach. Ciekawa rzecz, ludzie myślą, że te wszystkie WhatsAppy, Signale i inne wynalazki są bezpieczniejsze od e-maili. Ech, są w mylnym błędzie. W szczególności kierujemy te słowa do europołów.

Apropos afery e-mailowej: słyszeliśmy, że nie wszyscy ministrowie są tacy chętni, żeby na prywatnych e-mailach obgadywać różne ważne sprawy. Jeden nawet wprost napisał w odpowiedzi przełożonemu, że nie ma co tego robić na obcym, czyli amerykańskim serwerze, znaczy na Gmailu. Popieramy. Tylko prosimy, nie przenoście się na WhatsAppa.

Nie zmienia to faktu, że wielki popyt w rządzie w ostatnich dniach wywołał właśnie zwykły e-mail. Ale nie prywatny, tylko oficjalny. W dodatku był to e-mail od szefa kancelarii Michała Dworczyka. Ów okrutnik przypominał był ministrom, że do 30 września muszą wykorzystać zaległe urlopy. Niektórzy mają po 40 dni i więcej plus jeszcze to, co należne za ten rok. Ale jak tu iść na urlop, kiedy premier Mateusz odwołał wakacje?

Tymczasem w Europie. Podczas gdy Węgrzy grali w piłkę kopaną z Niemcami w Monachium, Viktor Orbán siedział w Brukseli na kolacji z Giorgią Meloni, czyli przewodniczącą partii Bracia Włosi. I zamiast o tęczyowych chorągiewkach rozmawiał o współpracy w ramach nowej frakcji w europarlamentcie. Była też mowa o deklaracji ideowej, pod którą będą mogły podpisać się rozmaite pravicowe środowiska i partie. Deklaracja ma być bardzo szeroka. I wynegocjowana do końca czerwca.

Smuteczek. W europarlamentcie przegłosowano także proaborcyjną rezolucję, wedle której zabijanie nienarodzonych dzieci to powszechne prawo człowieka. Przyłożyli do tego rękę także przedstawiciele PeŁo. Co ciekawe, kiedy osiem lat temu głosowano podobny, ale łagodniejszy projekt, to europośowie PeŁo głosowali razem z PiS przeciw. Bo uważali, że aborcja jest sprawą wewnętrzną każdego kraju. Najsmutniej jest, kiedy za aborcją głosuje lekarz. Na przykład Ewka Kopacz.

Żeby nie było: znalazła się też czwórka sprawiedliwych platformersów, którzy głosowali przeciw aborcyjnej rezolucji. Jerzy Buzek, Jarosław Duda, Janusz Lewandowski i Jan Olbrycht. Podajemy nazwiska, bo chyba oznacza to, że wytropiliśmy odchylenie konserwatywne w PeŁo. Ciekawe, czy Borysław Budka odważy się ich wszystkich wyrzucić. ©©



Impuls z kongresu

Czemu służą i jakie znaczenie dla gospodarki mają wielkie kongresy gospodarcze z udziałem polityków, takie jak Forum Ekonomiczne w Karpaczu?

Najważniejsza w Europie Środkowo-Wschodniej międzynarodowa konferencja gospodarcza, czyli nazywane polskim Davos Forum Ekonomiczne, po prawie 30 latach przenosi się z Krynicy do Karpacza. Tegoroczną edycję zaplanowano na 7–9 września pod hasłem „Europa w poszukiwaniu przywództwa”. Zmiana lokalizacji jest przede wszystkim efektem intensywnych starań dolnośląskiego konsorcjum, które tworzy aż sześć podmiotów: samorządy Dolnego Śląska, Wrocławia i Karpacza, port lotniczy Wrocław-Strachowice, Dol-

nośląska Agencja Współpracy Gospodarczej oraz Hotel Gołębiewski w Karpaczu. Inicjatywę prowadzi Cezary Przybylski, marszałek województwa dolnośląskiego.

– Zwycięskie konsorcjum gwarantuje nam realizację wielu zadań, które wcześniej były na naszych barkach. Uznaliśmy, że gdy część zadań przejmą partnerzy, uzyskamy większą swobodę w realizacji podstawowych funkcji związanych z organizacją konferencji, jak: zaproszenie gości, przygotowanie programu itp. Nie bez znaczenia była też ponadpolityczna chęć współpracy – wyjaśnia powody tej zmiany Zygmunt Berdychowski, założyciel Fundacji „Instytut Studiów Wschodnich”, która organizuje to wydarzenie.

NOWE OTWARCIE DLA BRANŻY KONGRESOWEJ

Forum Ekonomiczne w Karpaczu odbędzie się stacjonarnie,

z zachowaniem reżimu sanitarnego. O ile, oczywiście, będzie to możliwe i nie nadejdzie kolejna fala pandemii COVID-19, zmuszając organizatorów do formuły hybrydowej. Polega ona na tym, że goście, prelegenci i moderatorzy rozmawiają w małych grupach w studiu, a widzowie śledzą ich wystąpienia oraz dyskusje on-line. Właśnie tak wyglądał majowy „Kongres 590” – coroczne wydarzenie, które w podrzeszowskiej Jasionce od lat gromadzi tysiące przedstawicieli polskiego biznesu, nauki, polityki i legislacji oraz gości zagranicznych.

– Hasło tegorocznej edycji Kongresu „Polska/świat startujemy” jest symboliczne, bo nawiązuje do momentu, w którym się znaleźliśmy. Mamy teraz szansę na nowy start, odrobienie strat po okresie ograniczeń i redukcji, który zaburzył wiele dziedzin i relacje



społeczne – mówił Remigiusz Kopoczek, prezes spółki Kongres 590.

Nowy start dotyczy także samej branży konferencyjnej, która będąc częścią sektora MICE (Meetings, Incentives, Conferences, Exhibitions), przez pandemię zanotowała rekordowe spadki przychodów i niecierpliwie czeka na powrót do tzw. normy.

– Ostatnie miesiące zmieniły świat spotkań branżowych na całym świecie. Chociaż żyjemy w tzw. nowej normalności, to spotkania twarzą w twarz pozostaną kluczowe, jeśli chodzi o wymianę wiedzy, doświadczeń czy nawiązywanie relacji – zauważa Dominika Szulc, dyrektor Zagranicznego Ośrodka Polskiej Organizacji Turystycznej w Brukseli.

KONGRESY WAŻNE DLA PRZEDSIĘBIORCÓW I POLITYKÓW

Przypomnijmy, że od początku pandemii przemysł spotkań i konferencji podzielił się na trzy rodzaje wydarzeń. Pierwszy rodzaj to te, które w całości odbywały się w przestrzeni wirtualnej. Z czasem, gdy branża straciła nadzieję, że restrykcje będą krótkotrwałe, na

popularności zyskały wydarzenia hybrydowe. To drugi typ, a przykładem jest wspomniany Kongres 590.

Trzeci rodzaj to wydarzenia organizowane w formule tradycyjnej, jednak z zachowaniem restrykcyjnych zasad sanitarnych. Były możliwe między pierwszą a drugą falą i odbyło się tak np. Forum Ekonomiczne w Karpaczu. To międzynarodowa impreza, w trakcie której politycy ogłaszają swoje ważne zamierzenia, np. Donald Tusk zapowiedział, że Polska przyjmie euro w 2011 r. Wreszcie to podczas Forum Ekonomicznego Prawo i Sprawiedliwość ogłosiło w 2013 r. swój nowy program gospodarczy.

Przed pandemią Forum Ekonomiczne pobiło szwajcarskie Davos pod względem liczby uczestników (w 2019 r. do Krynicy przyjechało 4451 gości z ponad 61 krajów świata, o 1,5 tys. więcej niż do szwajcarskiego kurortu). W Davos byli jednak bardziej zróżnicowani pod względem narodowości – w 2019 r. odwiedziło je aż 115 przedstawicieli różnych narodów. Różnica sprowadza się również do rangi gości. Czołowi światowi politycy na coroczne spotkania już od lat wybierają Davos i to stanowi dla nich największą okazję do spotkań w ciągu roku. Polska natomiast – za pomocą takich konferencji, jak Forum Ekonomiczne – walczy o pozycję lidera regionu, która umożliwia również przedstawianie naszego kraju jako najlepszego miejsca do alokacji kapitału czy inwestycji w Europie Środkowo-Wschodniej. Przed pandemią już jedna czwarta gości przyjechała na Forum Ekonomiczne z zagranicy, co pokazuje, jak ważna jest Polska dla dyrektorów i prezesów dużych korporacji, ale również mniejszych przedsiębiorców, którzy chcą wejść w dialog z przedstawicielami administracji publicznej i lepiej poznać swoich zagranicznych kontrahentów.

– Organizatorom forum udało się zbudować tradycję spotkań przedstawicieli rządu i państw Europy Środkowo-Wschodniej, a wymiana opinii i doświadczeń jest konieczna i leży w naszym wspólnym interesie – ocenił forum Mikuláš Dzurinda, minister spraw zagranicznych Słowacji w latach 2010–2012 i jeden z uczestników tej imprezy.

Jego punkt widzenia podziela Anna Rulkiewicz, prezes Grupy LUX MED:

– Jeździmy na Forum Ekonomiczne, żeby wymienić nasze myśli, posłuchać innych, znaleźć inspirację. Zależy nam na tym, aby spotkać się z decydentami, przekazać im nasze pomysły, systemowe rozwiązania dla branży ochrony zdrowia. Przy okazji dzielimy się też problemami i ich rozwiązaniami – wyjaśnia.

POŻĄDANE SPOTKANIA TWARZĄ W TWARZ

Czy tegoroczne Forum Ekonomiczne w Karpaczu pozwoli na tradycyjny networking, do którego przywykli jego uczestnicy? Dziś trudno to przewidzieć, organizatorzy przyznają jednak, że jeśli tylko będzie taka możliwość, wybiorą tradycję. Dlaczego?

– Bo tak jak nie zmieniły się nasze preferencje w zakresie spotkań prywatnych – nadal wolimy spotykać się z bliskimi czy znajomymi twarzą w twarz – tak nie zmieniają się nasze preferencje w zakresie networkingu. Dalej będziemy wybierali wydarzenia fizyczne, które oferują unikalną możliwość poznania wielu osób w krótkim okresie oraz wymiany poglądów. Spotkania on-line i hybrydowe zdają się substytutem, który w okresie poprzedzającym masowe szczepienia zapewniał ciągłość rozmów. Z pewnością jednak wydarzenia „face to face” będą oferowały szerszy niż przed pandemią program wydarzeń on-line, tak aby przedstawiciele NGO i innych organizacji mogli być na bieżąco z przebiegiem takich konferencji – przekonuje Zygmunt Berdychowski.

Co jeszcze czeka w tym roku branżę kongresów gospodarczych? Z raportu „IBTM Trends Watch 2021” wynika, że ma ona ważną do odegrania rolę w odbudowywaniu się turystyki po pandemii COVID-19. W części raportu poświęconej sektorowi MICE czytamy bowiem, że jest on obecnie w fazie zmian i akceptacji nowej wirtualnej rzeczywistości spotkań. Ale choć rozwój technologii daje wiele nowych możliwości, to jednak powrót do spotkań B2B jest najbardziej pożądany. Co nie zmienia tego, że najprawdopodobniej model hybrydowy już z nami pozostanie – choćby dlatego, że pozwala na wygodny udział w wydarzeniu gości i prelegentów z całego świata.

Artykuł powstał we współpracy z Fundacją „Instytut Studiów Wschodnich”

Nadchodzi globalny sanitaryzm

Mija już półtora roku od początku kryzysu covidowego – co wiemy więcej o przyczynach i perspektywach? W zasadzie nic. Eksperci zapowiadają kolejne fale, rządzący rozważają dalsze lockdowny, rodzice, dzieci i studenci wciąż nie mają pewności co do trybu nauczania po wakacjach, a główny temat mediów to wariant Delta – kolejna twarz koronawirusa. COVID-19 pozostaje wszechobecny, podobnie jak niepewność, a jednak opublikowany 12 maja oficjalny międzynarodowy audyt w tej kwestii, wskazujący przyczyny i perspektywy, przeszedł w Polsce bez echa. Tymczasem jest się czemu przyglądać, wszak raport „Aby COVID-19 był ostatnią pandemią” postuluje między innymi przejęcie w naszym kraju władzy epidemiologicznej przez



Wojciech Golonka

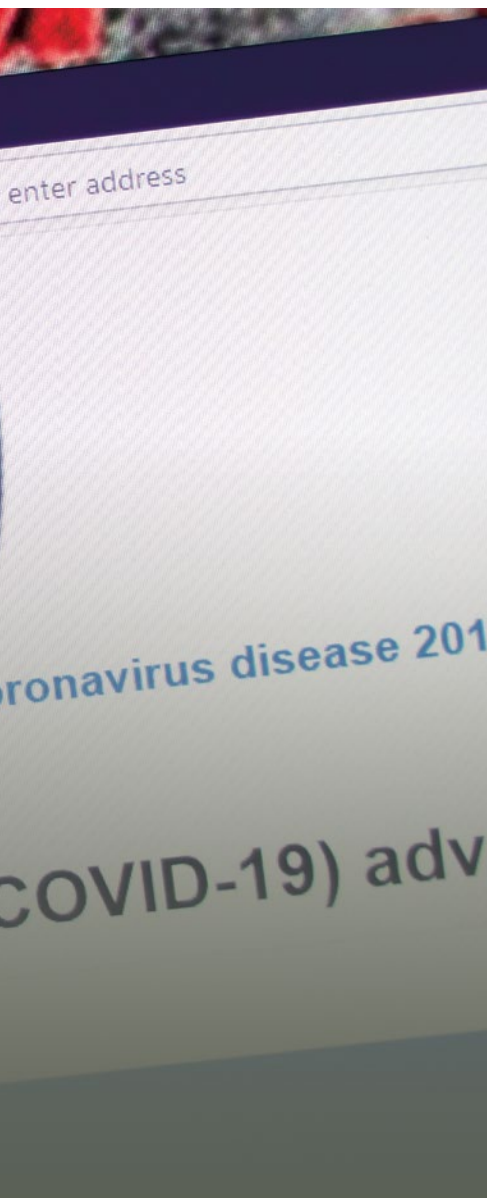
WHO powołała panel ekspertów, który miał podsumować pandemię COVID-19. Zamiast oceny działań dostaliśmy dokument z ogólnikami, który postuluje utworzenie sanitarnego giganta, mającego władzę nad wszystkimi rządami

WHO, a przede wszystkim wprowadzenie załączku rządu światowego.

NIEZALEŻNI I BEZSTRONNI

W maju 2020 r. Światowe Zgromadzenie Zdrowia (WHA), czyli delegacje państw członkowskich Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), zobowiązało

dyrektora generalnego WHO do sporządzenia niezależnego i bezstronnego audytu w sprawie międzynarodowej reakcji na COVID-19. Audyt miał także podsumować doświadczenia z kryzysu covidowego, by w przyszłości efektywniej zarządzać pandemiemi. Teoretycznie właśnie temu mają służyć sformułowane



Bo jakie kompetencje w tej dziedzinie ma np. 83-letnia prezydent Johnson-Sirleaf, której zawodowa kariera to praca w sektorze bankowości i w ogólnej polityce? Co w zakresie epidemiologii ma do powiedzenia światu Aya Chebbi, tytułowana na oficjalnej stronie panelu jako „dyplomata, aktywistka panaafrykańska i feministka”, której głównym życiowym dokonaniem było zaangażowanie się w rewolucję arabską jako „polityczna blogerka”?

Owszem, w panelu znaleźli się także lekarze i kompetentni naukowcy. Pytanie jednak, na ile niezależni? Są tam bowiem m.in.: Michel Kazatchkine, który w 2012 r. zrezygnował z dyrektury Światowego Funduszu do walki z AIDS, gruźlicą i malarią (The Global Fund) w atmosferze oskarżeń o niegospodarność, nieudolność i korupcję w organizacji; Mark Dybel – amerykański specjalista od AIDS, wychowanek Anthony’ego Fauciego, któremu zawdzięcza swoją spektakularną karierę, który wedle doniesień pozostaje jego niekwestionowanym mentorem w kwestii COVID-19; Zhong Nanshan, wybitny chiński pulmonolog, a także członek Komunistycznej Partii Chin, które przecież bezwzględnie odrzucają wszelką krytykę w sprawie wybuchu epidemii w Wuhan, a za insynuacje o możliwym laboratoryjnym rodowodzie i wycieku koronawirusa grożą w swych reżimowych mediach nawet odwetem nuklearnym.

Pytanie też, na ile raport ekspertów jest analitycznie i naukowo bezstronny, jak zażądało tego Światowe Zgromadzenie Zdrowia, skoro wyraźnie jest on naznaczony politycznym zaangażowaniem na rzecz agendy ONZ „Zrównoważonego Rozwoju 2030” oraz zielonego ładu, których implementację uważa wręcz za warunki konieczne do uniknięcia innych pandemii w przyszłości (s. 11 raportu).

PROBLEMY POPRAWNE POLITYCZNE

Co do samej treści raportu już na pierwszy rzut oka razi ogólny nacisk na poprawność polityczną przy jednoczesnym pomijaniu zasadniczych problemów. Z audytu dowiemy się, że z powodu pandemii 10 mln młodych dziewcząt jest zagrożonych wczesnym zamyśłowaniem, brak jednak oszacowania skali nadliczbowych zgonów na świecie z powodu paraliżu krajowych służb zdrowia tudzież rozpatrywania zaburzeń psychicznych u dzieci i młodzieży wywołanych uciążliwymi

restrykcjami. Audyt nie poddaje zresztą w ogóle pod dyskusję skuteczności, zasadności i legalności masowo stosowanych restrykcji, jak wiadomo – rujnujących także gospodarkę, milczy o sprzecznych dyrektywach sanitarnych, istotnymi do poruszenia są natomiast zagadnienia nierówności ekonomicznych, płciowych (genderowych?) i etnicznych (rasowych?) oraz zasada niezdefiniowanej inkluzywności – jakby te kwestie miały jakikolwiek związek z epidemiologią, wirusologią czy immunologią. Przesadzam? „Panel odnotowuje, że COVID-19 był pandemią nierówności i niesprawiedliwości. [...] Nierówność była determinującym czynnikiem tłumaczącym, dlaczego pandemia COVID-19 miała tak zróżnicowane oddziaływanie na życie ludzi i ich źródła utrzymania” (s. 43).

Tłumaczenie jest następujące: biednych nie stać na siedzenie spokojnie w domu w czasie lockdownu, więc muszą wtedy pracować, a skoro pracują, to lockdown i restrykcje są przez to nieefektywne. Myślenie życzeniowe niemające pokrycia w rzeczywistości, ponieważ podczas gdy „biedni” Polacy musieli zasuwać do pracy w czasie lockdownu, czyniąc go rzekomo nieefektywnym, zamożni Szwajcarzy szusowali po niezamkniętych w ich kraju stokach narciarskich. Nie wspominając już, że wiele krajów Afryki znajduje się poniżej światowej średniej zgonów covidowych na milion mieszkańców, w przeciwieństwie do państw G7, które, niestety, były rekordy śmiertelności.

Nie zaprzatając sobie głowy tymi faktami, autorzy raportu dochodzą do konkluzji: aby nie było w przyszłości pandemii, potrzebne są lockdowny. A aby lockdowny były skuteczne, potrzebny jest wystarczający dochód w każdym domostwie... Powszechny gwarantowany dochód podstawowy?

Przede wszystkim, niezależnie od przyszłości, najważniejsze jest wygasić obecną pandemię, dlatego panel zaleca (s. 13) wyznaczenie konkretnych strategii i kalendarium osiągnięcia zamierzonych celów tak, jakby zatrzymanie transmisji koronawirusa było wyłącznie kwestią realizacji precyzyjnego harmonogramu działań.

W praktyce oznacza to stanowcze zalecenie objęciem twardymi restrykcjami całego globu, bezwzględny aparat izolacji i inwigilacji sanitarnej (na wzór chiński?), zaszczepienie całej ludzkości,

w raporcie rekomendacje, zebrane pod utopijnym tytułem: „Aby COVID-19 był ostatnią pandemią”.

Zanim przyjrzymy się z bliska treści audytu, warto zwrócić uwagę na autorów zgrupowanych pod pompatyczną nazwą „Niezależny Panel”. Wbrew zasadom bezstronności skład zarządu zespołu mającego dokonać audytu, w tym działań WHO, dobrał sam dyrektor generalny tej organizacji – Tedros Adhanom Ghebreyesus. Następnie zarząd – Hellen Clark, była premier Nowej Zelandii, i Ellen Johnson-Sirleaf, była prezydent Liberii oraz laureatka Pokojowej Nagrody Nobla – skompletował resztę 13-osobowego zespołu ekspertów. Można przy okazji zapytać, co właściwie znaczy „ekspert” w zakresie strategii prewencji pandemicznej.

gigantyczne nakłady finansowe na Światową Organizację Zdrowia oraz zasadnicze zwiększenie jej kompetencji (s. 14). Znów przesadzam? „Stosować niefarmaceutyczne środki zdrowia publicznego systematycznie i ściśle w każdym kraju, w stopniu, w jakim wymaga tego sytuacja epidemiologiczna”. Najwyraźniej paneliści w ogóle nie skonfrontowali się z badaniami podsumowującymi skutki i efektywność stosowania „niefarmaceutycznych środków zdrowia publicznego” (np. Uniwersytetu Stanforda), o takich cudach natury jak Floryda czy Teksas nie wspominając. Następnie: „Kraje G7 powinny zobowiązać się do zapewnienia 60 proc. z 19 mld dol. (bagatela!) potrzebnych w 2021 r. dla ACT-A [akcelerator badawczo-produkcyjny WHO] na szczepionki, diagnostykę, terapie i wzmocnienie systemów opieki zdrowotnej, podczas gdy reszta budżetu zostanie sfinansowana przez pozostałe kraje G20 i inne kraje o wysokich przychodach”. Z tego powodu eksperci postulują opracowanie skutecznej formy ściągania składek na tego typu działania zrównoważonego światowego rozwoju, wedle możliwości finansowych każdego państwa.

„PANDEMIA TO JA!”

Drastycznemu zwiększeniu obowiązków danin na WHO ma towarzyszyć także rozszerzenie kompetencji legislacyjno-wykonawczych samej instytucji, czyli zapewnienie jej realnej władzy, choć zalecenia te sformułowano w zawołany sposób: „Skupić mandat WHO na instrukcjach normatywnych, działań i technicznych [...]. Upoważnić WHO do roli przywódczej, konwokacyjnej i koordynującej w zakresie różnych aspektów nagłej odpowiedzi na pandemię [...]. Zapewnić wystarczające zasoby finansowe i materialne dla krajowych biur WHO, aby były w stanie odpowiadać na techniczne wnioski poszczególnych rządów o wsparcie prewencji i działań pandemicznych, włącznie ze wsparciem budowania prężnego, sprawiedliwego i zintegrowanego systemu opieki zdrowotnej oraz zdrowszej populacji” (s. 49). A więc lokalne biura WHO mają stanowić superministerstwa zdrowia i pomyślności populacji, finansowane oczywiście z pieniędzy podatników. Znów przesadzam? Solenne zalecenia audytu idą jeszcze dalej: „Głowa państwa (sic!) oraz rząd powinny mianować krajowego koordynatora pandemicznego,

odpowiadającego przed najwyższymi szczeblami rządu, mającego mandat kierowania całym działaniem rządu zarówno pod kątem przygotowania, jak i odpowiedzi na pandemię” (s. 59). Innymi słowy – będzie to oberepidemiolog postawiony ponad wszystkimi krajowymi instytucjami, z pełnią władzy pandemicznej w ręku, podlegający w warunkach polskich co najwyżej premierowi, pan lockdownów i najcięższych restrykcji, mogący równie dobrze parafrazować kardynała Richelieu: „Pandemia to ja!”. Kim będzie ten człowiek, jeśli nie wiernym wykonawcą normatywnych decyzji, które będą tworzone bez najmniejszej kontroli państwa polskiego, a w praktyce zostaną nam narzucane odgórnie przez WHO, która w obecnej pandemii niejednokrotnie zmieniała zdanie co do swych rekomendacji, choćby w przypadku testów PCR?

Tymczasem w całej tej masie utopijnych i totalitarnych zapędów autorzy raportu zawarli kilka stwierdzeń, które rozumiane dosłownie stanowią poważne zarzuty pod adresem Światowej Organizacji Zdrowia: „Sposób, w jaki WHO jest obecnie finansowana, ma poważne konsekwencje odnośnie do jakości wydajności organizacji. Jej kruche finansowanie jest głównym zagrożeniem uczciwości i niezależności jej prac” (s. 48). Czyżby autorzy audytu sugerowali korupcję w Światowej Organizacji Zdrowia? A jeśli tak, to kto, kogo i w jakim celu korumpuje? Niestety, tego intrygującego wątku nie rozwijają, stanowczo zalecają natomiast „wzmocnienie władzy i niezależności Dyrektora Generalnego, również poprzez wprowadzenie jednej siedmioletniej kadencji, bez możliwości reelekcji. Ta sama zasada powinna obowiązywać Dyrektorów Regionalnych” (s. 49).

Coś jednak z tymi podejrzeniami jest na rzeczy, skoro „priorytetem powinna być jakość i wydajność kadr na każdym szczeblu WHO oraz odpolitycznienie rekrutacji (zwłaszcza na wyższych stanowiskach) poprzez stosowanie kryterium zasług i odpowiednich kompetencji”. Bo przecież nie napisał tego Donald Trump – który, pamiętajmy, domagał się śledztwa w sprawie możliwej korupcji i krycia Chin przez WHO – a przesiąknięci poprawnością polityczną i założeniami globalnej agendy autorzy.

ŚWIATOWY RZĄD SANITARNY?

Jednocześnie „Niezależny Panel” postuluje utworzenie stałego ciała nadzorczego dla WHO w postaci Rady Zagrożeń Globalnego Zdrowia (Global Health Threats

Council), „kluczowej dla odniesienia w przyszłości sukcesu” w kwestiach pandemicznych. Zresztą „pandemia ukazuje, że takie ciało jest potrzebne od dawna” (s. 46). Czy ma być ono dubletem dla WHO? Bardziej jego radą nadzorczą, odbierającą de facto państwom członkowskim nadzór nad tą organizacją. Rada „pomogłaby zapewnić polityczne przywództwo na wysokim szczeblu i zadbać o to, aby pandemia prewencja, gotowość i działania służyły na dłuższą metę wizji świata bez pandemii”. Pokrętnie nawet w oryginał, ale proste w swej istocie: „Nigdy więcej pandemii!”, zatem: „Więcej globalnej polityki!”.

Jak propozycja „politycznego przywództwa” ma się do zarzutów o upolitycznienie WHO? „Rada będzie inkluzywnym i prawowitym głosem władzy mającej możliwość zarówno korzystania z mechanizmów pociągania do odpowiedzialności, jak i zapewnienia dostępu do finansowania umożliwiającego gotowość, jak i działania przeciwpandemiczne na poziomie krajowym, regionalnym i globalnym” (s. 46). Tłumacząc wtórnie na język polski: chodzi o powołanie do życia światowego urzędu sanitarnego, mogącego karać niepokornych („mechanizm pociągania do odpowiedzialności”), a zawsze uległych dopuszczać do kurka zadłużania bez pokrycia („dostęp do finansowania”). Na marginesie trzeba dodać, że podobne scentralizowane globalne zarządzanie pandemią uniemożliwi empiryczne porównywanie efektywności odmiennych strategii sanitarnych między regionami stosującymi twarde restrykcje, a tymi stosującymi jedynie miękkie rekomendacje, gdyż ten ujednolicony system sam z siebie będzie dążył do eliminacji wszystkich stanowisk odrębnych od jedynej słusznej „wizji świata bez pandemii”.

Rada ma zostać utworzona w wyniku międzynarodowego traktatu. Jej 18-osobowy skład (s. 72), w tym wypadku nie do końca inkluzywny (w trzyosobowym zarządzie ma być przynajmniej jedna kobieta; nie wiadomo jednak, czy może to być kobieta transpłciowa; z kolei limity na osoby niebinarne zupełnie pominięto...), zakłada tylko 10 reprezentantów wszystkich kontynentów bądź regionów świata, trzech przedstawicieli społeczeństwa (którego społeczeństwa z multum ziemskich społeczności?), trzech przedstawicieli sektora prywatnego (czytaj: lobbystów z Big Pharmacy; Bo kogóż innego pożytecznego można zaprosić do takiej Rady? No dobrze, lobbystów i bankierów), a także „dwóch prominentnych globalnych obywateli bądź

ekspertów”, co dość dobrze zdradza utopijne i symplistyczne myślenie autorów, dla których ekspert może być równie dobrze zastąpiony wymagowanym „prominentnym globalnym obywatelem”, co w praktyce oznacza rozpoznawalnego celebrytę, bezkrytycznie oddanego globalistycznej agendzie. Zapomnijmy w każdym razie o jakimkolwiek wpływie na podobne ciała obdarzone globalną władzą, o zwykłej kontroli już nie wspominając.

Czytając podobne pomysły, trudno nie wspomnieć proroczych słów Jacques’a A. Attali, doradcy prezydentów Francji, dyżurnego komentatora politycznego, a przede wszystkim zagorzałego zwolennika zaprowadzenia rządu światowego ze stolicą w Jerozolimie, który w artykule z 6 maja 2009 r. na łamach francuskiego tygodnika „L’Express”, w materiale o jakże wymownym tytule „Strach popycha do przodu”, przy okazji epidemii ptasiej grypy pisał: „Rozpoczęta pandemia mogłaby wywołać jeden z tych konstruktywnych lęków. [...] Jeśli epidemia będzie dość poważna, co jest możliwe, bo jest to choroba przenoszona przez człowieka, będzie ona miała konsekwencje zaiście planetarne: ekonomiczne i polityczne [...]. Większa pandemia uświadomi wówczas, o wiele lepiej niż jakikolwiek dyskurs humanitarnej bądź ekologicznej, potrzebę altruizmu, przynajmniej zainteresowanego [filantropizmu] zainteresowanego [filantropizmu]. A nawet – jak oczywiście mamy nadzieję – jeśli kryzys ten nie będzie zbyt poważny, nie powinniśmy zapomnieć wyciągnąć z niego konsekwencji (czego nie zrobiliśmy w przypadku kryzysu ekonomicznego), aby przed następną, nieuniknioną pandemią wprowadzić mechanizmy prewencji i kontroli, a także proces zrównoważonej dystrybucji lekarstw i szczepionek. Aby tego dokonać, trzeba będzie wprowadzić światową policję, zorganizować światowe zapasy, a więc wprowadzić światowe podatki. A wówczas o wiele szybciej niż z powodów ekonomicznych położymy fundamenty pod prawdziwy rząd światowy”.

Trudno o lepszy komentarz proponowanych przez raport „Niezależnego Panelu” poszczególnych rozwiązań i tego, czym w istocie miałyby być postulowana Rada Zagrożeń Światowego Zdrowia.

PARADOKS GRANICZĄCY Z GŁUPOTĄ

Pierwotnym założeniem audytu było zaproponowanie korzystnych rozwiązań

w oparciu o analizę doświadczeń z obecnej pandemii. I rzeczywiście, jak widać, autorzy zaproponowali rozwiązania z prawdziwego zdarzenia, podwaliny rządu światowego. Zrobili to bez żadnej wnikliwej analizy obecnej pandemii, na przekór faktom i powstającym publikacjom naukowym. Wychodzą naiwnie i a priori z założenia, że aby uniknąć przyszłych pandemii, wystarczy zrobić wiele rzeczy: wprowadzić światowy system segregacji i inwigilacji sanitarnej, wyszczepić cały glob, wypracować fundusze niwelujące nierówności ekonomiczne itd. Przy tym w ogóle nie zadają sobie pytania o to, w jaki sposób doszło do obecnej pandemii – czyli jak można było jej uniknąć! Czy Chiny należycie wywiązały się ze swych obowiązków natychmiastowego zgłoszenia nowej epidemii? Czy WHO spełniła swoją rolę globalnego zwiadowcy sanitarnego? Jakie były pozytywne i negatywne skutki konkretnych działań sanitarnych? Naukowcy, jak prof. Peter Hotez wykładający wirusologię i biologię molekularną w Baylor College, przestrzegają: „Jeśli nie zrozumiemy w pełni źródeł COVID-19, będziemy mieli COVID-26, a potem COVID-32”.

Zamiast odpowiedzi na naprawdę ważne pytania raport do znudzenia epatuje ogólnymi dywagacjami typu: „Jedne kraje zadziałały należycie, inne nie”, nie wspominając nawet, o jakie kraje chodzi. Czytając ten dokument, odnosi się wrażenie, że jeśli ktoś jest winny pandemii, to bliżej nieokreślone kraje, które nie zaangażowały się należycie w sanitarne chocholi taniec tudzież nie chcą się dzielić swymi finansami z biedniejszymi krajami. Nie ma też w ogóle mowy o tym (o dyskusji nie wspominając), czy istnieją skuteczne formy leczenia, a więc prewencji COVID-19 – a przecież we wszystkich tych kwestiach toczą się od miesięcy żywe dyskusje naukowe, podpierane analizami i badaniami uznanych naukowców, których nazwisk próżno jednak szukać w liście konsultowanych przez „Panel” ekspertów.

Pretensjonalność też autorów, wyrażających bardziej globalną ideologię sanitarną niż uzasadnione stanowiska naukowe, byłaby śmieszna, gdyby nie skala i zakres zmian, których się domagają w oparciu o swe petitio principii, a także fakt, że ich pierwsze konkluzje zaczynają być już wdrażane w życie. Państwa G7 zebrane ostatnio w Kornwarii zapowiedziały sfinansowanie miliarda szczepionek dla biednych krajów, a także

porozumiały się w sprawie jednolitego światowego podatku CIT na poziomie minimum 15 proc. Jak G7 zamierza zmusić suwerenne państwa do reformy systemów podatkowych, to już inna kwestia, ale ma się rozumieć, że oprócz globalnego uszczelniania poboru podatków od firm jest to istotny krok w kierunku tworzenia potencjalnego zaplecza finansowego dla globalnych instytucji rządowych. Wystarczy bowiem w przyszłości ustalić odpowiedni procent do przeznaczenia na ten cel z krajowego CIT, tak jak ma to już np. miejsce w przypadku budżetu unijnego, finansowanego z krajowych danin VAT-owskich.

Opisując i piętnując niespójności wspomnianego raportu, bynajmniej nie twierdzę, że WHO nie potrzebuje zmian, że covidowy kryzys niczego nie powinien nas nauczyć, że we wspomnianym raporcie nie ma również trafnych spostrzeżeń, że dzielenie się bogatych z ubogimi szczepionkami jest formą spisku (choć w realnej polityce nie ma bezinteresowności). Jednakże nie sposób przejść do porządku dziennego nad faktem, że państwa członkowskie Światowej Organizacji Zdrowia zobowiązały WHO do rzetelnego audytu w sprawie pandemii, a w zamian powstał nienaukowy i propagandowy folder przedstawiający, obok milutkich kolorowych zdjęć ludzi w maseczkach, polityczny program globalnej agendy, prowadzący nas docelowo do oligarchicznego rządu światowego jako furtki świata bez pandemii. Owszem, z różnych powodów rząd światowy prędzej czy później prawdopodobnie powstanie, zdaje się to nawet zapowiadać Księga Objawienia św. Jana, ale jeśli ktoś naprawdę wierzy, że wyrzeczenie się suwerenności jak za sprawą magicznej różdżki wyprowadzi nas z ludzkiej rzeczywistości łez padołu do krainy mlekiem i miodem płynącej, zażegna na zawsze widmo chorób i zaraz oraz zdejmie z nas definitywnie brzemię cierpienia i śmierci, ten jest oderwanym od faktów głupcem. Głupcem niebezpiecznym. Powstanie tak rozumianej Rady Zagrożeń Globalnego Zdrowia zupełnie nie leży w naszym interesie, dlatego nie powinniśmy przykładąć ręki do ratyfikacji ewentualnych międzynarodowych traktatów, które mogą w niedalekiej przyszłości powołać ją do istnienia. Rzetelny audyt w sprawie światowego kryzysu COVID-19 oraz odpowiedzialności poszczególnych podmiotów i osób pozostaje wciąż do zrobienia.

Występując regularnie na konferencjach prasowych obok prezydenta Donalda Trumpa, w 2020 r. Anthony Fauci stał się najbardziej rozpoznawalnym w świecie ekspertem w zakresie pandemii koronawirusa, urastającym w oczach globalnych mediów do rangi nieomyślnej wyroczni. W marcu ubiegłego roku Mark Zuckerberg pisał doń w spoufalającym tonie, prosząc o wystąpienie, które stanowiłoby „miarodajną informację” dla ponad 2,5 mld użytkowników Facebooka, „ponieważ ludzie ufają i wolą słyszeć naszych ekspertów niż zgrać instytucji i przywódców politycznych”. Tymczasem to właśnie „zgrai instytucji” w postaci Narodowych Instytutów Zdrowia (NIH), w których pracuje nieprzerwanie od początku swej kariery zawodowej, czyli od 1968 r., 80-letni Fauci zawdzięcza swój obecny status uznanego wirusologa i najbardziej wpływowego eksperta w sprawach COVID-19.

KARIERA WIRUSOLOGA

Z wykształcenia lekarz, z zawodu naukowiec oraz urzędnik, który od 1984 r. do dziś kieruje Narodowym Instytutem Alergii i Chorób Zakaźnych (NIAID) wewnątrz NIH, Fauci zapisał się na kartach medycyny przede wszystkim swymi badaniami nad wirusem HIV oraz efektywnymi programami leczenia AIDS. Za to w 2008 r. został odznaczony przez prezydenta George'a W. Busha Prezydenckim Medalem Wolności, najwyższym cywilnym odznaczeniem w USA. Dzięki osiągnięciom na polu wirusologii oraz jako dyrektor NIAID Fauci bardzo szybko stał się najbardziej wpływowym członkiem prezydenckiego zespołu zadaniowego ds. koronawirusa w Stanach Zjednoczonych. Gdy Donald



FOT. PAP/PEA

Ciemne chmury nad ekspertem



Wojciech Golonka

Anthony Fauci, ekspert prezydenckiego zespołu ds. COVID-19 w USA, ma kłopoty po tym, jak opublikowano ponad 3 tys. jego wiadomości e-mailowych. Wiadomo, że instytucja, w której pracuje, finansowała prace laboratorium w Wuhan

Trump starał się budować pozytywny przekaz dla Amerykanów oraz unikać narzucania obowiązkowych obostrzeń, w tym lockdownów, dr Fauci studiował optymizm i firmował twarde restrykcje, które następnie gubernatorzy implementowali w większości poszczególnych stanów USA. Po wygranej Joe Bidena wirusolog został dodatkowo mianowany głównym doradcą medycznym Białego Domu, ku zniesmaczeniu części republikanów, zarzucających Fauciemu odpowiedzialność za negatywne skutki ograniczeń sanitarnych oraz porażkę wyborczą Trumpa. Wiosną tego roku Fauci musiał stawić się na przesłuchaniach senackiej komisji ds. oceny państwowej odpowiedzi

na COVID-19. Musiał mierzyć się z pytaniami na temat zmiennych rekomendacji stosowania maseczek, porównania odporności uzyskanej przez szczepienia w stosunku do naturalnej odporności ozdrowieńców oraz przyczyn wybuchu epidemii w Wuhan.

DOTACJE DLA CHIŃSKIEGO LABORATORIUM

Pod koniec maja dziennikarze w ramach prawa do informacji uzyskali dostęp do wiadomości e-mailowych Fauciego. Opublikowano ponad 3 tys. wiadomości z okresu styczeń–czerwiec 2020 r. Widać w nich m.in. diametralny zwrot Fauciego w kwestii stosowania maseczek – od

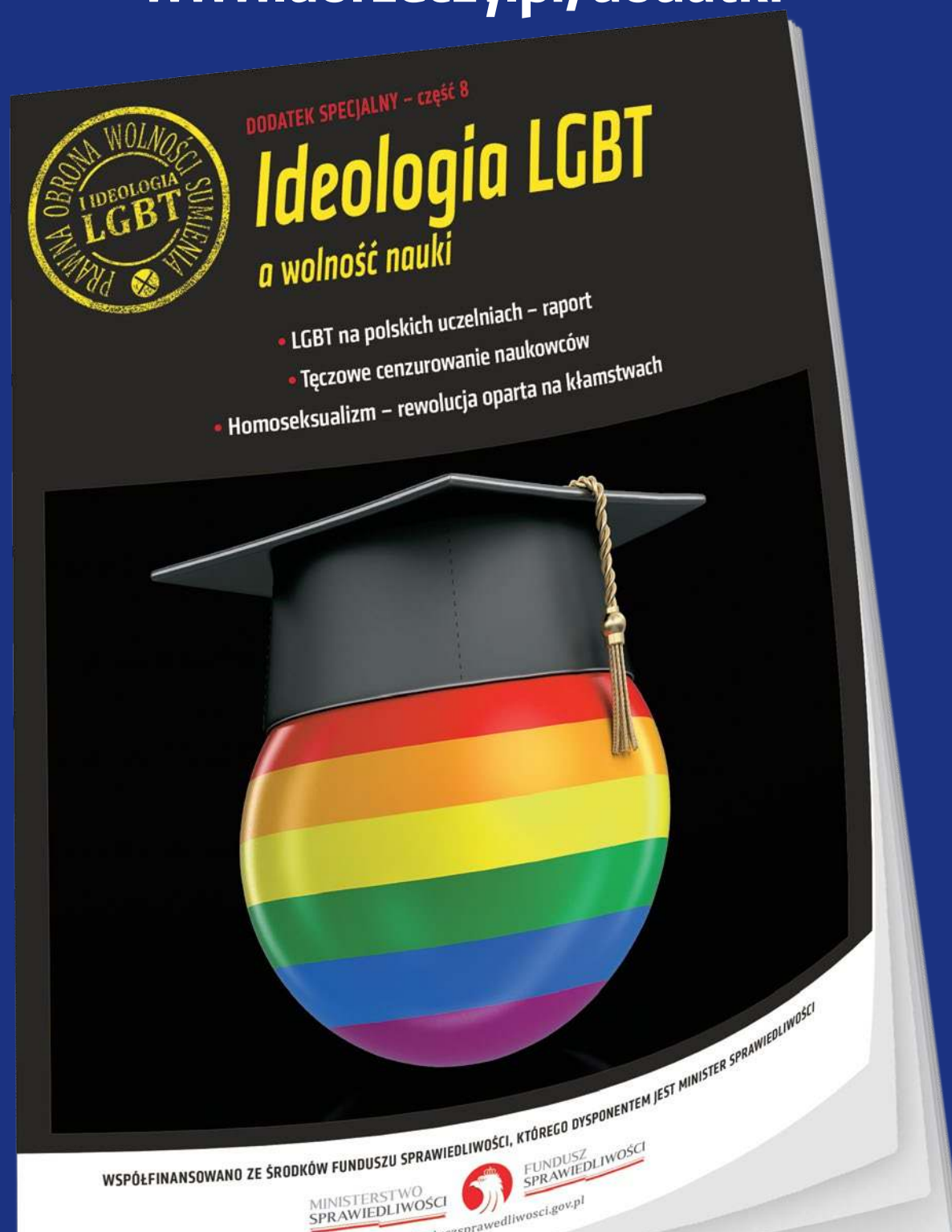
podkreślenia braku zasadności ich używania do zalecania noszenia kilku maseczek naraz.

Krytycy Fauciego skupili się na wątku możliwego laboratoryjnego wycieku koronawirusa w Wuhan oraz zakresu finansowania tego laboratorium przez USA. Choć, jak wynika z e-maili, Fauci był informowany z różnych źródeł o możliwym „laboratoryjnym” rodowodzie wirusa, to podobnie jak większość ówczesnych ekspertów twierdził, że jest to teza nieprawdopodobna, nazywana zresztą w wewnętrznej korespondencji NIH „teorią spiskową”. Za jej ukrócenie w kwietniu 2020 r. dziękował Fauciemu Peter Daszak, prezes Eco Health Alliance, za której pośrednictwem NIAID (a więc Fauci) przekazał laboratorium w Wuhan przeszło milion dolarów na badania nad koronawirusami w latach 2014–2019.

Fauci ostatecznie przyznał, że NIH finansowały laboratorium, zaprzeczył jednak, że badania uwzględniały zwiększanie potencjału wirusa (w tym jego zakaźności), choć nie przekonał krytyków domagających się jego dymisji i śledztwa. Według „The Australian” w 2012 r. Fauci opowiadał się wręcz za tego typu badaniami nawet za cenę ryzyka wybuchu światowej pandemii wskutek wycieku wirusa z laboratorium. Wedle bowiem jego ówczesnej kalkulacji, „korzyści z podobnych eksperymentów i wynikająca z nich wiedza przewyższają ryzyko”.

15 czerwca prokuratorzy federalni wszczęli dochodzenie w sprawie zarządzania i monitorowania przez NIH grantów dla zagranicznych laboratoriów w latach 2014–2021. Niewykluczone, że kłębiące się nad ekspertem chmury zamienią się w niedalekiej przyszłości w gwałtowną burzę. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
www.dorzeczy.pl/dodatki



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 73413d5b6b

Liczenie szabel

Mędzy Jarosławem Kaczyńskim a Jarosławem Gowinem chemii nie było nigdy. To od początku był związek z rozsądkiem. Oba stronom ten układ po prostu się opłacał. Teraz obie strony kalkulują, czy aby na pewno bardziej od trwania nie opłaca się rozstanie.

Kaczyński jeszcze nie wybaczył Gowinowi jego uporu w sprawie niedopuszczenia do korespondencyjnych wyborów prezydenckich w ubiegłym roku, a jego cierpliwość znów została wystawiona na próbę. Chodzi o Polski Ład, który jest dziś oczkiem w głowie i prezesa PiS, i premiera Mateusza Morawieckiego. – Prezes i premier sporo czasu poświęcili na przekonywanie i urabianie Gowina, by mieć pewność, że zagłosuje „za”. Negocjacje z nim trwały dziewięć czy dziesięć tygodni, Gowin wyklócał się o każdy punkt, aż wreszcie udało się dojść do porozumienia – opowiada nam polityk znający kulisy sprawy.

KONTESTACJA I REAKCJA

Kilka tygodni później, po uroczystym podpisaniu dokumentu o Polskim Ładzie, Jarosław Gowin zaczął publicznie krytykować pomysły w nim zawarte, zwłaszcza te dotyczące podwyżek podatków. – Z całą pewnością ani ja, ani posłowie Porozumienia nie poprzemy rozwiązań, które oznaczałyby 50-procentowy wzrost obciążeń podatkowych – zadeklarował w Wirtualnej Polsce, dodając, że może poprzeć niewielką podwyżkę podatków, ale jego zdaniem to, co chce zrobić PiS, jest rewolucją.

W odpowiedzi ruszyły więc publiczne apele polityków PiS do Gowina, by zaprzestał kontestowania Polskiego Ładu, a także ponowne rozmowy z nim. – Prezentowaliśmy Polski Ład z dużymi nadziejami na sondażowe odbicie. Miał być wyjazd w Polskę i zachwalanie pomysłów, a tymczasem traciliśmy czas na ponowne głaskanie i urabianie Gowina. W toku tych rozmów prezes stwierdził, że Gowin ma złą wolę i rozmowy są bez sensu – opowiada polityk koalicji.

Koronnym dowodem na złą wolę stał się zaś transfer wrocławskiego radnego Porozumienia z klubu PiS do klubu prezydenta Wrocławia Jacka Sutryka. Radny tłumaczył swoją decyzję tym, że Polski Ład uderza w samorządy, czego on nie akceptuje, i dodał, że Gowin przyjął jego decyzję ze zrozumieniem.

GRA NA OSŁABIE

W PiS mówi się, że decyzja o rozstaniu z Gowinem już zapadła. Pytanie brzmi



Kamila Baranowska

Dla Jarosława Kaczyńskiego obecna koalicja jest najwygodniejszym scenariuszem. Coraz bardziej prawdopodobny staje się jednak ten drugi scenariusz – z koalicją bez Jarosława Gowina



FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

tylko, kiedy i jak. Czy Gowin odejdzie sam, czy poczeka, aż Kaczyński go wyrzuci, jak zrobił to samo w 2013 r. Tusk. Nasi informatorzy wskazują, że do czasu partyjnego kongresu, który odbędzie się 3 lipca, Kaczyński chce mieć spokój.

– Prezes chce mieć pewność, że zostanie bez problemu wybrany, bo wbrew powszechnemu przekonaniu on naprawdę bardzo poważnie podchodzi do spraw formalnych i nie chce żadnych gwałtownych ruchów przed kongresem. Jest wrażliwy na tym punkcie. Poza tym uważa, że czas działa na naszą korzyść, bo daje czas na przekonywanie ludzi Gowina, by przeszli do nas – mówi nam polityk PiS.

SZUKANIE ALTERNATYWY

O tym, że prezes PiS chce się pozbyć Gowina z koalicji, świadczyć ma także zawarty nie tak dawno pakt z Pawłem Kukizem. Co prawda Kukiz ma zaledwie czterech posłów, a i to nie wszystkich pewnych co do tego, czy będą słuchać jego poleceń, ale dziś PiS jest w sytuacji, w której każdy głos jest na wagę złota. Prawdziwym sprawdzianem liczby szabel, które partia rządząca ma do dyspozycji, było niedawne głosowanie w sprawie kandydatki PiS na rzecznika praw obywatelskich. Kandydatkę PiS – senator Lidie Staroń – udało się przeformować tylko dzięki głosom części posłów Konfederacji, bo Gowin i jego ludzie zagłosowali przeciw, wspierając innego kandydata – prof. Marcina Wiącka.

W Sejmie przeciw Staroń zagłosowało dziewięciu polityków Porozumienia (wliczając też Gowina). Dwóch z 11 posłów, lojalnych dotąd wobec Gowina, zagłosowało razem z PiS. Ten test wypadł dla Kaczyńskiego mało pomyślnie. Pokazał, że Gowin ma więcej sojuszników, niż się spodziewano, i rządzenie bez niego jest niemożliwe.

– To kwestia czasu i będzie możliwe – twierdzi jednak polityk z otoczenia Kaczyńskiego. – Z tych ośmiu posłów, którzy wsparli Gowina, pięć osób jest w rządzie. W momencie, gdy z rządu odejdzie Gowin albo zostaną ukrócone jego wpływy, ci ludzie będą musieli podjąć decyzję, czy zostają czy odchodzą i co im się bardziej opłaca – dodaje.

Z politykami Porozumienia spotykają się teraz intensywnie prezes PiS, premier i jako prawa ręka prezesa także Mariusz Błaszczak. Cztery osoby miały zadeklarować, że w razie odejścia Gowina zostaną w koalicji. To dawałoby Zjednoczonej

Między innymi po to, by ułatwić ludziom Gowina bezpieczny transfer, powstała nowa partia Adama Bielana – Partia Republikańska

Prawicy brakujące głosy i większość, choć kruchą – licząc z posłami Kukiza i Bielana.

Między innymi po to, by ułatwić ludziom Gowina podjęcie decyzji, powstała nowa partia Adama Bielana – Partia Republikańska, do której mogą się bezpiecznie przetransferować, bez potrzeby zapisywania się bezpośrednio do PiS.

W PiS można znaleźć polityków przekonanych, że nie z takich kryzysów Zjednoczona Prawica się podnosiła. I że skoro Kaczyński nie zdecydował się na wyrzucenie Gowina w ubiegłym roku, po zakwestionowaniu przez niego wyborów korespondencyjnych, to i teraz jednak się na to nie zdecyduje.

Na to liczy chyba Gowin, który wydaje się wciąż niezdecydowany co do swojej politycznej przyszłości. A czas działa na jego niekorzyść. Jeśli chce być wiarygodny dla nowego elektoratu opozycyjnego, to im szybciej oficjalnie odetnie się od PiS, tym więcej czasu będzie miał na uwiarygodnienie. Na to mają naciskać jego najbliżsi współpracownicy. Tymczasem lider Porozumienia z jednej strony daje sygnały opozycji, że już za chwilę będzie „do wzięcia”, z drugiej – każdą krytykę Polskiego Ładu kończy stwierdzeniem, że ma nadzieję, iż „uda się wypracować rozwiązanie, które połączy cały obóz Zjednoczonej Prawicy”. – On żyje w swojej bańce. Ma przeświadczenie, że jego elektorat to mali przedsiębiorcy i jeśli oni są przeciwko podwyżce podatków w Polskim Ładzie, to on musi stać po ich stronie, bo inaczej zginie. Tylko że bez PiS też może zginąć i poza koalicją wcale nie będzie mu łatwiej – mówi nam nasz rozmówca z koalicji.

DROGA DO PSL

Jeszcze w ubiegłym roku w stronę Gowina płynęły oferty zarówno z PSL, jak i Koalicji Obywatelskiej. On sam najchętniej widziałby się zapewne u boku Szymona Hołowni, gdzie mógłby z łatwością, jako starszy i bardziej doświadczony, szybko zacząć grać pierwsze skrzypce. I z tego m.in. powodu Hołownia się na jego transfer nie zgodzi. Chcąc uchodzić

za nową, świeżą jakość w polityce, nie może otaczać się zgranymi politykami.

Najbardziej pewne miejsce, do którego mógłby pójść Gowin, to PSL, które cały czas chce budować umiarkowaną koalicję na prawo od Platformy, ale bardziej w centrum niż PiS. Jak słyszymy, między Gowinem a prezesem PSL Władysławem Kosinią-Kamyszem jest osobista sympatia, co ułatwia im rozmowy. – Skoro Gowin i jego posłowie, pomimo ogromnych nacisków, wytrwali i w 11 osób zagłosowali za prof. Marcinem Wiąckiem jako kandydatem na RPO, to jest to dobry sygnał, potwierdzający ich wiarygodność. Oczywiście premier Gowin wciąż nie jest po zielonej stronie mocy, ale czekamy – mówił niedawno Wirtualnej Polsce prezes PSL.

Wiadomo jednak, że działacze w terenie nie będą tym transferem zachwyceni. Raz, że Gowin to postać nie z ich bajki. Dwa, że oczywiste jest, iż ludzie Gowina na listach to mniej miejsc dla działaczy PSL. Zresztą na starcie od razu pojawił się problem z samym Gowinem, który zawsze startował z okręgu w Krakowie i nigdy nie chciał z innego. Tymczasem jedynekę z list PSL ma obiecana poseł Ireneusz Raś, który niedawno został wyrzucony z Platformy i zasilł szeregi PSL, negocjując właśnie miejsce na liście w Krakowie. Smaczku tej historii dodaje to, że Raś z Gowinem niespecjalnie pałają do siebie sympatią. A ze słabym wynikiem, który w ostatnich wyborach uzyskał Gowin (niecałe 16 tys. głosów), mało realne jest wejście do Sejmu z innego niż pierwsze miejsce (PSL bierze w Krakowie co najwyżej jeden mandat).

Wygląda na to, że po wakacjach czekają nas kolejne turbulencje w obozie rządzącym i przegrupowanie sił. Wzrosną akcje Zbigniewa Ziobry, do gry wejdzie na dobre Paweł Kukiz, pole do popisu będzie miał Adam Bielan. Nawet jeśli uda się uciąć większość w parlamencie, to będzie to rządzenie dużo trudniejsze niż obecnie. Jarosław Kaczyński wydaje się z tym pogodzony. – Liczymy na to, że jednak nastroje społeczne będą się poprawiać, kryzys pandemiczny powoli się kończy, a wraz z napływem unijnych pieniędzy Polacy zaczną odczuwać poprawę w swoich portfelach. Skoro nie zabiły nas protesty w sprawie TK, strajki kobiet i pandemia, to wychodzimy z założenia, że najgorsze za nami, bez względu na to, co się dzieje w koalicji – uważa polityk prawicy. Jesień pokaże, czy nie był to przedwczesny optymizm.



FOT. ADRIAN STOK

Polska na hulajnodze



Łukasz Warzecha

Międzynarodowa sytuacja Polski wygląda trochę tak, jakby odjeżdżał nam szybki pociąg, a my próbowalibyśmy go dogonić na hulajnodze, i to nawet nie elektrycznej. Cóż zatem robić i co zmienić?

Truizmem jest stwierdzenie, że światowy porządek fundamentalnie się zmienia, i to już od ponad dekady. Im zmiany wyraźniejsze, tym Polska wydaje się mocniej pogubiona. To pogubienie nie musi koniecznie skutkować wielkim krachem, przegraną wojną czy okupacją. Może skończyć się „jedynie” na stopniowej marginalizacji ostatecznie do roli biernego przedmiotu gry innych. To nam grozi, szczególnie że z wypowiedzi decydentów nie wyłania się jakakolwiek poważna myśl strategiczna.

Osie zmian w stosunku do fałszywie błęgiego czasu przede wszystkim lat 90., ale też przez jakiś czas później, można w skrócie opisać następująco.

WEKTORY ZMIAN

Po pierwsze – postępujące umacnianie się Chin ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Pozycji gospodarczej Państwa Środka nie złamała pandemia. Chiny już nawet nie wyrastają, ale po prostu są głównym gospodarczym rywalem USA z PKB sięgającym niemal 15 bln dol. w porównaniu do 21 bln dol. USA. Są też gigantycznym rynkiem, co pozwala tamtejszym firmom przezwyciężać takie problemy jak wykluczenie Huawei z systemów Google. Huawei stworzyło po prostu własny ekosystem operacyjny, opierając się głównie na chińskich klientach. Za tym idą rosnące wpływy w światowej gospodarce, lecz również być może ambicje ekspansji terytorialnej. W chińskiej elicie coraz poważniej mówi się ostatnio o możliwości siłowego zajęcia Tajwanu, co groziłoby wciągnięciem Stanów Zjednoczonych w bardzo dla nich niewygodną wojnę.

Po drugie – zmiana amerykańskiej optyki. Jeszcze w czasach George’a Busha

juniora, o czasach Clintona nie mówiąc, amerykańscy neokonserwatyści mieli ambicje eksportowania amerykańskich wzorców na cały świat. Barack Obama wyraźnie zdystansował się od Europy i zaczął przenosić zainteresowanie na Azję, w tym właśnie na Chiny. Donald Trump wprowadził do amerykańskiej polityki zagranicznej merkantylny pragmatyzm, dopełniając niemalże zerwania z Europą Zachodnią. Wygląda na to, że Joe Biden zamierza się skupić na najważniejszych graczach, w tym znów szczególnie na Chinach, a Europa potrzebna mu będzie jedynie, jeśli mu w tym zamiarze pomoże. To zaś przenosi Europę Środkową na kompletny margines zainteresowania Waszyngtonu.

Po trzecie – ideologizacja polityki europejskiej. Dzisiaj politycznego i gospodarczego kursu UE nie wyznacza realistycznie skalkulowane kryterium wymiernego pomnożenia potencjału kontynentu, ale zielona ideologia. Jej podporządkowane jest wszystko i musi to skutkować gigantycznymi kosztami. Można powiedzieć, że Unia w ciągu ostatnich 15 lat sama zdecydowała o odstawieniu się na boczny tor światowej polityki w imię „walki o klimat”. Podczas gdy rywalizacja i gra pomiędzy USA, Rosją i Chinami będzie się odbywać w oparciu o twarde liczby, a sprawy ekologii będą przez te państwa traktowane jedynie jako PR-owski instrument (może najmniej w USA pod rządami Bidena), Unia będzie zabijać własną gospodarkę i zubażać obywateli w imię zielonego szaleństwa.

Po czwarte – za naszą wschodnią granicą mamy tradycyjnie obszar niepewności i wrogości, gdy idzie o Rosję. Działania Kremla są od dawna funkcją sytuacji wewnętrznej kraju, a ta z punktu widzenia obywateli staje się od paru lat coraz gorsza. Władimir Putin też nie jest wieczny, a jego odejście będzie oznaczało walkę o władzę z trudnymi do przewidzenia konsekwencjami.

MIEJSCE POLSKI

To tylko kilka spośród większej liczby wektorów zmian. Gdzie w tym jest Polska?

Gdy idzie o UE, płyniemy z głównym nurtem, wydając najwyżej co jakiś czas retoryczne pohukiwania lub wykonując gesty czysto symboliczne, takie jak próba niedopuszczenia do przedłużenia kadencji Donalda Tuska w 2017 r. Rząd Morawieckiego pod tym względem w zasadzie

niczym się nie różni od rządów PO. Przy czym wszystkie złe skutki zielonego unijnego szaleństwa dotkną nas wielokrotnie mocniej niż Francuzów czy Niemców.

W UE jesteśmy zarazem w nieustającej defensywie, w więc nasza uległość nie przynosi nam żadnej korzyści – podobnie jak to było w czasach Platformy. Żadna istotna polityka unijna nie została z naszej inicjatywy i pod naszym wpływem zmoodyfikowana znacząco na naszą korzyść.

Bliskość z USA, skutkująca względny wzmacnieniem amerykańskiej obecności w Polsce, sówicie opłaconym zakupami amerykańskiego sprzętu i technologii, była skutkiem strategii przyjętej przez Trumpa. Wraz z Trumpem te możliwości się skończyły. Prawda jest zatem taka, że choć nadal możemy traktować USA jako głównego gwaranta naszego bezpieczeństwa, to nie powinniśmy już liczyć na preferencje. Polska pod obecnymi rządami dla administracji Bidena będzie zapewne użyteczna głównie jako chłopic do bicia i zaspokajania politycznych zapotrzebowań wewnątrz kraju. Pokazują to wymownie beczelne uwagi amerykańskiego chargé d'affaires Bixa Aliu, dotyczące niedostatecznej „inkluzywności” (czyli za małych praw LGBT) czy ustawy reprivatyzacyjnej dotyczącej Warszawy, oraz sam fakt, że przez tyle miesięcy Polska nie doczekała się pełnoprawnego ambasadora ze strony swojego podobno najważniejszego sojusznika, co zaczyna wyglądać na celowy dyplomatyczny despekt. W tym kontekście pod znakiem zapytania staje realizacja przereklamowanego chyba, a przecież faktycznie atrakcyjnego projektu Trójmorza, który bez amerykańskiego wsparcia nie ma racji bytu.

Nie sposób też uznać, abyśmy mieli coś przypominającego politykę wschodnią. Owszem, to w dużej mierze kwestia tego, że trudno mieć politykę wobec państwa – Rosji – które celowo trzyma wzajemne relacje praktycznie zamrożone. Dotyczy to jednak również Ukrainy czy Białorusi. Polska nie jest już uznawana za specjalistę od Wschodu. O relacjach z Kijowem można powiedzieć tyle, że są.

Wygląda to wszystko trochę tak, jakby odjeżdżał nam szybki pociąg, a my próbowalibyśmy go dogonić na hulajnodze, i to nawet nie elektrycznej. Cóż zatem robić i co zmieniać?

Pierwsza kwestia nie jest odkrywczą, a podobne rekomendacje powtarzają się od lat. W polityce zagranicznej ważne jest strategiczne planowanie i analizowa-

nie różnych wariantów rozwoju sytuacji. Są nie tylko państwowe, lecz także prywatne ośrodki zajmujące się taką pracą, by wspomnieć o Nowej Konfederacji czy Strategy and Future Jacka Bartosiaka. Nie wygląda jednak, żeby rządzący byli zainteresowani skorzystaniem z ich doświadczenia. Co gorsza, wbrew żelaznej zasadzie polityki zagranicznej, aby mieć otwarte wszelkie możliwe warianty, szły takie pomysły, jak ten prezydenta Andrzeja Dudy, ogłoszony w kontekście niedosłusznego referendum o zmianie konstytucji, by przynależność do UE zapisać w naszej ustawie zasadniczej.

Tymczasem tu powinien nastąpić pierwszy wyłom w dotychczasowym myśleniu. Nasza wspólnota interesów z największymi partnerami europejskimi, a także w pewnych okolicznościach z USA, może być mocno ograniczona. Ba, może się okazać, że jeśli zaczniemy w końcu myśleć w kategoriach własnej korzyści, to w niektórych sprawach z naszymi sojusznikami więcej będzie nas dzielić niż łączyć. To normalne. Natomiast uporczywe i dogmatyczne trzymanie się założenia, że USA zawsze będą naszym jedynym i naczelnym gwarantem bezpieczeństwa, a członkostwo w UE jest raz na zawsze i nigdy nie będzie innej drogi, może nas ostatecznie skierować na manowce. Bądźmy realistami – Polska nie będzie nigdy lub bardzo długo graczem na miarę Niemiec. Ale to nie oznacza, że nie możemy pójść własną drogą. Korzystając na rywalizacji amerykańsko-chińskiej, powinniśmy zacząć dawać jasno do zrozumienia, że nie ma mowy o domyślnym sprzyjaniu jednej ze stron. Wydaje się wręcz, że jeśli kiedykolwiek można było mówić o dogodnym momencie do skorzystania z chińskiego kierunku, to jest to właśnie teraz.

Trzecia sprawa to włączenie wreszcie do naszej kalkulacji realnego rachunku zysków i strat z członkostwa w UE. Ten bilans – zwłaszcza jeżeli uwzględnić kwestie nie tylko gospodarcze, lecz także kulturowe – zaczyna wyglądać na coraz bardziej wyrównany, z tendencją do wyraźnego spadku po stronie „ma”, a wzrostu po stronie „winien”. Jakkolwiek wciąż w pierwszej rubryce wartość jest wyższa, nie ma gwarancji, że tak samo będzie to wyglądać za – powiedzmy – dekadę.

Potrzebna jest rewizja polityki wobec europejskich partnerów. Z jednej strony nie można nadal gładko akceptować każdego kolejnego zaostrzenia celów klimatycznych (ostatnie przyklepaliśmy

w grudniu ubiegłego roku), lecz trzeba zacząć brutalnie korzystać z reguły quid pro quo, gdzie tylko się da; z drugiej – pora pokazać najważniejszym państwom UE, że mogą z nami robić konkretne interesy, bo nie zamierzamy kupować na pniu wszystkiego, co amerykańskie.

Jednym słowem – gra na jednej klawiaturze powinna się jak najszybciej zmienić w grę na tylu klawiaturach, ile tylko będziemy w stanie opanować. Naszym strategicznym celem powinno być zabezpieczenie państwa siecią zależności z różnymi partnerami i kierunkami przy jednoczesnym wzmacnianiu własnego potencjału.

WYJŚCIE POZA SCHEMAT

Żeby jednak to się stało, obie strony politycznego konfliktu w Polsce musiałyby zrozumieć, że ich dogmatyzm w tę czy inną stronę zagraża naszemu bezpieczeństwu w strategicznym planie, bo ogranicza nam pole wyboru. Są w poniekąd osieroconym przez Trumpa obozie władzy ludzie, którzy uznają, że nasza relacja z Europą Zachodnią musi być bliska wojennej; są w opozycji tacy, którzy gotowi są całować Bidena po stopach tylko za to, że wygrał, a każde słowo kanclerz Merkel jest dla nich rozkazem. Trzeba to jasno powiedzieć: jedni i drudzy Polsce szkodzą.

Nie możemy dzisiaj rozgrywać naszego otoczenia tak, jak mogliśmy jeszcze mieć nadzieję przed drugą wojną światową, gdy Adolf Bocheński w „Miedzy Niemcami a Rosją” przeciwstawiał pasywną i ryzykowną politykę płynięcia z głównym nurtem (nazywaną przez niego wyzyskaniem europejskiego bezwładu) aktywnej polityce budowy mocarstwowości poprzez „stworzenie na naszych granicach maksymalnej ilości organizmów państwowych, nawzajem się neutralizujących”. Okoliczności się zmieniły, Polska ma dzisiaj inną, znacznie niższą niż wówczas rangę. Nadal jednak możemy iść drogą, którą generalnie wyznaczają te słowa: rozgrywania różnych sojuszy, nierzadko przeciwstawnych, dla naszej korzyści. Brutalna prawda jest dzisiaj taka, że Polska – wraz z odejściem Trumpa, który wydaje się dzisiaj jednorazową anomalią amerykańskiej polityki – została rzucona na głęboką wodę. Musimy zacząć radzić sobie sami, choć może jest już na tę naukę za późno. Niestety, to wymaga pokonania kompleksów, wyjścia poza schemat. Niestety – bo nadzieja na to jest niewielka.

Aliu karcący



Tomasz Rowiński

Ambasada USA w Warszawie dalej zachowuje się jak nowy Pałac Namiestnikowski. Tyle że teraz strofuje nas już nawet nie ambasador, lecz chargé d'affaires – Bix Aliu



Polska polityka zagraniczna przechodzi kolejną lekcję realizmu. Amerykanie, na których opierała się od wielu lat niemal cała nasza nadzieja w polityce międzynarodowej, rozmawiają ponad naszymi głowami z Rosjanami i Niemcami w sprawie Nord Stream 2. Minęło ledwie kilka miesięcy od przejęcia władzy w Waszyngtonie przez przedstawiciela Partii Demokratycznej, a mogliśmy zobaczyć, jak niewiele znaczymy w rozgrywkach naszego głównego sojusznika, a także jakim błędem jest prowadzenie polityki jednowymiarowej.

Tymczasem stosunek Ambasady Stanów Zjednoczonych w Warszawie do polskiego państwa pozostał ten sam. Oczekiwania polityczne formułowane są wprost i publicznie, w taki sposób, w jaki mógłby je wygłaszać kiepski belfer wobec bezradnych uczniów, którzy są w jego rękach niezależnie od tego, czy robi dla nich coś dobrego czy im szkodzi. Widać wyraźnie, że budynek Ambasady Stanów Zjednoczonych chce utrwalić swój wizerunek nowego Pałacu Namiestnikowskiego, kiedy nad naszym krajem dominowała zupełnie inna potęga.

Jest jednak pewna zmiana, nowym namiestnikiem Stanów Zjednoczonych nie jest już nawet ambasador, lecz niższej rangi urzędnik w randze chargé d'affaires ad interim. Bix Aliu z pełną swobodą zajął się ingerowaniem w polską politykę i sytuację społeczną. Jego głos jest też świadectwem ideowego rozłamu pomiędzy Polską a USA.

WSPIERANIE LGBT

Konto twitterowe Bixa Aliu można by w ostatnim czasie pomylić z kontem którejś z organizacji politycznego ruchu homoseksualnego. Chargé d'affaires wrzucił zdjęcie z Parady Równości i przekonywał, że Polska, Węgry, Rumunia i Ukraina z powodu „braku inkluzywności” ponoszą rzekomo wielkie straty finansowe. Argumentem za tą tezą miał być raport „Open for Business” finansowany przez sieć korporacji – w znacznej mierze amerykańskich – takich jak Google, Facebook, Microsoft czy Deloitte. Raport ten de facto stygmatyzuje, np. poprzez przedruk nagłówków z liberalnych mediów zachodnich, kraje naszego regionu. Jako przykłady wrogości wobec osób homoseksualnych przypominane jest np. środkowoeuropejskie prawodawstwo uniemożliwiające adopcję dzieci przez pary z takimi preferencjami, a Polskę określa się krajem homofobii.

FOT. AMBASADA I KONSULAT USA W POLSCE

Najwyższy obecnie przedstawiciel USA w Polsce nie odmówił też sobie posłużenia się manipulacją, przywołując sprawę samobójstwa 14-letniego Kacpra w kontekście prześladowań osób homoseksualnych w USA i Iranie. Tymczasem nawet lewicowe media opisywały, że przypadek tego chłopca, jako ofiary homofobii, był sprawą spreparowaną przez politycznych aktywistów homoseksualnych, którzy potrzebowali dramatycznej opowieści o ofierze dyskryminacji. Śmierć chłopca nie miała związku z homoseksualizmem i prześladowaniami.

Aliu postanowił też zaingerować w wewnętrzną politykę Polski, pisząc do marszałek Sejmu Elżbiety Witek list wyrażający zaniepokojenie tym, że Polska chce uporządkować kwestię reparytacji. Dlaczego? Ponieważ miałoby to zamknąć drogę ocalonym z Holocaustu do dochodzenia roszczeń. Dość powszechnie wiadomo, że tzw. rekompensaty za utracę mienia zrywkę nie mają nic wspólnego z polskimi obywatelami, Żydami ocalonymi z Holocaustu, ale są rodzajem pewnego dochodowego proceduru. Pozwala on amerykańskiemu kancelariom wymuszać de facto na polskim państwie ponowny wykup własności, która już do niego należy.

Polskich dyplomatów ten list rozwścieczył. „List każe zadać pytanie, czy panu chargé d'affaires zależy na stosunkach z Polską czy też wyłącznie na własnym rozgłosie” – miało powiedzieć „Dziennikowi Gazecie Prawnej” „polskie źródło dyplomatyczne”.

„Temat ma znacznie większy potencjał niż kwestie ideologiczne i różnice między polską prawicą a nową demokratyczną administracją w USA. Aliu wybrał jednak formę, która go kompromituje i nie zbliża do kompromisu” – dodawał inny rozmówca „DGP”.

Polskie MSZ zareagowało notą demontującą niepokoje Bixa Aliu, a całą sytuację określiło mianem niedopuszczalnej.

Wydaje się nieprawdopodobne, a wręcz niemożliwe, by Bix Aliu działał samowolnie, dla własnego rozgłosu, jak miało sugerować „polskie źródło dyplomatyczne”. Jego aktywność jest zbyt intensywna w mediach społecznościowych, by mogła odbywać się poza kontrolą przełożonych. Tym bardziej nie sposób sobie wyobrazić, by bez konsultacji wysłał list do marszałka Sejmu RP.

Aliu to doświadczony pracownik amerykańskiej dyplomacji. Był za czasów Georgette Mosbacher konsulem general-

nym w Krakowie, a potem od 2019 r. zastępcą szefa misji w Warszawie. Wcześniej reprezentował interesy USA w Macedonii, Czarnogórze i Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Przed kilkunastoma laty pracował już w Polsce jako wicekonsul i attaché kulturalny.

W czasach misji macedońskiej (w roku 1999) miał być zaangażowany przy pracach nad porozumieniem w Rambouillet, które zakończyło się fiaskiem i interwencją wojsk NATO w serbskiej Jugosławii. Zaproponowany tekst porozumienia okazał się dla Serbów nie do zaakceptowania, co ostatecznie zakończyło się oderwaniem państwa jugosłowiańskich Albańczyków – przede wszystkim muzułmanów – od resztek federacji. Fakt, że Bix Aliu jest potomkiem albańskiego emigranta, który trafił do USA w latach 60. z regionu Zajasi – Kërçovë (w graniczącej z Kosowem Macedonii), sprawia, że jego zaangażowanie w tzw. kosowski proces pokojowy nie jest zaskakujące, ale jest z pewnością interesujące. Nie powinno się także lekceważyć tego, że podkreśla swoje przywiązanie do narodu swoich przodków. Do dziś Kosowo nie jest uznawane przez większą część niepodległych państw, ale zostało uznane przez Stany Zjednoczone oraz większość krajów północnoatlantyckich.

W roku 2008 Aliu został nagrodzony wyróżnieniem Osobowość Roku przez albańskie środowiska w Chicago, skąd pochodzi. W roku 2014 znalazł się na liście 150 osób pochodzenia albańskiego, które odniosły sukces w Stanach Zjednoczonych.

W roku 2019 władze Krakowa uhonorowały go najważniejszym miejskim odznaczeniem, czyli medalem Honoris Gratia, za znaczący wpływ na rozwój gospodarczych i kulturalnych powiązań między Stanami Zjednoczonymi a Krakowem.

Bix Aliu w przeszłości pracował także w Narodowym Centrum Szkoleń Spraw Zagranicznych Departamentu Stanu. Wielokrotnie był przez ten Departament doceniany i nagradzany – sześć razy nagrodą Meritorious Honor, a także nagrodą Senior Foreign Service Performance. Oprócz tego, że ukończył medycynę na uniwersytecie w Kosowie, jest także absolwentem Instytutu Studiów Strategicznych w United States Army War College.

COŚ O TOLERANCJI

W wywiadach Bix Aliu mówił raczej standardowe dyplomatyczne banały, np. o zainteresowaniu polską historią. Jednak – jak można było mieć wrażenie

– zainteresowanie to sprowadza się do wspomnienia o tym, że dawna Rzeczpospolita była krajem bez stosów. W ostatnim wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” uwaga ta nie została wypowiedziana bezinteresownie, ale posłużyła jako punkt podparcia do promocji ideologii LGBT. A ta stała się w ostatnich czasach elementem narodowej ideologii państwa amerykańskiego.

„Nie jestem Polakiem i nie jestem katolikiem, więc nie zamierzam wdawać się w szczegółową dyskusję na temat polskiej historii i kultury, ale chciałbym uznać jeden z zarzutów, które padają pod adresem nas, Amerykanów. Że nie doceniamy długiej tradycji tolerancji w Polsce; że Polska była »krajem bez stosów«. Więc, w porządku. Mogę przyjąć tę krytykę. Chętnie usłyszałbym natomiast więcej o polskiej tradycji tolerancji i o tym, jak to się ma do doświadczeń osób LGBTQI+ w Polsce” – powiedział Aliu Jędrzejowi Bieleckiemu.

Niestety, „wiedzę” o sytuacji w Polsce Aliu – jak sam deklaruje – czerpie z komentarzy na Twitterze („Czy czytał pan kiedyś komentarze pod naszymi wpisami na Twitterze i Facebooku?” – zapytał Jędrzeja Bieleckiego) lub propagandowych, słabo przygotowanych tekstów, takich jak raport „Open for Business”. Ten ostatni powtarza choćby fake newsa o mających istnieć w Polsce „strefach wolnych od LGBT” czy aż krzyczące o sprawdzenie informacji na temat rzekomej ucieczki osób homoseksualnych z Polski.

Trudno uwierzyć, by doświadczony amerykański dyplomata, który spędził wiele lat w Polsce i rzekomo Polskę zna, nie zdawał sobie sprawy z prowokacyjnego charakteru swoich wypowiedzi. Należy sądzić, że po prostu realizuje misjonarski mesjanizm Ameryki na aktualnym etapie jego stanów świadomości. Wygląda, że sądzi on – razem z rządem amerykańskim – iż można w Polsce powiedzieć cokolwiek, popierać zasady sprzeczne z naszymi wartościami konstytucyjnymi i można nazywać nasz kraj autorytarnym, jak zrobił to niedawno prezydent Obama.

Inną sprawą jest to, że na ten brak szacunku zapracowaliśmy sobie ponad trzema dekadami samozadowolenia większości naszych politycznych elit z możliwości rządzenia słabym państwem, które można traktować jak barbarzyński protektorat. Także z tego powodu będziemy teraz skazani na znoszenie entuzjazmu zadowolonych z siebie misjonarzy.

RYSZARD GROMADZKI: Czy z perspektywy kilku tygodni działania parlamentarnego zespołu ds. sanitaryzmu można już powiedzieć, że to potrzebna inicjatywa? Czy docierają do państwa sygnały z kraju dotyczące przejawów segregacji sanitarnej? Na przykład łamania zasady dobrowolności szczepień przeciw COVID-19.

ANNA MARIA SIARKOWSKA: Tak, każdy kolejny tydzień potwierdza, że powołanie zespołu było potrzebną inicjatywą. Problem sanitaryzmu dotyczy przecież wielu aspektów naszego życia społecznego, gospodarczego, politycznego, religijnego, a nawet prywatnego. To nie tylko kwestia szczepień czy segregacji sanitarnej, lecz także wolności słowa, wolności religijnej czy swobody prowadzenia działalności gospodarczej. Dotyczy to również poszanowania ładu i porządku prawnego oraz respektowania gwarantowanych konstytucyjnie praw i wolności obywatelskich. Wachlarz problemów, które są i będą przedmiotem prac zespołu parlamentarnego, jest więc naprawdę szeroki.

Rzeczywiście mamy w Polsce problem z poszanowaniem wolności obywatelskich, swobody działalności gospodarczej czy wolności debaty w związku z COVID-19?

Niestety tak. Można przytoczyć wiele przykładów na to, że prawa i wolności obywatelskie nie są dziś w pełni respektowane. Odnotowujemy wiele naruszeń w obszarze wolności słowa, czyli fundamentalnej wartości demokratycznego państwa. Debata publiczna jest cenzurowana. Świadczy o tym m.in. blokowanie kont w serwisach społecznościowych, takich jak Facebook czy Twitter, osób, które mają odwagę zadawać pytania i dzielić się informacjami podważającymi przyjętą centralnie strategię walki z epidemią. Innym przykładem jest usuwanie z telewizji publicznej programów, takich jak „Warto rozmawiać” red. Jana Pospieszalskiego, w których do debaty były zapraszane obie strony społecznego sporu. Kolejnym – usuwanie z platform internetowych, takich jak YouTube, publikowanych przez niezależne media i dziennikarzy wszelkich materiałów wideo, w których prezentowane są fakty i wątpliwości dotyczące przyjętej strategii walki z pandemią.

Mamy też przykład szykan dyscyplinarnych wobec lekarzy, którzy prezentowali publicznie inne poglądy niż obowiązująca narracja w sprawie COVID-19...

Tak. Trudno wezwać lekarzy przed Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej przy Naczelnej Izbie Lekarskiej nie trakto-



Z Anną Marią Siarkowską, posłem Prawa i Sprawiedliwości, przewodniczącą parlamentarnego zespołu ds. sanitaryzmu rozmawia Ryszard Gromadzki

Dzieci nie są żywymi tarczami



FOT. ADAM WARCZAK/PAP

wać w kategoriach szykany. Przypomnijmy, że lekarze nie tłumaczą się przed rzecznikiem z ewentualnych błędów w sztuce lekarskiej. Oni muszą się tłumaczyć z tego, że podpisali apel do władz publicznych dotyczący obecnej sytuacji sanitarno-epidemicznej i kwestii szczepień. A przecież nieskrępowana debata publiczna i naukowa są niezbędnym warunkiem w dotarciu do prawdy i w poszukiwaniu najlepszych rozwiązań służących dobru wspólnemu. Jeśli z debaty publicznej rugowana jest jedna ze stron politycznego sporu, wówczas prawda i dobro wspólne są pierwszymi tego ofiarami.

Dlaczego argumenty, które pani przedstawia – oczywiste dla pani i dla mnie – nie są oczywiste dla naszej klasy politycznej? W pracę parlamentarnego zespołu ds. sanitaryzmu zaangażowało się zaledwie kilka osób...

Do zespołu parlamentarnego należy obecnie siedem osób. Są to posłowie, którzy rzeczywiście chcą pracować przy tym temacie. Najważniejsza dla nas jest nie tyle liczba posłów wchodzących w skład zespołu, ile budowanie na forum parlamentu platformy do nieskrępowanej debaty publicznej, do poszukiwania prawdy, której dzisiaj w debacie na temat walki z COVID-19 bardzo mocno brakuje.

Można odnieść wrażenie, że w Polsce, podobnie jak w większości innych krajów, obowiązuje tylko jedna prawda na temat COVID-19, utrwalana przez media i większość polityków. Inne poglądy, także te oparte na nauce, formułowane przez lekarzy i naukowców różnych dyscyplin, są natychmiast piętnowane jako przejaw teorii spiskowych, a ich autorzy odsądzeni od czci i wiary.

Faktycznie, za każdym razem, kiedy ktoś wypowiada się krytycznie w aspektach dotyczących walki z epidemią i kwestionuje przyjętą strategię, natychmiast zostaje obciążony epitetami, podważającymi jego kompetencje merytoryczne, zawodowe i moralne. Dotyczy to wszystkich – lekarzy, polityków, dziennikarzy i zwykłych obywateli. Niewybredny, pogardliwie rzucony w kierunku adwersarza epitet – foliarz, szur, płaskoziemiec, ruska onuka – dominuje dziś w sferze publicznej i aspiruje do tego, by całkowicie zastąpić debatę opartą na logice i argumentach. Bardzo negatywnie to oceniam. Gdy ktoś obdarza swego adwersarza epitetem i mówi o nim np. kołtun, to ja słyszę zapłuty karzeł reakcji. To bowiem ten sam mechanizm propagandowy, mający zwalczać inne poglądy poprzez

Kiedy słyszę o tym, że sanitaryzm wprowadzany jest do Kościoła katolickiego, do którego należę, czuję ból serca

odbieranie godności osobom, będącym celem ataku.

Prym takiej agresywnej, dyskryminującej narracji nadają niektórzy lekarze wchodzący w skład Rady Medycznej doradzającej premierowi Morawieckiemu w związku z COVID-19. Często wypowiadają się oni w sposób bardzo aprioryczny, postulując radykalne kroki, np. sugerując wprowadzenie godziny policyjnej dla niezaszczepionych czy przymusowe szczepienia. Dzieje się tak pomimo niejasnego statusu prawnego Rady Medycznej i braku transparentności co do zależności jej członków od koncernów farmaceutycznych. Czy w tej ostatniej kwestii nie mamy do czynienia z konfliktem interesów?

Nie mam wątpliwości, że działalność Rady Medycznej powinna być w pełni transparentna, zarówno w przedmiocie jej prac, trybu podejmowania decyzji, jak i w kwestii zależności, jakie warunkują pracę członków tego gremium. Kilkakrotnie występowałam do premiera z prośbą o udzielenie informacji dotyczącej ewentualnego konfliktu interesów członków Rady Medycznej. Zwracałam się zarówno w formie interpelacji, interwencji poselskiej, jak i wniosku o udostępnienie informacji publicznej. Za każdym razem odpowiedź, którą otrzymywałam, była wymijająca i nie odnosiła się wprost do zadanych przeze mnie pytań. W kontekście docierających do opinii publicznej informacji, dotyczących występowania konfliktu interesów wśród członków Rady Medycznej, brak odpowiedzi na zadawane przez posłów pytania mocno uderza w zaufanie obywateli do bezstronności osób tworzących to gremium doradcze. Nie mamy pewności, czy są oni rzeczywiście niezależni, czy rekomendacje zalecane przez Radę mają na pierwszym miejscu dobro obywateli, a nie interes koncernów farmaceutycznych.

Jaki sens ma masowe szczepienie młodzieży i dzieci na COVID-19, skoro – jak wskazują dane medyczne – liczba drastycznych przebiegów choroby w tej grupie wiekowej jest znikoma?

Odpowiadając na pana pytanie, odnoszę się przede wszystkim do opinii i argumentów podnoszonych przez niezależnych

lekarzy i ekspertów. Wiemy, że dzieci i młodzież co do zasady bardzo lekko przechodzą COVID-19. Hospitalizacje – jeśli się zdarzają – są bardzo rzadkie. Jeśli chodzi o zgony, to możemy mówić o pojedynczych przypadkach. Dość powiedzieć, że procent zgonów na COVID-19 w Polsce w grupie 0–17 lat od stycznia 2021 r. do dziś wynosi 0,0001 proc. Aż chciałoby się powiedzieć, że to się samo komentuje. Powiem to jednak wprost – narażanie dzieci i młodzieży na ewentualne powikłania poszczepienne w sytuacji, w której celem szczepienia nie jest zapewnienie łagodnego przebiegu COVID-19, lecz ochrona populacji dorosłych, to ewidentne naruszenie prawa do zdrowia najmłodszych Polaków. Podawanie jakichkolwiek preparatów leczniczych dzieciom powinno przede wszystkim służyć ich zdrowiu. Dzieci to nie żywe tarcze.

Czy wobec tego szczepionka na COVID-19 powinna być wpisana na listę szczepień obowiązkowych? Takie rozwiązanie postulują niektórzy lekarze?

Byłoby to sprzeczne z dobrem dzieci i zwyczajnie niemoralne. Niedopuszczalne jest, żeby wymagać podawania dzieciom preparatu, który nie służy ich zdrowiu, który do obrotu został dopuszczony warunkowo i którego negatywne działanie długofalowe nie jest w pełni zbadane. Powtórzę raz jeszcze: dzieci to nie są żywe tarcze.

Pomimo braku podstaw prawnych słychać o coraz większej liczbie przypadków segregacji sanitarnej. Dotyczą one również sfery życia religijnego. Zdumiała mnie ostatnio informacja o priorytetach dla osób zaszczepionych, które wprowadzili organizatorzy warszawskiej pielgrzymki pieszej na Jasną Górę. Jak pani skomentuje ten przypadek?

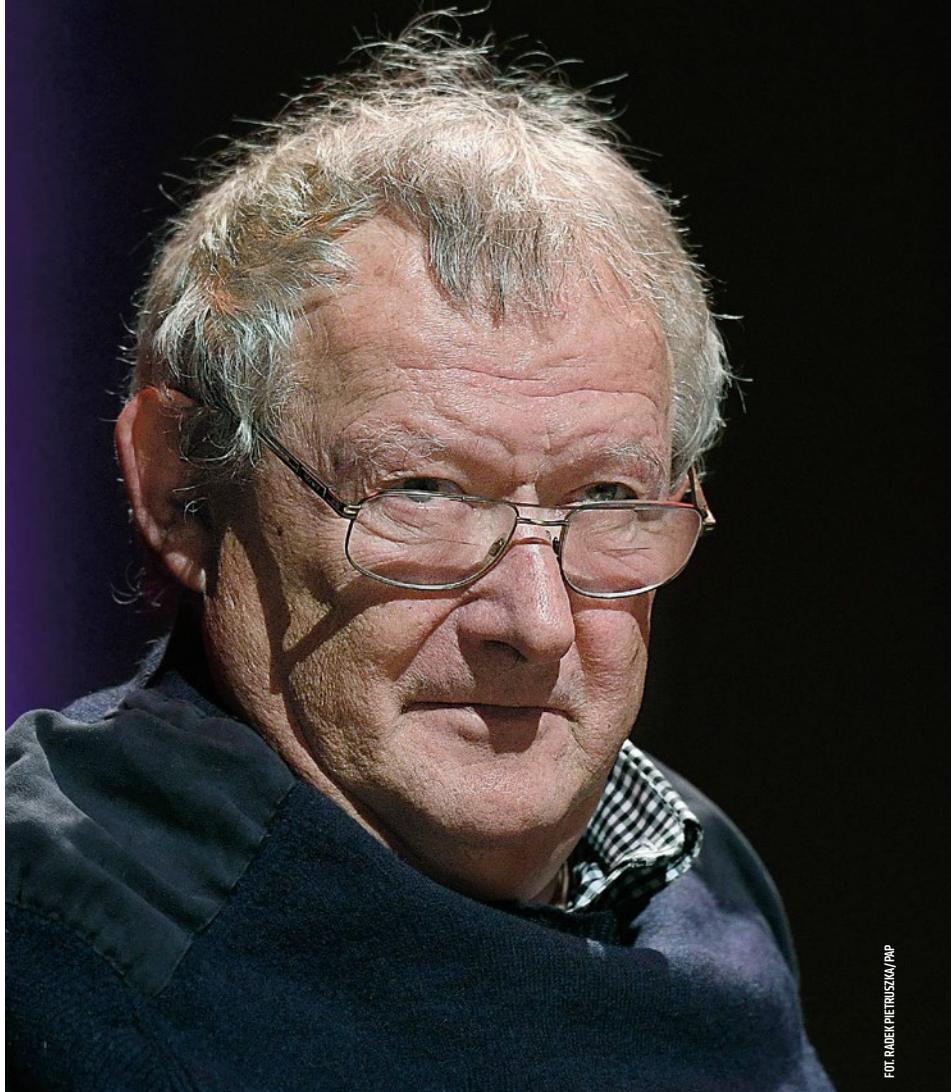
Kiedy słyszę o tym, że sanitaryzm wprowadzany jest do Kościoła katolickiego, do którego należę, czuję ból serca. Wprowadzanie jakichkolwiek praktyk segregacyjnych, reglamentowanie dostępu do sakramentów, udziału w liturgii czy w innych aktywnościach religijnych, jest sprzeczne z istotą chrześcijaństwa. To nie jest dobra droga. Kościół, który dzisiaj boryka się z różnymi problemami skutkującymi spadkiem liczby wiernych, powinien segregację sanitarną zwalczać, a nie wprowadzać ją na łono Kościoła. Decyzje niektórych kościelnych hierarchów w tej sprawie oceniam jako poważny błąd. Kościół zawsze był oazą wolności i mam nadzieję, że nią pozostanie.

Gdy Adam Michnik, przesłuchiwany przez sejmową komisję badającą aferę Rywina, zapewnił, że pomiędzy redakcją „Gazety Wyborczej” a managementem spółki Agora istnieje „chiński mur”, nie do końca mu wierzone, także w oddanych mu środowiskach lewicowo-liberalnych. Zapewne dlatego wojna, która wybuchła pomiędzy zarządem Agory a kierownictwem redakcji „Gazety”, wszystkich zaskoczyła.

Najbardziej zaskoczone wydały się medialne „autorytety” anty-PiS. W pierwszych dniach po upublicznieniu sporu milczały, potem zaczęły się jakieś nieśmiałe apele do obu stron, żeby dały spokój, że to, co robią, grozi „katastrofą polskiej demokracji”. W końcu, bardziej już jednoznacznie, jako stronę, która ma ustąpić, zaczęto wskazywać zarząd spółki. W tym duchu wypowiedzieli się publicznie publicysta „Polityki” Jacek Żakowski, redaktor naczelny „Znaku” Jerzy Ilg i córka Jana Kulczyka – Dominika, a także, w specjalnych uchwałach, Strajk Kobiet i Komitet Obrony Demokracji. W porównaniu z gorliwym zaangażowaniem lewicowo-liberalnych salonów w „obronę” pracowników Polska Press ze starego rozdania przed nowym właścicielem pokrzykiwania: „Murem za Wyborczą” sprawiają wrażenie raczej niemrawe.

I to mimo że naczelny i wicenaczelni gazety – którzy pierwsi upublicznili konflikt, apelując o poparcie czytelników i opinii publicznej – użyli całego arsenału wypróbowanych argumentów, które jak dotąd natychmiast stawiały na baczność rzesze ich sojuszników w kraju i za granicą. Działania zarządu spółki zostały więc przedstawione jako „zamach na niezależność” gazety, atak na wolność słowa, niszczenie podstaw państwa prawa i debaty publicznej itd. Oczywiście problem jednak w tym, że trudno nagle ogłosić zarząd Agory PiS-em. Zwłaszcza od czasu, gdy jej mniejszościowe udziały, których kupowanie za rządów PO-PSL przez państwowe spółki było formą cichego dotowania oddanej rządowej propagandzie spółki, po dojściu do władzy PiS zbyte zostały na rzecz fundacji George’a Sorosa.

Soros i inni udziałowi amerykańscy, powiązani różnymi więzami z tamtejszą liberalną lewicą, są wrogami wolności słowa, którym autorytet Adama Michnika stoi kością w gardle i dlatego dążą do jego zniszczenia? Trudno taką narrację sprzedać nawet najbardziej sfanatyzowanemu „lemingom”.



FOT. RADEK PIETRUSZKA / PAP



Rafał A. Ziemkiewicz

Bitwa „Gazety Wyborczej” o to, by nie łączyć jej z portalem w tej samej firmie, jest dowodem na dwie rzeczy: że jako narzędzie propagandowe „GW” nie jest już tak znacząca oraz że wolnorynkowe przekonania jej pracowników nagle stały im się obce

Etos zrobił swoje, etos może odejść

Od biedy zwolennicy Michnika – który, grożąc dymisją, rzucił w tej sprawie na szalę wszystko – są w stanie zinterpretować spór jako konflikt między obrońcami

wolności a bezdusznymi biurokratami, niezważającymi na nic poza przysłowiowymi okienkami Excelu i rujnującymi dzieło życia „Adama” w pogoni za

marnością, czyli zyskiem. A więc jako coś podobnego do brutalnych cięć, które w innym sztywnym medium anty-PiS, TVN, dokonał kilka miesięcy temu amerykański koncern Discovery.

Niewątpliwie, wyniki finansowe Agory mają tu swoje znaczenie – samo ogłoszenie planów zarządu z punktu podniosło kurs jej akcji o ponad złotówkę, przy rekomendacji analityków „kupuj”. Co więcej, wojna wypowiedziana zarządowi przez „naczelnych” nie wpłynęła na korektę notowań. Najwyraźniej „rynk finansowe” nie obawiają się, że protesty redakcji coś dadzą, i wierzą raczej zarządowi, który na akcje „w obrotie niezależności gazety” odpowiedział w stanowczym tonie, że zapowiedziana restrukturyzacja zostanie przeprowadzona zgodnie z planem.

Z ich punktu widzenia sprawa jest bardziej zrozumiała niż dla „autorytetów”. „Gazeta Wyborcza”, wbrew twierdzeniom grupy Michnika, nie jest „jądrem biznesu” Agory, ale raczej jej problemem. Bezprecedensowa pozycja Michnika, któremu u zarania spółki nadano przywilej nieodwoływalności, sprawia, że od lat gazetą kieruje „pełniący obowiązki”. Nonsensem jest także istnienie osobnego portalu Gazeta.pl, który wszyscy internauci uważają za internetowe wydanie gazety, i portalu – właściwie strony – Wyborcza.pl. Przy czym 90 proc. ruchu na tej drugiej to przekierowania z Gazeta.pl.

To, co postanowił przeprowadzić zarząd – z wielu przesłanek sądzić można, że po wielu latach próby rozwiązania problemu po cichu i bez konfliktu – jest oczywiste: oba portale należy połączyć ze sobą oraz redakcją papierowego wydania gazety, aby zamiast ze sobą konkurować, nawzajem sobie pomagały. Naczelnicy, pisząc pełne oburzenia listy otwarte, deklarują, że co do samej idei nie mają zastrzeżeń, ale oburza ich „sposób”, w jaki ich potraktowano.

BÓJ O KIEROWNICĘ

O co tak naprawdę chodzi? Zgodnie ze starą zasadą księcia Górczakowa: „Nie wierzę niezdelementowanym wiadomościom” jako kluczową frazę oświadczenia naczelnych wskazałbym zapewnienie, że w ich działaniach „nie chodzi o personalia, ale o kluczowe wartości”. Nietrudno zauważyć, że tą „kluczową wartością” jest osoba powiązanego z gazetą Jerzego Wójcika. Ekipa Michnika

zgadzała się na zmiany dopóty, dopóki liczyła na to, że to właśnie on kierować będzie połączonymi redakcjami – czyli że w praktyce konsolidacja polegać będzie na podporządkowaniu portalu Gazeta.pl Michnikowi i Jarosławowi Kurskiemu.

Z punktu widzenia Agory byłoby to oddanie podmiotu przynoszącego zyski takiemu, który generuje straty, i to generuje je zupełnie świadomie, bo nie kieruje się żadną logiką medialnego biznesu, ale swoimi sekciarskimi obsesjami. „Nie jesteśmy zwykłą redakcją, ale grupą etosową” – deklarował Michnik przed laty i, jak sądzę, w papierowej „Wyborczej” obowiązuje to nadal. Z tą różnicą, że „etos”, który kiedyś budował pozytywne skojarzenia „brendu”, zdegenerował się do wulgarnej i prymitywnej agresji „...ć PiS” i zamyka gazetę w niewielkiej bańce skrajnych fanatyków z „Obywateli RP”, KOD i Strajku Kobiet.

Z roku na rok „Wyborcza” zamieszcza teksty coraz głupsze, coraz bardziej utrzymane w logice „aby tylko przyp... ..ć”, coraz bardziej też grzęźnie w obłudnym „kalizmie”, którego opisywana sytuacja też zresztą jest dobrym przykładem. Jeszcze pamiętam te pełne buty i poczucia wyższości pouczenia publicystów „Wyborczej”, na czele z Pawłem Wrońskim, jak to prywatny właściciel ma prawo w swojej firmie robić wszystko i lamente wyrzucanych są żałosne i śmieszne – pisane w czasie, gdy Grzegorz Hajdarowicz na polityczne zlecenie PO czyścił „Rzeczpospolitą” i tygodnik „Uważam Rze”.

Konstatowanie obłudy tego środowiska jest jednak zbyt łatwe, by tracić na to czas. Ciekawym wątkiem całej sprawy jest to, jak bezradny okazał się w niej dożywny naczelnik „Wyborczej” i najwyższy depozytariusz „etosu”. W czasach swej świetności Michnik, jak powszechnie twierdzono (on sam zaprzeczał – znów można by tu zacytować maksymę Górczakową), przez swe zagraniczne koneksje był w stanie wpływać na wydawców nie tylko swojej gazety, lecz także konkurencji. To z jego kręgu miały wyjść donosy do zachodnich inwestorów, że powierzyli media „polskim faszystom”, wskutek których nie licząc się z finansową stratą, sami właściciele niszczyli obiecujące konserwatywne przedsięwzięcia – tygodnik „Spotkania”, a potem telewizję RTL7. Dziś, jak widać, nie jest w stanie Michnik wyprosić u zagranicznych

właścicieli samej Agory powstrzymania bądź zmiany zarządu spółki. A przecież, jak wspomniany Soros, są to udziałowcy, którym zależy nie tylko na biznesie, lecz także na „edukowaniu” mas w duchu lewicowym.

COŚ SIĘ SKOŃCZYŁO

Każde to się zastanowić, czy istotnie chodzi tu tylko o kwestie biznesowe. Pierwsze próby wprowadzanej dziś zmiany podejmowano już w roku 2016.

Jeśli udziałowcy, po pięciu latach godzenia się z ekonomicznie nieracjonalnym modelem swych mediów i koniecznością ciągłego dokładania do nich z zysków osiągniętych dzięki sprzedaży billboardów reklamowych, biletów kinowych i innym interesom Agory, w końcu dali zarządowi zielone światło do zignorowania obiekcji Michnika i jego ludzi, to być może uznali przydatność „Gazety Wyborczej” także w dziedzinie propagandy politycznej za znikomą. A właściwie – za przeciwskuteczną. Nie dość, że trzeba do niej dokładać, to nikogo ona przecież nie przekonuje poza przekonanymi, a i tych traci od lat na rzecz nowocześniejszych w formie mediów ze stajni Ringier Axel Springer czy Discovery. Ludzie robiący Gazetę.pl na pewno prędzej nawiążą z nimi równorzędną konkurencję niż „dziadersi” Michnika. Zapewne pojawiła się też myśl, że statutowa gwarancja nieusuwalności dotyczy tego ostatniego jako redaktora naczelnego gazety, ale już jako naczelnego połączonych redakcji gazety i portali – nie.

Jeśli zarząd ma dla swoich działań poparcie udziałowców, to akcje proponowane przez „obrońców niezależności” – np. bojkotowanie przez czytelników „Wyborczej” kin Helios – słabo rokuje. Pozostaje tylko namawiać naczelnych, aby sięgnęli po wspomniany tekst Wrońskiego i innych piewców „korporacyjnego ładu” sprzed 10 lat i wzięli sobie zawarte tam prawdy do serca. W końcu kto jak kto, ale redaktorzy „Gazety Wyborczej” wierzą chyba w wolny rynek, który przez tyle lat tak gorąco Polakom zachwalali. A jeśli wierzą, to powinni po prostu odejść z Agory i założyć nową gazetę. Jeśli są dobrzy, to na pewno znajdzie się chętny inwestor i nowy tytuł znajdzie sobie miejsce na rynku.

Jako redakcja „Do Rzeczy” możemy za to zareczyć.



Msza święta na gdańskiej Zaspie w trakcie pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, 12 czerwca 1987 r. FOT. AIPN

Podziemny Lublin, podziemny Gdańsk



Kolejny fragment książki „Piątka u Semki” (Zys i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza

JAN HLEBOWICZ: W Lublinie, podczas studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, angażowałeś się także w inne działania niezależne.

PIOTR SEMKA: Były to lata 1985–1987, czas, kiedy jeszcze nie związałem się trwale z gdańską „Regionówką”. Próbowaliśmy „knuć” w Lublinie. Zaprzyjaźniłem się z Jackiem Królikiewiczem, synem reżysera Grzegorza Królikiewicza, który postanowił założyć siatkę konspiracyjną. Obowiązywała wówczas na KUL dziwna formuła, że student mógł się zgłosić do Polskiego Komitetu Pomocy Społecz-

nej, gdzie przydzielano mu samotnego, często niepełnosprawnego emeryta. Na czym ten dziwny związek polegał? Otóż student zajmował się potrzebującym, a w zamian otrzymywał darmowy nocleg, o co było w Lublinie niezwykle trudno. Jacek wymyślił chytrze, że znajdzie sobie takiego emeryta, który ma mocno ograniczone możliwości percepcji, a w jego mieszkaniu założy podziemną drukarnię. Problem polegał na tym, że kontakt z Jackiem często był niemożliwy właśnie... ze względu na emeryta-właściciela, który zawsze pierwszy podnosił

sluchawkę. Pewnego razu zadzwoniłem. Oczywiście odebrał emeryt. „Dzień dobry, czy jest Jacek?” – zapytałem. „Nie, nie ma Jacek”. Później spotkałem Jacka na uczelni. Mówię: „Jacek, strasznie trudno się z tobą skontaktować. Ten twój emeryt ciągle odbiera telefon, a że nie kontaktuje za dobrze, to nie wiadomo, jak z nim rozmawiać, żeby przekazał ci słuchawkę”. Na to Jacek: „Piotr, spójrz na to z innej strony. Jeśli pan Waldek mówi rzeczy, których ty nie bardzo jesteś w stanie zrozumieć, to co dopiero podsłuchująca nas bezpieka”. Jednak ta nasza siatka konspiracyjna nie zrobiła wielkiej kariery.

Dużo poważniejsze działania prowadziło Niezależne Zrzeszenie Studentów, do którego należałeś.

Rzeczywiście, zostałem członkiem NZS w Lublinie. Płaciłem składki, chodziłem na spotkania, uczestniczyłem w demonstracjach. Występowałem w dwóch rolach: kogoś, kto jest zaangażowany w wydawanie najważniejszego opozycyjnego pisma w Gdańsku (o czym nikt w Lublinie nie wiedział), oraz jako student KUL. Głupio było się nie angażować w KUL-owskie niezależne inicjatywy, bo istniała obawa, że zaczną się szept: „Ten Semka to jakiś kapuś albo tchórz”. Więc chodziłem razem ze wszystkimi na demonstrację, choć wiązało się to z ryzykiem dekonspiracji działalności gdańskiej. Lubelskie NZS działało prężnie, ale na tle wielkiej polityki i wielkiej opozycji, z którą miałem do czynienia w Gdańsku, to była aktywność jednak niszowa. Do najbardziej aktywnych członków NZS i moich kolegów należeli Wojciech Bogaczyk czy Andrzej Bereda.

Razem z ludźmi z NZS w czerwcu 1987 r. pojechalście na spotkanie z papieżem w Warszawie. Wręczyłeś Ojcu Świętemu znaczek NZS, a potem, podczas mszy świętej, zostałeś zatrzymany przez SB.

Dokładnie rzecz biorąc, próbowałem wręczyć, ale jakiś papieski sekretarz zastąpił mi drogę, dyskretnie zabrał zakazany symbol i obiecał, że znaczek dotrze do papieża. Znaczek NZS wręczyliśmy z kolegami z KUL Janowi Pawłowi II rok później, podczas audiencji w Castel Gandolfo. To był czas mojej fascynacji fotografią. Na wszelkiego rodzaju manifestacje zabierałem aparat. Wnikliwie obserwowałem tłum i po jakimś czasie, na podstawie specyficznych ruchów i zachowań, zacząłem wyłapywać z niego tajniaków. W ten sposób na spotkaniu z papieżem w Warszawie udało mi się zrobić kilkanaście zdjęć funkcjonariuszom SB. Jednak w pewnym momencie musieli mnie zauważyć. Otoczyli mnie i zaprowadzili do punktu dowodzenia na terenie gmachu Pasty, a następnie na „dołek” na Wilczej, gdzie skonfiskowali kliszę. Zostałem spisany. Pytali mnie, po co robiłem zdjęcia. Tłumaczyłem głupkowato, że po prostu chciałem mieć pamiątkę ze spotkania z Ojcem Świętym, a to chyba nie jest karalne. Oczywiście nie uwierzyli. Co ciekawe, zostałem wrzucony do jednej celi z muzułmanami z Damaszku, Trypolis i Bagdadu. „Za co siedzicie?” – zapytałem. Nie wiedzieli. Później dowiedziałem się, że do SB trafiła plotka

o planowanym zamachu na papieża. Trzeba pamiętać, że to było świeżo po ataku Alego Ağcy. Bezpieka i milicja dostały prikaz, że każdy o wyglądzie arabskim ma ze skutkiem natychmiastowym trafić na „dołek”. Muzułmanie, z którymi siedziałem, byli śmiertelnie przerażeni. Bali się, że grożą im jakieś poważniejsze kary, a nawet deportacja. Pocieszałem ich: „Spokojnie, jak papież wyjedzie z Polski, to na pewno was zwolnią”. Nie dowierzali. „Chyba się wygłupiasz? U nas, jak już kogoś zatrzymają, to wypuszczają najwcześniej po pół roku”. Oni mieli skalę porównawczą z traktowaniem więźniów w krajach, z których się wywodzili. Tam nigdy nie opuszczano się celi następnego dnia po aresztowaniu.

Odsiedziałeś dwadzieścia cztery godziny. Trzy dni później byłeś w Gdańsku, gdzie również zostałeś zatrzymany – w przededniu spotkania z papieżem.

Po mszy świętej przyczepiła się do nas bezpieka. Pech chciał, że tego dnia Mariusz miał ze sobą makietę „Regionówki”. Nachyliłem się do niego i powiedziałem: „Ty uciekaj na serio, a ja pozwolę się złapać. Może jak mnie dopadną, to się tym zadowolą, a tobie odpuszczą”. Tak zrobiliśmy. Rzuciliśmy się do ucieczki. Ja pobiegłem w lewo, Mariusz w prawo. Na szczęście pobiegli za mną. Stało się tak, jak założyliśmy. Kiedy mnie rewidowali, okazało się, że jestem czysty. Postawili mi zarzut ucieczki przed funkcjonariuszami. Znowu trafiłem na „dołek”. Kilka miesięcy później zostałem zatrzymany po demonstracjach w Lublinie i skazany przez kolegium do spraw wyroków na karę grzywny za „wznoszenie hasła antypaństwowych”. To wspomniane już wcześniej „zwinięcie” 11 listopada 1987 r.

Mimo tych zatrzymań „Regionówka” działała bez przerwy?

Mariusz przestrzegał mnie, bym nie łączył tych dwóch rzeczy – zaangażowania w „Regionówkę” oraz lubelskiego NZS. Istniała uzasadniona obawa, że jeśli coś się posypie w Lublinie, to przez nitkę lubelską dojdą do gdańskiego kłębka. Tak się jednak nie stało. Do dziś zastanawiam się, ile bezpieka wiedziała o działaniu „Solidarności. Pisma Regionu Gdańskiego”. Czy byliśmy inwigilowani? Czy zdawali sobie sprawę, kto tworzy



redakcję jednej z najważniejszych podziemnych gazet? Czy wiedzieli, kto jest decydem, a kto wykonawcą pewnych zadań i celów? Sprawdziałem w IPN. Nie zachowały się żadne akta dotyczące naszej działalności.

Ciągłe mówimy o działalności opozycyjnej, niezależnej. Tymczasem w Lublinie byłeś przede wszystkim studentem...

Było trochę tak, że w Gdańsku angażowałem się w realną opozycję, a w Lublinie ładowałem akumulatory. Będąc na KUL, zapisałem się do Klubu Filmowego, brałem udział w dyskusjach Koła Polonistów. Tam poznałem między innymi Waldemara Gaspera, który w latach 90. stworzył formułę Programu Pierwszego TVP. Oparciem był też dla mnie inny gdańszczanin, Adam Hlebowicz, późniejszy szef radiowej Trójki, a dziś jedna z czołowych postaci IPN. To były bardzo ciekawe, rozwijające i poszerzające horyzonty spotkania. Cechą charakterystyczną KUL był brak jakiegokolwiek nacisku na uczestnictwo w grupach duszpasterstwa akademickiego czy uroczystościach kościelnych. Oczywiście wielu to robiło, ale nikt nie prowadził nikogo za rączkę. Panowała szeroko idąca wolność. KUL stał się miejscem, w którym ścierały się różne światopoglądy, a na wykłady zapraszani byli ludzie o różnej wrażliwości – od endeków do socjalistów. Ważnym spotkaniem był dla mnie wykład Jana Józefa Lipskiego. Wtedy poznałem go osobiście. Legitymacja KUL to były „dobre papiery”. Milicja, a nawet głupszy bezpieczniejsi byli przekonani, że KUL to uczelnia dla księży. A z Kościołem – jak wbijano wtedy esbekom do głowy – trzeba ostrożnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DOTYCHCZAS WYDRUKOWALIŚMY NASTĘPUJĄCE FRAGMENTY KSIĄŻKI:

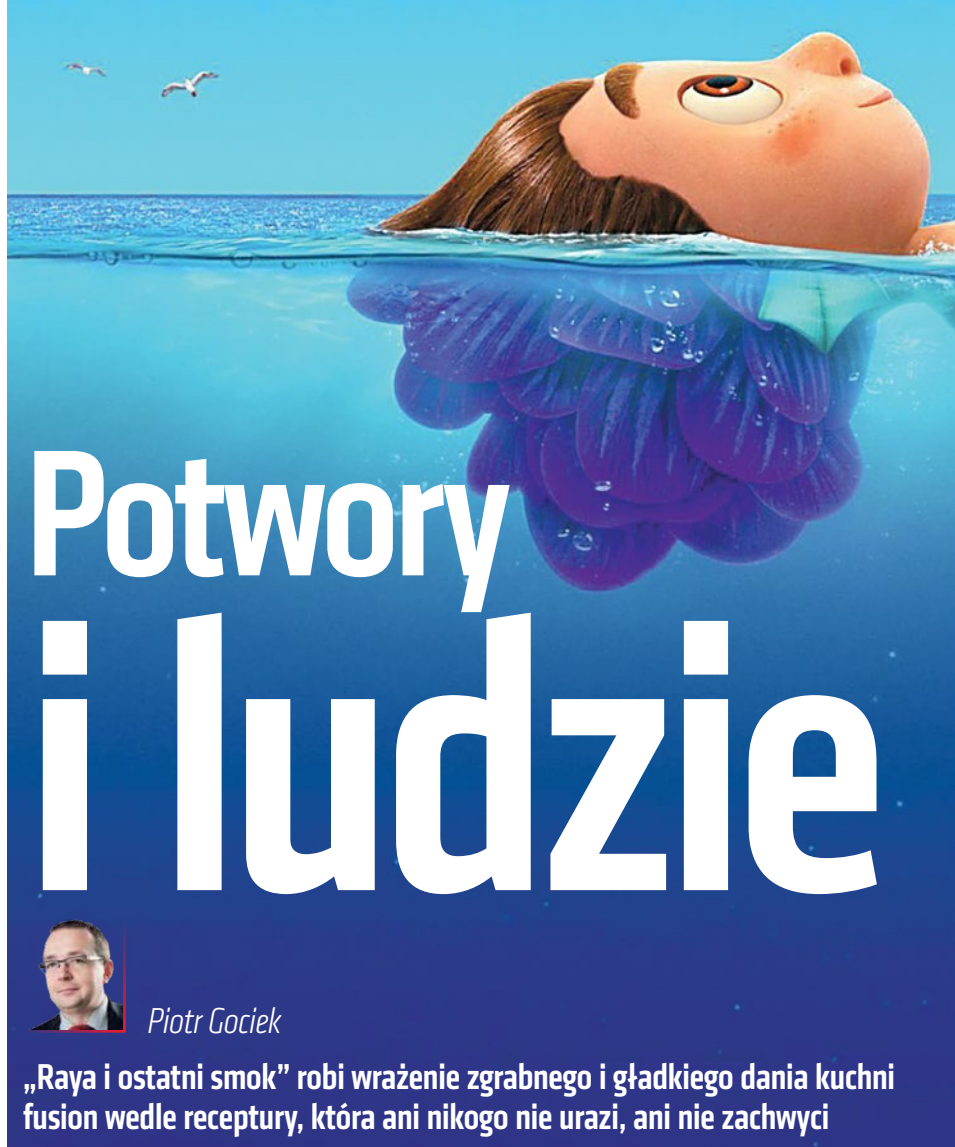
- „*Jak Semkowie Polskę wybrali*” – nr 16/2021
- „*Dziadek Jan i dziadek Józef*” – nr 17/2021
- „*Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową*” – nr 18/2021
- „*Niepokorna Topolówka*” – nr 19/2021
- „*Dramatyczny czas*” – nr 20/2021
- „*Licealna konspira*” – nr 21/2021
- „*Koledzy z konspiry*” – nr 22/2021
- „*Prywatna wojna z komunizmem*” – nr 23/2021
- „*Uciekaliśmy od bezruchu*” – nr 24/2021
- „*Pobudzający mętlak idei*” – nr 25/2021

No i jak tu opowiadać bajki we współczesnym świecie? Kopciuszki i Śpiące Królewny uznane zostały za ofiary męskiej przemocy, dzielni rycerze z bajki są dekonstruowani jako gwałciciele, oszuści lub w najlepszym przypadku idioci. Nie wiadomo, jak rysować krasnale, trolle i inne stwory, bo nigdy nie wiadomo, z której strony padnie oskarżenie, że wyśmiewamy jakąś mniejszość rasową. Orki w kinowym „Władcy Pierścieni” zostały uznane za karykaturę ludów azjatyckich, a odrażający podwładni okrutnego perskiego króla w „300” Zacka Snydera za prowokację antyirańską. Zakończenie historii ślubem oraz tradycyjnym: „Żyli długo i szczęśliwie” nie wchodzi w grę, bo rodzina potępiana jest dziś jako źródło przemocy. Bohaterowie nie powinni być biali, gdyż to wyraz kulturowego imperializmu. Nie powinni być mężczyznami, gdyż to zanadto patriarchalne. Jak żyć?

POSZUKIWANIE OSTATNIEGO SMOKA

„Raya i ostatni smok”, najnowsza animowana produkcja Disneya, to piękny przykład zmagania się z powyższą materią. Wszystkie sprawcze postacie, dobre czy złe, są tu kobietami (z tytułowym ostatnim smokiem włącznie), tradycyjnej rodziny nie ma w ogóle, bo bohaterowie mają po jednym rodzicu lub nie mają ich wcale. Akcja rozgrywa się w baśniowej krainie stanowiącej fuzję rozmaitych kultur z Azji Południowo-Wschodniej. Ładna jest ta egzotyka i daje okazję do stworzenia serii zachwycających pejzaży. Motywy z baśni Laosu, Wietnamu, Kambodży, Indonezji i jeszcze kilku innych krajów (wyliczam za twórcami filmu) są dla nas równie atrakcyjne i zaskakujące, jak – nie przymierzając – dla hinduskich widzów „Wiedźmina” motywy słowiańskie.

Królestwo Kumandry było kiedyś jednością, potem rozpadło się na pięć osobnych części za sprawą wojny z Druunami – okrutnymi istotami, które nienawidzą wszelkiego życia i zamieniają ludzi w kamień. Mieszkańcy Kumandry żyli w przyjaźni z magicznymi smokami – ostatnie z nich oddały jednak życie, by ocalić ludzi przed Druunami. Dusza jednego ze smoków (oraz moce czterech innych) spoczywa jednak w magicznym kryształ. Kiedy zło powróci, a ludy Kumandry staną na progu wojny, Raya – córka władcy jednej z części Kumandry,



Potwory i ludzie



Piotr Gociek

„Raya i ostatni smok” robi wrażenie zgrabnego i gładkiego dania kuchni fusion wedle receptury, która ani nikogo nie urazi, ani nie zachwyci

zwanej Sercem – ruszy na poszukiwanie ostatniego smoka.

Podróż okaże się pełna przygód przypominających filmy o Indianie Jonesie albo o piratach z Karaibów. Miasto oszustów, do którego w pewnym momencie trafią bohaterowie, mogłoby być areną jakiegoś efektownego pościgu z Jamesem Bondem w roli głównej. W ciągu minionych dekad młyny kinowej popkultury przemielły na zbyt wiele opowieści – nie ma ani powrotu do dawnych fabuł, ani nadziei na wielką oryginalność. Trzeba jednak zauważyć, że grupa ośmiorga (!) scenarzystów żongluje znanymi motywami dobrze, a niektóre pomysły wywołują na twarzach widzów szczery uśmiech. Ot, choćby mszycopodobny stwór, którego dosiada Raya, albo złodziejski gang trzech małych dowodzony przez zmyślnego niemowlaka.

Przesłanie filmu jest modne na kilka sposobów. O zdecydowanej przewadze pań już wspominałem. Przypowieść o tym, jak ludzka zła wola doprowadziła do suszy, to aluzja do zmian klima-

tycznych. Pouczająca historia rozpadu Kumandry na konkurujące ze sobą krainy to wezwanie do zgodnej współpracy w imię wspólnego dobra. Kiedy pojawia się na chwilę wątek polityczny, dostajemy lekcję, że nawet najbogatsze i najbezpieczniejsze państwo nie powinno się izolować od innych, lecz spieszyć im z pomocą. A tak w ogóle świat byłby dużo lepszy, gdybyśmy sobie ufali. Dobitniej: droga do uratowania bajkowego świata będzie wiodła właśnie poprzez akt wzajemnego zaufania. Co oczywiście jest piękne i szlachetne, ale trzeba od razu przypomnieć, że kiedyś bajki podpowiadały też, co zrobić z tymi, którym ufać nie można, i jak skończyć powinny tego rodzaju kreatury. Tu, w barwnym kiczu powszechnego pojednania, niewygodnych pytań o naturę zła i o to, jak je zwalczać, nikt nie zadaje.

Nie wiem, jak dzieci, ale starsi mogą moim zdaniem oglądać „Rayę i ostatniego smoka” z pewnym chłodem. Był kiedyś koncern Disneya mistrzem



„Luca” jest tyleż podróżą sentymentalną do Włoch, co reklamą wakacji w tym spustoszonej przez pandemię kraju FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Wszystkie sprawcze postacie, dobre czy złe, są w animacji „Raya i ostatni smok” kobietami FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pomysł jest przewrotny, bo tym razem gośćmi zachucującymi się w krajobrazach Riwiery Włoskiej są przybysze z morskich głębin: para wodnych stworków (uparcie nazywanych potworami), które żyć mogą także na suchym lądzie. Są to nowicjusz Luca oraz lekomyślny postrzelony Alberto (we włoskim morzu nawet potwory noszą włoskie imiona). W chwili przechodzenia między wodą a ziemią magicznie przyjmują postać ludzką. Na lądzie zaś wszystko jest ekstra: tlen, grawitacja, niebo, słońce, chmury oraz „wszystkie rzeczy ludzkie”. A jako że trafiamy do Włoch, to także arie operowe ze starego gramofonu, a skoro jest połowa ubiegłego stulecia, to i skuter Vespa, wynalazek, dzięki któremu możesz przemieścić się w dowolne miejsce na świecie. Gelato, kanapki panini, pizza, pasta, piłka nożna, jeśli ktoś ma jeszcze jakieś inne ulubione włoskie motywy, ten może zachować je dla siebie, bo twórcy filmu „Luca” już wcześniej zrobili z nich użytek. Oczywiście przyjazna dziewczynka z Porto Rosso nosi imię Julia (w końcu jesteśmy we Włoszech!), a na ścianach domów wiszą afisze reklamujące kinową nowość: „La Strada” Federica Felliniego (musi więc być rok 1954).

„Luca” jest tyleż podróżą sentymentalną do Włoch, co reklamą wakacji w tym spustoszonej przez pandemię kraju. Trudno będzie znaleźć widza, który oglądając ten film, nie westchnie: „Och, jakże chciałbym trafić w takie miejsce!”. Dla morskich potworów Luki i Alberta (a także dla innych przedstawicieli ich gatunku, o którym w sumie niczego się nie dowiadujemy) Porto Rosso to jednak



REŻ. ENRICO CASAROSA
„LUCA”



REŻ. DON HALL / CARLOS LÓPEZ ESTRADA
„RAYA I OSTATNI SMOK”

miejsce niezwykle niebezpieczne. Miejscowi rybacy od lat polują na potwory, wizerunki skrzących bestii widnieją na obrazach i płaskorzeźbach, a za schwytanie kolejnego podmorskiego stwora przewidziana jest sowita nagroda. Luca i Albert znajdują tu jednak coś, co warto jest każdego ryzyka: przyjaźń i wolność. Z istotnym zastrzeżeniem: zawsze trzeba się zastanowić, od czego ma to być wolność.

Rodzina to podstawa, tego nauczą się (przypomną sobie) bohaterowie filmu „Luca”, młody buntownik musi zrozumieć, że przegiął, jego pocieszeni rodzice – że mogli być zbyt surowi. Dowiemy się także, że lepiej chodzić do szkoły niż wałkować się po świecie – całkiem konserwatywne przesłanie. Nawet pokazany na ekranie książd nie jest szwarczakiem. Jeśli miałbym się do czegoś przyczepić, to do tego, że trochę za wiele tu humoru i zakrętów fabuły opartych na jednym gagu (do-

strzegaj, że jesteśmy potworami, czy nie?), trochę jak w komedijkach opartych na motywie przebieganek. Cenię natomiast ciepło płynące z tej sympatycznej opowieści.

Z jednym zastrzeżeniem: po ogłoszeniu przez jednego z negatywnych bohaterów filmu, że potworów się nienawidzi, „bo są, jakie są”, następuje coming out kilku osobników ukrywających się dotąd w miasteczku w ludzkiej postaci. Aluzja jest jasna: żyją wśród nas, są tak naprawdę, kolorowe i wesołe, a my boimy się ich bez powodu – łatwo się domyślić, że nie o morskie potwory tu chodzi. Ktoś powie, że przewrażliwiony. Odpowiem: nawet jeśli tak, to hollywoodzcy propagandyści ciężko na to wcześniej zapracowali.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GOCIEK



★★★★★

REŻ. MAX WINKLER
„PRAWO DŻUNGLI”
(„JUNGLELAND”)
USA 2019, HBO GO

wyst. Charlie Hunnam, Jack O'Connell, Jessica Barden

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Sny biedaków

Skromny, przegapiony film Maxa Winklera („Uroczystość”, „Flower” i sporo pracy dla telewizji) przypomina duchem obyczajowo-społeczne kino lat 60. i 70. XX w., wprowadzające na ekran outsiderów, dla których brak miejsca w amerykańskim śnie. Bracia Kaminski to postacie nieco podobne do pary z „Nocnego kowboja” Johna Schlesingera, a gdyby mieli nieco mniej skrupułów, to pewnie mogliby być bohaterami filmu „Piorun i Lekka Stopa” Michaela Cimino.

Młodszy z braci to pięściarz – kiedyś zawodowiec, teraz bez licencji, zostały mu więc tylko nielegalne walki na gołe pięści. Starszy to jego menago, trener, lekarz i opiekun w jednym. Z olbrzymim talentem do pakowania się

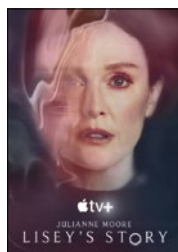
w kłopoty, głową pełną kolejnych, coraz sprytniejszych planów dorobienia się, które mają jedną wspólną cechę: nigdy się nie udają. Ostatecznie więc Stanley i Walter mają co do garnka włożyć (częściej nie mają) dzięki coraz bardziej posiniaczonym pięściom tego ostatniego. Kiedy wpadają w kłopoty, bo winni są pieniądze miejscowemu gangsterowi, rozwiązaniem staje się wykonanie nietypowego zlecenia: przy okazji podróży na ważny turniej mają przerzucić z miejsca na miejsce tajemniczą dziewczynę imieniem Sky (Jessica Barden). Sprawa jest szemrana, jak to między bandziorami. Nie domyślają się jednak jak bardzo.

Film Winklera najlepszy jest w chwilach, gdy podgląda amerykańską prowincję i marzenia zwy-



łych ludzi. Kryzys wyrzucił na margines biedy nie tylko Stanleya i Waltera. Poruszająca jest scena, w której eskortowana dziewczyna przygląda się z zazdrością studentom grającym w bilard w przydrożnym barze. „Gdybym była na ich miejscu, nie marnowałabym czasu w takiej spelunie” – wzdycha. Ale nawet tak zwykła rzecz jak lokalny college jest poza zasięgiem bohaterów „Prawa dżungli”.

Nie wszystko jest w tej opowieści udane, nie wszystko się klei. Wątek kryminalny – perwersyjny niczym z filmów Davida Lyncha – słabo pasuje do świetnie naszkicowanego społecznego tła. Ładnie rozegrano napięcie między braćmi, ale już odwiedziny w domu Sky niczego do historii nie wnoszą. To jednak wciąż dobre kino, a Max Winkler pokazuje, jak dobrym jest reżyserem, tworząc na ekranie chłodny, ciemny świat przegranych, łącząc klimat głośnego filmu Schlesingera z wczesnymi dokonaniem Jima Jarmuscha. ©



NOWE SERIALE: „HISTORIA LISEY”

Dwa lata po śmierci słynnego pisarza wdowa Lisey – wciąż zdruzgotana traumą – zaczyna odkrywać, a właściwie przypominać sobie, niepokojące fakty z przeszłości męża. Psychologiczny horror miesza się z horrorem dosłownym, a jakby tego było mało, na jej życie dybie psychofan. Ośmiodcinkowa ekranizacja powieści

Stephena Kinga zachwyca stroną wizualną, podobać się też mogą Julianne Moore i Clive Owen w rolach głównych. Całość jest jednak lekko męczącą budową pomnika dla niedocenianego geniusza, za którego King wciąż się uważa. ©

Piotr Gociek
 • reż. Pablo Larraín „Historia Lisey” („Lisey's Story”) **Apple TV**

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. May el-Toukhy, „Królowa kier” („Dronningen”), Dania 2019 **CANAL+**
- reż. Jean-Stéphane Sauvaire „Modlitwa przed świtem” („A Prayer before Dawn”), Wlk. Bryt. 2017 **CINEMA**
- miniserial true crime „Sophie: Morderstwo w West Cork” („Sophie: A Murder in West Cork”), Wlk. Bryt. 2021 **1**

Sfrustrowani.pl

KINO

Gdzie te czasy, gdy Maciej Ślesicki był nadzieją polskiej kinematografii? Dzisiaj reżyser „Sary” uczy młodzież, jak robić filmy, i wyważa drzwi otwarte jakiś czas temu przez Argentyńczyków. Akcja zebranych pod wspólnym szyldem sześciu „dzikich historii” rozgrywa się tu i teraz. Ich rodowód ustalić nietrudno – zrodziły się z medialnych doniesień o braku szacunku tradycyjnych dla sztuki nowoczesnej, problemach z dzikimi lokatorami, przedsiębiorcach unikających płacenia podatku VAT, sąsiedzkich waśniach tudzież niebezpieczeństwach związanych z użyciem chińskich fajerwerków. Nowe są mocno osadzone w nadwiślańskich realiach. Jedynie krwawa story

o potęgę uczuć tacierzyńskich mogłaby wydarzyć się wszędzie, tę jednak wymyślił i wyreżyserował Mateusz Motyka. Jak to w składankach – są lepsze i gorsze momenty. Szkoda tylko, że sympatycznych bohaterów szukać trzeba ze świecą. Ze 100-minutowego seansu zapamiętuje się we-

terana Stroińskiego i jego tyradę na temat braku wyobraźni polskich kierowców (wynikającego z braku czytania) oraz nagie płuśy Darii Polasik-Bułki.

„Co to za kraj, w którym nawet w sylwestra nie ma śniegu?” – żółdkuje się jedna z postaci. To już zakrawa na ojko-fobię. Mam nadzieję, że Ślesicki przypomina studentom, jak ważna w pracy filmowca jest cnota umiaru. © ©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. MACIEJ ŚLESICKI I INNI
„KRAJ”
POLSKA 2021

wyst. Krzysztof Stroiński, Tomasz Włosok, Joanna Niemirska, Kazimierz Mazur



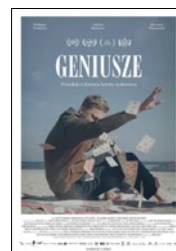
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NIEBOGOWIE

KINO

Kto się spodziewał ekranizacji książki Mariusza Urbanka o lwowskich matematykach, ten będzie zawiedziony. Akcja filmu, opartego na wspomnieniach Stanisława Ulama, rozgrywa się bowiem w Ameryce, zaś nicią przewodnią fabuły są rozterki naukowców żydowskiego pochodzenia, biorących udział w tajnym projekcie „Manhattan”.

Panowie obawiają się o los rodzin pozostawionych w Europie, pragną klęski Hitlera, lecz grzeszą naiwnością. Wmawiają sobie, że broń jądrowa jest tylko straszakiem i nigdy nie zostanie użyta. Według Ulama – luzaka i notorycznego kontestatora – konstruowanie superbomby to objaw arogancji („nie jesteśmy bogami”). Czemu więc tyle lat pracował dla wojska, zamiast uciec z Alamo, tak jak fizyk Józef Rotblat? „Geniusze” owej zagadki nie wyjaśniają, lecz Tłokiński, który w ostatniej chwili zastąpił Jakuba Gierszała, stworzył udaną kreację mózgowca pokonanego przez emocje. Cudze i własne.



wyst. Philippe Tłokiński, Fabian Kocięcki, Esther Garrel

★★★★★
REŻ. THOR KLEIN
„GENIUSZE”
(„ADVENTURES OF A MATHEMATICIAN”)
NIEMCY/POLSKA/ WIELKA BRYTANIA 2020

SIEMA, MORDECZKO!

KINO

Łysy Kuba z blokowską to przypadek rzadki. Kocie ruchy, tatuaże, krzyżyk złoty, rok odsiadki. Lecą na mięśniaka małolaty i mężatki. Prymus Tomek przyjacielem chce być jego. Po kwadransie filmu wiemy już dlaczego. Miejsce akcji: miasto na oko powiatowe. Czas: tuż przed wakacjami. Bohaterowie: gimnastyka. „Ostatni komers” oklaskiwano w Gdyni jako wiarygodny portret „generacji Z”. Sądząc po tym, co widać na ekranie, przyszość narodu najchętniej spędza czas w basenie i na dyskotecie. Dziewczyny plotkują, zbierają lajki i trenują kuszące pozy, chłopaki piją piwo, palą jointy i zgrywają twardzieli. Rodzice są nieobecni lub osaczeni przez kapitalizm. Młodym doskwiera brak hajsu tudzież miłości, która myli im się z seksem. Angielski tytuł („Love Tasting”) trafia w sedno. Dodatkowa gwiazdka za taneczne solówki Michała Sitnickiego. © © **recenzuje Wiesław Chełmniak**



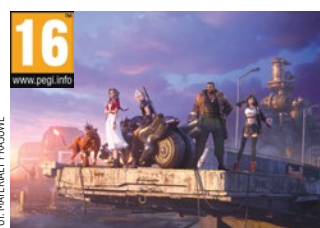
wyst. Sandra Drzymalska, Mikołaj Matczak, Michał Sitnicki

★★★★★
REŻ. DAWID NICKEL
„OSTATNI KOMERS”
POLSKA 2020

GRA TYGODNIA: „FINAL FANTASY VII REMAKE INTERGRADE”

Nostalgia sprzedaje się świetnie, ale dotykane gier kultowych to stąpanie po kruchym lodzie. Trzeba wiele wyczucia, bo gniew graczy wywołać może najdrobniejsza niezgrabność. Japońskie studio Square Enix, pracując nad remakiem „FF VII”, nie stawiało kroków z przesadną delikatnością.

Ba! Zatańczyło na środku jeziora... I to nie teatralny jiu-taj, ale kankana na obcasach. Graczom się jednak spodobało. Remake z ubiegłego roku doczekał się ostatnio next-genowej wersji na PSS. I znów nie ograniczono się tylko do poprawek grafiki i podbicia FPS-ów, lecz także m.in.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

dodano nowy epizod z Yuffie. Sądząc po ocenach na Metacritic – obcasz znów zdarte, a lód cały. © ©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** JRPG
• **Platforma:** PSS
• **Producent, dystrybutor PL:** Square Enix, Cenega

MOJA PÓŁKA

Mickiewicz a sprawa polska

KRZYSZTOF
MAŚLÓN

Wdobie wysypu domorosłych znawców literatury, odsyłających niemal cały dorobek piśmiennictwa na śmietnik historii, ze wstrętem odwracających się od tradycji, w pogardzie mających płody myśli przeróżnych popleczników kolonializmu, katolicyzmu, faszystów i innych jeszcze „izmów” (poza, oczywiście, marksizmem), lektura takich książek jak „Literatura i polityczność” działa krzepiąco. Po prostu odpowiednim rzeczom daje słowo.

Profesor Andrzej Waśko analizuje twórczość tych autorów, którzy nie tylko odcisnęli swój głęboki ślad w kulturze polskiej, lecz także wpłynęli na sposób politycznego myślenia Polaków. I to w ciągu, drobiazg, ostatnich 250 lat. Pochyla się więc Waśko nad literaturą konfederacji barskiej i oświeceniową bajką polityczną, romantyczną ideą rządu dusz i profetyzmem Mickiewicza, nad Słowackim i Krasińskim, publicystyką Henryka Sienkiewicza i pismami Józefa Piłsudskiego, nad Herbertem i Rymkiewiczem wreszcie.

Najwięcej uwagi poświęca prof. Waśko romantykowi i Mickiewiczowi, dokonując przeglądu ataków na twórcę „Dziadów” w XX w.: od Jana Nepomucena Millera i Tadeusza Boya-Żeleńskiego do Jana Walca i całkiem niedawno Rafała A. Ziemkiewicza, w swoim „Polactwie” nazywającego poetę „zręcznie składającym rymy wariatem, który napisanymi w sekciarskim omamie »Księgami narodu polskiego« na wiele pokoleń ogłupił polskie elity i pozabawił je umiejętności logicznego myślenia”.

To oczywiście tylko felietonistyka, źle się jednak dzieje, gdy odnajdujemy w niej wspólne tony z jak najbardziej poważnymi żądaniami nawiedzonych „specja-



FOT. KRZYSZTOF SITKOWSKI/VEPAP

listów”, by Mickiewicza usunąć ze szkolnych lektur jako, rzecz jasna, piewę polskiego zaścianka, a przy tym manipulatora narodowej świadomości. Tylko kim go zastąpić? Sylwią Chutnik może?

Przez długie lata PRL usiłowano Mickiewicza przykroić do obowiązującej sztancy, robiąc z niego bez mała patrona socjalizmu, przyjaciela Moskali, ale też – co akcentował nie kto inny jak Bierut – poetę tragicznego, działającego „w epoce, gdy masy ludowe nie były jeszcze dojrzałe do rewolucji”. Wniosek nasuwa się prosty: gdyby masy stanęły na wysokości zadania, towarzyszy Mickiewicz poprowadziłby je ku świetlanej przyszłości.

Nikt rozsądny nie będzie dzisiaj bezkrytycznie powtarzał myśli Artura Górskiego z jego „Monsalwatu”, ale wypada zadać pytanie, dlaczego właśnie Mickiewicz wciąż znajduje swoich krytyków. Czyż nie dlatego, że – jak powiada Andrzej Waśko – jest on „postrzegany jako wyraziciel i rzecznik charakteru narodowego Polaków, ich mentalności, jako kodyfikator wartości spajających narodową wspólnotę”.

Tak naprawdę wszystkie teorie i teoryjki o końcu paradygmatu romantycznego włożyć można między bajki. Tylko trzeba

literaturę czytać i odkrywać wciąż na nowo, a nie powtarzać sądy głoszone z powodów czysto koniunkturalnych, niekiedy z niewiedzy, a najczęściej pewnie... z przyzwyczajenia. A przecież – czytamy w „Literaturze i polityczności” – „Żeromski w »Przedwiosniu« nie jest literackim realistą, ale politycznym romantykiem. Poeci »Sztuki i Narodu« łączą w okresie II wojny światowej poromantyczny mesjanizm z nacjonalistycznym programem budowania polskiego imperium. Wzorcowi neoklasycy powojennej poezji, Zbigniew Herbert i Jarosław Marek Rymkiewicz – podejmując tematy polskie w latach Solidarności i stanu wojennego – stają po stronie romantycznie rozumianej sprawy polskiej (choć nie wyczerpuje to wszystkich idei pojawiających się w ich bogatej twórczości)”.

Burzyciele kulturowych porządków i literackich hierarchii mają oczywiście swojego świętego, nie nowego wprawdzie, ale wciąż wysławianego, np. przez Klementynę Suchanow – Witolda Gombrowicza. Andrzej Waśko wspomina, jak dogmat o wielkości autora „Ferdynurka” i głupocie przedstawionego przez niego w tej powieści Pimki wbijano do głowy studentom w latach 70. Nauczyciele akademicki, przekonani pewnie o swojej nowoczesności, gombrowiczowską krytykę szkoły uznali wtedy „za fundament odnowy polonistyki”. Odnawiano więc tę ostatnią, co sam pamiętam aż za dobrze. Z jakim wynikiem? „Niestety, współczesna młodzież »nie chce czytać« nie tylko Mickiewicza... Lekarstwem na tę zapaść kulturalną, o ile jakieś lekarstwo istnieje, nie jest jednak »więcej luzu«, ale rozumny powrót do pochołpnie odrzuconych wartości i autorytetów”. Co daj Boże. Amen. ©©



★★★★★
ANDRZEJ WAŚKO
„LITERATURA
I POLITYCZNOŚĆ”
OŚRODEK MYŚLI
POLITYCZNEJ,
KRAKÓW 2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wirusem po wodzie

O siemset dwunastego dnia lockdownu bohater „Plagi” otrzymuje propozycję biznesową: stary znajomy chce zekranizować „Dżumę” Camusa. „W odjechanych dekoracjach, z perspektywy szczura”. Michał opuszcza więc swego towarzysza niedoli w kwarantannie (częściowo oswojoną mysz) i rusza w nieznane.

W tej fantazji żadna szczenioka nie przynosi nadziei, trup ściele się gęsto, lęk przed drugim człowiekiem sięgnął zenitu, prosperują jedynie firmy dostarczające pod drzwi zamówione produkty oraz dostawcy Internetu. Gdy bohaterowie „Plagi” trafiają na barkę zacumowaną u brzegu Zalewu Zegrzyńskiego, mamy przez chwilę wariację na temat znany z „Noża w wodzie” Polańskiego: dwóch panów i dziewczyna.

Chwilę potem dostajemy dużą dawkę prozy autotematycznej nie dlatego, że się sam Bartłomiej Świdorski wywnętrza, ale dlatego, że Michał, obmyślając scenariusz filmu, nieustannie cytuje Camusa, porównuje los doktora Rieux z własnym, bo czuje się postacią tragiczną: pandemia odebrała mu ukochaną kobietę. Ale „Plaga” okazuje się też powieścią o spisku i niecnym planach na jeszcze gorszą przyszłość, w których pojawia się pewien polski oligarcha.

Jest tego wszystkiego trochę za dużo,

autor podejmuje rozmaite tropy, potem je porzuca na rzecz innych, ale wszystko to razem w porządną, wielowarstwową historię się nie klei. Zdaje mi się „Plaga” książką z przetrąconym kręgosłupem, nie do końca obmyśloną. Może kryje się w niej porządne opowiadanie o jednej z opisanych sytuacji (psychodrama na łodzi w czasach zarazy)? A może jest tu materiał na obszerny thriller, tyle że wtedy priorytetem autora powinna być oszałamiająca, precyzyjna, koronkowa akcja i jej gwałtowne zwroty, a nie pojękiwania artysty zamkniętego w kabinie.

Z warstwą literacką bywa różnie. Spójrzcie na zdanie: „Zalew rozciągał aurę leniwego popołudnia i pachniał jak oddech psa”. „Aura leniwego popołudnia” to nieznosny frazes, ale po usunięciu mielibyśmy po prostu: „Zalew pachniał jak oddech psa” – mocno, obrazowo, jak z thrillerów Jonathana Kellermana. Może więc i redaktor ze skalpelem przydałby się bardzo?

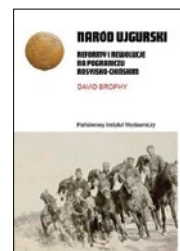


★★★★★
BARTŁOMIEJ ŚWIDORSKI
„PLAGA”
WYDAWNICTWO SEKOJA 2021

Odnotowuję jednak krótką powieść Świdorskiego, bo próbował. Próbował trochę inaczej niż autorzy mrowia opublikowanych w sieci i na papierze dzienników pandemicznych, nieznosnych albo w swoim jojczeniu, albo w pompacyjnym obwieszczeniu oczywistych oczywistości. Nowa pandemia wciąż czeka na swego Camusa. ©©

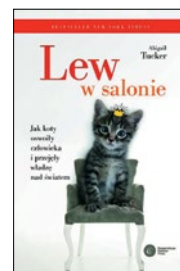
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Niewielu upomina się o ich prawa i potępia Chiny za zbrodniczą politykę, jeszcze mniej wie, kim są, jak wygląda ich kultura i skomplikowana, tragiczna historia. Dzieło pionierskie na polskim rynku i warte gorącej rekomendacji.



DAVID BROPHY
„NARÓD UJGURSKI”
PIW

„Jak koty oswoiły człowieka i przejęły władzę nad światem” – głosi podtytuł. Pozycja obwołana przez „Forbesa” i „Library Journal” najlepszą książką naukową roku 2016, fascynująca opowieść o długich relacjach ludzko-kociach.



ABIGAIL TUCKER
„LEW W SALONIE”
COPERNICUS CENTER PRESS

Debiutancka powieść pisarza ukazała się w roku 1953, gdy trudno było na poważnie brać groźbę dehumanizacji wywołanej rozwojem komputerów. Ale Vonnegut już wtedy stawiał trudne pytania i dawał gorzkie odpowiedzi.



KURT VONNEGUT
„PIANOLA”
ZYSK I S-KA

„Polski Ludowej nie ma, ale żyją jej kłamstwa, przeżywają nowe wcielenia” – gorzko zauważa autor, podsumowując szkice o wspólnej pamięci narodu. Aby ukazać prawdę, zabiera czytelnika w fascynującą podróż przez stulecia. ©© **poleca Piotr Gociek**



BOHDAN URBANKOWSKI
„BOHATEROWIE I ZDRAYCY”
BIAŁY KRUK

KOMIKS TYGODNIA:

„TOM STRONG”

Alan Moore, postać szalona i kontrowersyjna, jest jednak mistrzem scenariuszy komiksowych, o czym świadczy choćby pierwsza obszerna sekwencja tego komiksu: mały chłopiec zaczytany w obrazkowej opowieści o swym ulubionym herosie nie zauważa, jak trafia w środek jednej z akcji przez niego prowadzonych. Moore ponownie oferuje nam wielowarstwową opowieść, tym razem uszytą



ALAN MOORE, CHRIS SPROUSE
„TOM STRONG”;
TOM PIERWSZY
EGMONT 2021

z nawiązań do popkultury pierwszej połowy XX w. W jej centrum oczywiście nadczłowiek: wychowany na odległej wyspie przez parę ekscentrycznych naukowców, wolny od grzechów homo sapiens. Czy na pewno? ©©

poleca Piotr Gociek



Cisza na Solinie

– Jakby co, to od sześciu lat jestem na rybach – mówił przed laty reporterom „Dziennika Zachodniego”. Przyjął ich w swoim domu, którym była tratwa na Zalewie Solińskim. Woda z pobliskiego źródła, prąd z agregatu, ciepło z pieca, do którego wrzucał drewno przyniesione z lasu. Na początku był i telewizor, ale wyleciał za burtę dawno temu podczas meczu.

Podobno właściciela zderzyła chwilowa utrata sygnału w środku akcji, a nie sama gra, ale kibice i tak wiedzą swoje. (Telewizor został sprzątnięty, właściciel tratwy dbał o porządek.

– Kiepy z papierosów nie do wody! Potem pływa to na powierzchni – przestrzegał swoich gości).

„Na ryby” wyjechał Michał Giercuskiewicz w latach 90. Niedługo po śmierci swojego

przyjaciela Ryśka Riedla i po stracie mamy. Rzucił wszystko i uciekł w Bieszczady przed światem i nałogiem. Od muzyki – nigdy. Jako perkusista zaczynał w latach 70. w zespole Apogeum. Współpracował później z wieloma rockowymi oraz bluesowymi muzykami i składami, ale najbardziej kojarzony był z Dżemem, z którym współtworzył i nagrywał największe przeboje śpiewane przez

Ryśka. Ostatnio związany był ze Śląską Grupą Bluesową.

Michał Giercuskiewicz zmarł 27 lipca ubiegłego roku. Krótko przed jego śmiercią ukazał się podwójny album „Giera” – „Wolność”.

Wydane przed kilkoma dniami „Bieszczady” to swego rodzaju suplement do „Wolności”. Większość kompozycji z nowej płyty została zarejestrowana podczas autorskiej sesji nagraniowej w 2004 r. Uzupełniają je dwa dedykowane „Gierowi” utwory nagrane podczas opracowywania materiału przez Józefa Skrzeka i Śląską Grupę Bluesową. W zamykającym album „Był sobie muzyk” śpiewają: „Był sobie muzyk, nawet miał talent / I chciał zbudować swój dom na skale / Więc grał i krążył po Bożym świecie / Z wielką perkusją na chudym grzbiecie / [...] Był sobie muzyk, dziś już go nie ma / Jego perkusja milczy jak ziemia”. ©© **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Tak mało wystarczy

Jej dwie płyty pokryły się platyną. Singlowy „Za krótki sen” zaśpiewany z Dawidem Podsiadłą ma 7 mln odsłon w Internecie. Krótko mówiąc – gwiazda.

Na trzecim albumie Daria porzuciła wizerunek dziewczyny z gitarą w koszulce Nirvany i wkroczyła w świat popu. Zainspirowała ją japońskie filmy anime i mangi (patrz: okładka). Do tego, jak sama twierdzi, jest to jej najbardziej osobiste dzieło. W warstwie muzycznej wyruszyła wraz z Michałem Kushem w świat, jak podaje ulotka, francuskiego synth popu.

Ubogie, syntetyczne brzmienia lat 80. stanowią od kilku lat inspirację dla naszej sceny. Laptopowe duety mieszane wykorzystują je jak muzyczne abecadło, ale w porównaniu ze światowymi

produkcjami efekty wypadają czekoladopodobnie. „Wojny i noce” nie należą do tej kategorii, ale stylistyczne ramy sprawiają, że utwory zlewają się ze sobą. Okazuje się, że wyrazisty taneczny rytm, retrodźwiękowe smaczki, głos à la Kozidrak i teksty o uczuciowych zmaganiach wystarczą na sukces. Skrojony pod radio „Za krótki sen” jest pod każdym względem banalny, a album zyskałby bez dwóch anglojęzycznych nagrań i koszmaraka „Reflektory – sny”. Nieźle wypadła nagrania tytułowe, przekonuje wzniosła ballada „Socjopathic” i przede wszystkim buntowniczy „Metropolis” (nawiązujący do filmu Fritza Langa i mangi Osamu Tezuka). Dla mnie to za mało, ale ja nie jestem targetem dla tego projektu. I dobrze mi z tym. ©©



★★★★★
DARIA ZAWIAŁOW
„WOJNY I NOCE”
SONY



★★★★★
GARBAGE
„NO GODS
NO MASTERS”
INFECTIOUS

Na siódmym albumie alt-rockowi gwiazdorzy są mega wkurzeni. Shirley Manson wrzeszczy o rasizmie, nierówności płci, korporacyjnej chciwości, policyjnej brutalności... Jej wokal jest uwodzicielski, władczy i groźny, a w tle rozbrzmiewa pulsująca digital-funkowa kanonada.



★★★★★
ANGÉLIQUE KIDJO
„MOTHER NATURE”
UNIVERSAL

Pierwszy od lat album Beninki z oryginalną muzyką. Powstał przy udziale gości z wielu afrykańskich krajów, a także Ameryki i Europy. Ta mieszanina reggae, high life'u, juju i afrobeatu jest zarówno holdem dla planety, jak i ostrzeżeniem dla tych, którzy nie chcą jej szanować i chronić. ©©

Kanał Gliwicki odzyskuje dawną świetność



Zmodernizowana Śluza Sławiećice

Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie ukończyły modernizację śluz na Kanale Gliwickim. Dzięki inwestycji, zrealizowanej w dwóch etapach i wartej łącznie ponad 246 mln zł, żeglowność Kanału została podniesiona do III klasy. Poprawa warunków transportu wodnego, zwiększenie przepustowości i bezpieczeństwa sprawia, że Kanał Gliwicki odzyskuje swą dawną świetność oraz znaczenie w żegludze śródlądowej.

Modernizacja śluz zakończona

Wody Polskie od IV kwartału roku 2017 prowadziły drugi etap modernizacji śluz na Kanale Gliwickim, który obejmował obiekty hydrotechniczne w Sławiećicach i Nowej Wsi. W etapie pierwszym projektu prace zrealizowano w obrębie śluz Kłodnica, Rudziniec (zakończone w 2015 r.) oraz Dzierżno i Łabędy (ukończone w 2020 r.) W połowie czerwca bieżącego roku zakończono remont śluz w Sławiećicach i Nowej Wsi, a tym samym sfinalizowano projekt o wartości ponad 246 mln zł.

- Oddajemy armatorom, kapitanom żeglugi śródlądowej wyremontowane wszystkie śluz na Kanale Gliwickim. Ta inwestycja jest kluczowa w czasie, gdy konieczne są zmiany transportowe – podkreśla Przemysław Dąca, Prezes Wód Polskich.

Kanał Gliwicki to jedyna taka droga wodna w kraju o funkcji transportowej. Został wybudowany w latach 30. miniego wieku. Przeprowadzono go w wykopie, a częściowo także w nasypie w trudnym, niestabilnym i piaszczystym terenie. Zaczyna swój bieg od Odry w Kędzierzynie-Koźlu, by po prawie 41 km, zakończyć go w porcie w Gliwicach. Różnica wysokości lustra wody między tymi skrajnymi stanowiskami wynosi 43,6 m. Pokonuje się ją dzięki systemowi 6 dwukomorowych bliźniaczych śluz, które dzielą kanał żeglutowy na siedem odcinków. Wszystkie mają długość 71,5 m i szerokość 12 m, różnią się natomiast spadem. Najmniejsza różnica poziomów występuje na śluzie Łabędy – 4,2 m. Największa różnica poziomów występuje na śluzie Kłodnica – 10,4 m.

Śluz stanowią kluczowy element infrastruktury Kanału Gliwickiego, a ich bezawaryjne i efektywne funkcjonowanie w najwyższym stopniu determinuje przepustowość szlaku wodnego. Ich modernizacja polegała na przebudowie i rekonstrukcji awanportów (miejsca, gdzie barki oczekują na wejście do śluz lub pozostają po wyjściu z niej), remoncie komór wraz z dnem i ścianami oraz odnowieniu wszystkich budowli inżynierskich śluz. Śluz uzyskały nowe wrota, automatykę

sterującą oraz instalacje elektryczne. Uporządkowaniu uległa również infrastruktura wokół obiektów – drogi dojazdowe, instalacje wodociągowe i kanalizacyjne. Dzięki zastosowaniu systemu oszczędnościowego śluzowania, może się ono odbywać przy mniejszym zapotrzebowaniu w wodę. Za sprawą zrealizowanej inwestycji administrator szlaku – PGW Wody Polskie w Gliwicach – uzyskał pewność co do bezpieczeństwa załóg jednostek pływających oraz obsługi.

Warty podkreślenia jest fakt, iż modernizację prowadzono z zachowaniem drożności szlaku wodnego i ciągłości obsługi jednostek pływających.

Żegluga śródlądowa rozkwitnie

- To nie koniec inwestycji związanych z poprawą żeglowności Odry. Odrzańska Droga Wodna ma stać się jednym z kluczowych polskich szlaków żeglugi śródlądowej o znaczeniu międzynarodowym. Do roku 2030 planujemy, dzięki kolejnym inwestycjom, doprowadzić do sytuacji, by drogą wodną odbywało się 30 procent całego transportu towarowego – wskazuje Monika Niemiec-Butryn, Dyrektor Departamentu Gospodarki Wodnej i Żeglugi Śródlądowej Ministerstwa Infrastruktury.

Kolejnym projektem związanym z realizacją obranej strategii jest zaplanowana na dwa etapy modernizacja Kanału Gliwickiego poprzez dalszą poprawę warunków żeglownych i remont ubezpieczeń brzegowych, która została wpisana do programu Planowanych Inwestycji na lata 2021-2027.



Zmodernizowana Śluza Sławiećice

TVP Sport, w którą stopniowo zamienia się Telewizja Polska, postanowiła uszczęśliwić niemałe grono gospodyń domowych, małych dzieci wychowanych na YouTube i wpatrzonych w Netflixa, miłośników powtarzanych w nieskończoność tych samych PRL-owskich tasiemców i serialowych nowości rodem z Ukrainy transmitowaniem wszystkich, 51, meczów mistrzostw Europy w piłce nożnej Euro 2020. Czyli tej imprezy, która miała się odbyć w zeszłym roku, ale się nie odbyła, w związku z tym UEFA zmieniła kalendarz, co mnie specjalnie nie dziwi, gdyż wydaje się, że nie ma takiego idiotyzmu, którego by organizacje sportowe, na czele z piłkarskimi, nie potrafiły przevorsować. Już zacieram ręce na myśl, co Międzynarodowy Komitet Olimpijski zafunduje nam w Japonii, o ile igrzyska się odbędą. Lud wołał wprawdzie: „Chleba i igrzysk”, ale to było dawno.

Dawno też, bardzo dawno temu, sport był amatorski, chodziło w nim o to, kto dalej, kto wyżej, kto szybciej, a politycy, choć zawsze chętnie spotykali się i fotografowali z medalistami i rekordzistami (patrz: Adolf Hitler), nie popadali w przesadę. Nawet komuchy, ścigające się, by ich budujące socjalizm państwa wyprzedzały w przeróżnych klasyfikacjach wraże mocarstwa imperialistyczne, zachowywały jakieś pozory. Dziś jednak polityką stało się wszystko, a sport ze swoimi sponsorami, reklamami, marketingiem okazał się znakomitą nośnikiem czegoś, co zwykło się nazywać współczesnym patriotyzmem. Na polskim podwórku sprowadza się on do wymachiwania biało-czerwonym szalikiem i skandowania: „Zawsze i wszędzie, Polska najlepsza będzie” i „Biało-czerwone to barwy niezwykłe!”. Inne



FOT. ANDRZEJ STOLIK



Krzysztof Masłoń

Dwudzieste szóste marzenie

kraje mają swoje, równie przekonujące, przyśpiewki, którymi kibice urozmaicają sobie oglądanie, nudnych najczęściej, piłkarskich meczów z przesadą nazywanych „spektaklami”. Czasem tylko urozmaicanych – jak w Sankt Petersburgu na spotkaniu Finlandii z Belgią – wtargnięciem na boisko skapo ubranej, acz nie do końca roznegliżowanej, czego bardzo żałuję, kibicki (?), która wykorzystwała mecz do reklamy kryptowaluty. Z wysokiego „C” rozpoczęła się natomiast w Monachium kopanina Niemców i Francuzów, a to od tak zgrabnego lądowania parolotni Greenpeace’u wyrażającej protest przeciw produkowaniu przez Volkswagena nieekologicznych samochodów, że przy okazji kilku widzów doznało obrażeń, dwie osoby odwieziono do szpitala, a francuski

trener Didier Deschamps nabił sobie guza. Greenpeace, ustami swojego rzecznika, dokonał stosownej ekspiacji. „Bardzo nam przykro” – oświadczone. Nadmienię w tym miejscu, że nasi zachodni sąsiedzi mecz przegrali.

W ogóle Niemcy zajmują się na tych mistrzostwach wszystkim, przy czym futbolem jakby najmniej. Istnego amoku dostały władze Monachium, które uparły się, by w trakcie meczu swojej reprezentacji z Węgrami oświecić Allianz Arena (stadion, na którym swoje mecze rozgrywa Bayern – z Robertem Lewandowskim) na tęczowo. UEFA doradziła poprawnościowemu Bawarom iść na drzewo, akcentując, że stadiony mogą być podświetlane narodowymi barwami lub kolorami UEFA, ale nie innymi. Natychmiast kibice węgierscy

obwołani zostali szowinistami, rasistami i poplecznikami faszyzmu, do swoich niecnych działań zachęcany przez okrutnego Viktora Orbána.

Niemcy, znani ze swoich demokratycznych poglądów i liberalnych tradycji, mają swojego nowego bohatera – bramkarza Bayernu i reprezentacji, Michaela Neuera, który w meczu z Portugalią zagrał z tęczową opaską, wspierając w ten sposób środowiska LGBT. Niemiecki związek piłki nożnej, któremu zagroziła za to kara ze strony UEFA, wziął – rzecz jasna – swego golkipera w obronę, uznając tęczową opaskę na jego przedramieniu nie za deklarację ideologiczną, lecz za „symbol różnorodności użyty w dobrej sprawie”.

Nasza chata jednak z kraju i wszystkim tym wydarzeniom poświęca się między Bugiem a Odrą stanowczo za mało uwagi, w związku z tym zmuszeni jesteśmy zastanawiać się, kto gorzej komentuje mecze: Maciej Iwański czy Sławomir Kwiatkowski. Bo że absolutny prymat wiedzy na tym polu obchodzący właśnie swoje 70-lecie Dariusz Szpakowski, jest pozadyskusyjne. Wśród znawców futbolu popisujących się swoją piłkarską wiedzą zdecydowanie wyróżnia się Tomasz Smokowski: plażowym stylem bycia, letnią fryzurą i eksponowanym tatuażem.

Najwyższe wyrazy uznania – serio! – przekazuję zaś Michałowi Zawackiemu, który po strzeleniu przez Węgrów bramki w meczu z Francją nie tylko sam zamilkł, lecz także w sobie tylko znany sposób zmusił do milczenia złotoustego na ogół Andrzeja Strejlaua. I tak zamiast bajek z mchu i paproci ubogacanych analizami podań diagonalnych zafundowano nam 26 sekund kompletnej ciszy. To było niesamowite! Rosjanie mawiali nie bez racji: „Tisze jediesz, dalsze budiesz”. ©©

Zrównoważony rozwój



PARTNER GŁÓWNY



eprasa.pl 73413d5b6b

Od saksońskiego urzędnika do globalnego szczytu w Rio. Zrównoważony rozwój przez stulecia ewoluował i na pewno przejdzie jeszcze kilka kolejnych przemian

O zrównoważonym rozwoju słyszał już każdy, o tej idei mówi się na wszystkich szczeblach: przez rządy, samorządy, prywatne biznesy do najmniejszych firm. Sam pomysł, by równoważyć rozwój cywilizacji, regionu, to trochę odpowiedź na bolączki poprzednich dziesięcioleci, a nawet stuleci. Co jakiś czas ludzkość stawiała na rozdrożu po tym, jak okazywało się, że nadmiernie wyeksploatowała którąś z gałęzi gospodarki. Odbijało się to szczególnie na środowisku, zasobach naturalnych, z których czerpano nierzadko bez namysłu.

W 1983 r. ruszyły prace Światowej Komisji ds. Środowiska i Rozwoju przy ONZ, którą kierowała Gro Harlem Brundtland (stąd zresztą nazwa: komisja Brundtland), która po latach stworzyła raport „Nasza wspólna przyszłość”. To właśnie w tym raporcie padła definicja „zrównoważonego rozwoju”, podawana obecnie za przykład: „Zrównoważony rozwój to taki rozwój, w którym potrzeby obecnego pokolenia mogą być zaspokojone bez umniejszania szans przyszłych pokoleń na ich zaspokojenie”. Wtedy był to swego rodzaju przełom, ale sama idea nie była wcale nowa.

HISTORIA ROZWOJU LASEM PISANA

Za „ojca” zrównoważonego rozwoju, choć jedynie w dziedzinie leśnictwa, można uznać urzędnika, starostę, Hansa Carla von Carlowitza z Saksonii, wieloletniego administratora górnictwa. W 1713 r. Carlowitz wydał dzieło znane współczesnym jako „Sylvicultura Oeconomica”, w którym pierwszy raz pada sformułowanie stojące u podstaw „zrównoważonego rozwoju”. Saksończyk pisał bowiem o tym, by tak organizować gospodarkę leśną, by można było zapewnić sobie „ciągłe i trwałe” użytkowanie jej.

Wtedy praca Carlowitza była przełomowa na kilku płaszczyznach. Saksończyk zwrócił uwagę na mało



oczywisty problem: w pewnym momencie w hutach zabrakło nie rud do stapiania, a drzew, które posłużyłyby za opał. W Saksonii przez dziesięciolecia przetwarzano na potęgę (zwłaszcza srebro), niespecjalnie za to patrzono na ubywające lasy. Carlowitz opisał więc, jak należy korzystać z lasów, jak je eksploatować, pisał też o potrzebie zbierania nasion drzew, monitorowania i wspierania regeneracji lasów oraz o tym, jak podtrzymać jednocześnie działanie przemysłu hutniczego oraz leśnego. Podsumowując: w 1713 r. pewien Europejczyk zrozumiał, jak ważna jest ciągłość użytkowania lasu.

Carlowitz przemodelował też trochę myślenie o rolnictwie i leśnictwie (dotychczas łączonych ze sobą), wskazując na zagrożenia, jakie niesie za sobą nieprzemysłana gospodarka rolno (miejsc pod pola były stopniowo karczowane). Saksończyk zmarł zaledwie rok po publikacji traktatu, nie doczekał więc czasów, gdy jego „Sylvicultura...” była w niemieckich państwach właściwie lekturą. Później znaleźli się naśladowcy, którzy myśl Carlowitza modyfikowali i formowali pod potrzeby postępującej industrializacji. Powoli zaczęto dostrzegać zagrożenia, jakie niesło za sobą nadmierne eksploatowanie środowiska, powstawały pierwsze



jaki?

i równomierny podział korzyści, tak by nie powstawały znaczące różnice między regionami; ochronę środowiska i zasobów naturalnych; oraz rozwój społeczny, z zachowaniem różnorodności i zapewniający ludziom pracę, żywność, edukację, dostęp do wody etc.

Zrównoważony rozwój, już w swojej finalnej wersji, został ponownie „zaakceptowany”, tym razem na Szczycie Ziemi w Rio de Janeiro w 1992 r., gdy opracowano dokument „Agenda 21”, zawierający plan działania dla Organizacji Narodów Zjednoczonych. „Agendę 21” podpisały 172 państwa ONZ. Fragmenty tej deklaracji brzmią zarówno znajomo, jak i niepokojąco, ponieważ od szczytu w Rio minęło blisko 30 lat, a jak pokazuje czas: wciąż jest wiele do zrobienia. „Ludzkość doszła do przełomowego momentu w historii. Kontynuując dotychczasową politykę, przyczyniamy się do pogłębienia przepaści gospodarczej w społeczeństwach i między państwami [...]”. Zakres zaleceń waha się od nowych metod nauczania do nowych metod wykorzystania surowców i uczestniczenia w tworzeniu zrównoważonej gospodarki” – to fragmenty „Agendy 21” sygnowanej w 1992 r.

Gdy 20 lat później, w czerwcu 2012 r., zorganizowano analogiczny szczyt w Rio „Rio + 20”, 20 lat po tym, który uznano za przełomowy, trudno było jednak odrząbić sukces. Wtedy przyjęto setki zobowiązań, dokument „Przyszłość, jakiej chcemy”. Zrównoważony rozwój – choć wciąż bardziej realizowany aniżeli zrealizowany – dalej pozostawał na tapecie.

Wraz z każdym kolejnym szczytem rosły pewne oczekiwania, które nie zawsze mogły być przekuwane w realne działania, co może oczywiście rodzić wątpliwości. Czy idea zrównoważonego rozwoju to nie jest roszczeniowa mrzonka, teoretyczna, utopijna wizja? Jak pokazują mniejsze i większe przykłady z ostatnich lat – i tak, i nie. W skali globalnej zawsze trudno wyłuskać małe zwycięstwa, a te są powoli i zmusznie odnoszone.

W kwietniu 2021 r. Japonia nagle zwiększyła swoje cele redukcji emisji gazów cieplarnianych z 26 proc. do aż 46 proc. Unia Europejska też podkręciła tempo, bo do 2030 r. chce emitować o 55 proc. CO₂ mniej (w planach było 40 proc. względem roku 1990), a Polska od roku 1990 do 2018 ograniczyła emisję CO₂ o 13 proc. Można mówić,

że to mało, zbyt wolno, ale jednak coś drgnęło i fala przemian nie zamierza się zatrzymywać.

MAŁE WYGRANE ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU

Ograniczenie zrównoważonego rozwoju tylko do dbałości o zmniejszenie emisji CO₂ byłoby sporym uproszczeniem, choć rzeczywiście – nie ma bardziej działającego na wyobraźnię wskaźnika, który można z nim kojarzyć. Jednak nie wszystkie działania, mające na celu realizowanie tej idei, muszą być traktowane od razu z przytupem i rozmachem.

W zrównoważony rozwój wpisuje się będzie zarówno postawienie zbiornika na deszczówkę (w końcu dbamy o zasoby wodne) czy przydomowej fotowoltaiki, jak i wspieranie oddolnych, drobnych inicjatyw proekologicznych albo dbanie o najbliższe otoczenie – nie tylko to naturalne. W zrównoważony rozwój może zaangażować się pracodawca, który postawi na rozwój pracownika, rolnik rezygnujący z pestycydów, nauczyciel szerzący tę ideę. Każda decyzja, każdy ruch, który będzie wspierał wyrównywanie szans (np. w edukacji czy na rynku pracy) i poprawiający jakość życia, wpisują się w zrównoważony rozwój.

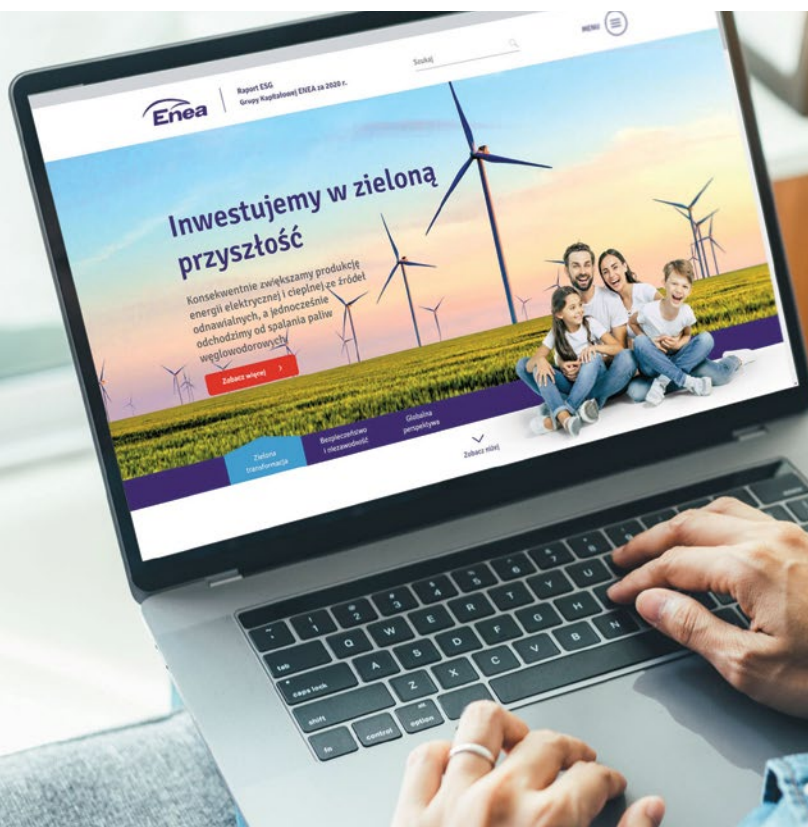
Z tą ideą jest też tak, że gdy tylko choć w pewnym stopniu zniweluje jakieś negatywne skutki działań człowieka, to musi mierzyć się z kolejnymi, które wyrosły tuż obok. Tak jest np. z postępującą robotyzacją – na początku była ona chętnie witana, zwłaszcza w przemyśle. Roboty zastępowały człowieka przy trudnych pracach, ale wraz z upowszechnieniem się ich m.in. w fabrykach pojawił się inny problem.

Nie można wykluczyć, że w nie tak wcale odległej przyszłości, przy stale rosnącej populacji człowieka, przez roboty zabraknie miejsc do pracy. Krytycy takich wizji podnoszą, że i maszyny parowe miały zrewolucjonizować rynek pracy i wyprzeć człowieka z rynku, jednak wtedy ludzie nie musieli rywalizować ze stale uczącymi się maszynami. Zagrożenie – choć dopiero majaczy – jest jednak realne, i nie wiadomo, jak ewoluuje. Czy przypadkiem roboty nie zabiorą człowiekowi pracy? Jeśli realizowane będą wciąż utopijne założenia zrównoważonego rozwoju – może to nie nastąpić.

ruchy ekologiczne, tworzone rezerwaty. Nie był to jednak zrównoważony rozwój, który znamy dziś.

OD RIO DO RIO ZA ROZWOJEM

Ponad 270 lat od śmierci Carlowitza komisja Brundtland opracowała – w 1987 r. – raport „Nasza wspólna przyszłość”, który w końcu zebrał wszystkie filary, mające podpieierać zrównoważony rozwój. Postulaty zawarte w tym dokumencie są bardzo ogólne, ale wzajemnie od siebie zależą i – jak zalecali ich twórcy – należy je integrować na skalę światową. Tak rozumiany zrównoważony rozwój zakłada: wzrost gospodarczy



Kurs na zrównoważony rozwój energetyki przyszłości

Grupa Enea, podejmując liczne działania na rzecz klientów, pracowników i lokalnych społeczności, funkcjonuje tak, by minimalizować wpływ swojej działalności na środowisko naturalne. To już nie tylko producent, dystrybutor i sprzedawca energii elektrycznej, lecz także jeden z liderów zmian w kierunku zrównoważonej energetyki przyszłości, której podstawę będą stanowić odnawialne źródła energii

Zrównoważony rozwój to nie tylko kwestia brania odpowiedzialności firmy za swoje działania. Dziś to wymóg. Klienci, wybierając partnerów biznesowych, coraz częściej biorą pod uwagę to, czy przedsiębiorstwa postępują etycznie, ograniczają swój wpływ na środowisko naturalne, przestrzegają praw pracowniczych. Enea od lat jest w grupie przedsiębiorstw postępujących według tych zasad. Firma dąży do zachowania równowagi pomiędzy oczekiwaniami

swoich klientów i pracowników, a ochroną długoterminowych interesów przyszłych pokoleń, jednocześnie zachowując najwyższe wymagania w zakresie ochrony środowiska naturalnego.

– Niezmiennym elementem naszego podejścia do biznesu jest działanie zgodne z ideą zrównoważonego rozwoju. Pracujemy w sposób odpowiedzialny, transparentny i etyczny, a podejmowane przez Grupę Enea aktywności biznesowe uwzględniają potrzeby społeczne

i środowiskowe – zaznacza Paweł Szczeszek, prezes Enei.

INWESTOWANIE W „ZIELONE”

Podchodząc odpowiedzialnie, m.in. do kwestii klimatycznych i społecznych, przy okazji ostatniego raportu podsumowującego działalność Grupy w I kwartale 2021 r. Enea zaprezentowała również dokument znacznie wykraczający poza wypełnienie przez spółkę jej obowiązków, wynikających w szczególności z przepisów Ustawy o rachunkowości. Chodzi o pierwszy raport ESG (z ang. environmental, social, governance), w którym kompleksowo zostały przedstawione działania w sferze ochrony środowiska, zaangażowania społecznego oraz odpowiedzialnego zarządzania podejmowane przez Grupę w całym 2020 r.

W interaktywnym dokumencie dostępnym w Internecie można znaleźć informacje na temat podejmowanych inicjatyw i projektów, których celem jest ograniczenie wpływu działalności Grupy Enea na środowisko, w tym m.in. o rozwijaniu przez spółkę produkcji energii ze źródeł odnawialnych.

Przykładem konsekwentnego dążenia w tym kierunku jest podpisanie listu intencyjnego między Eneą, PGE i Tauronem w sprawie współpracy przy przyszłych projektach budowy farm wiatrowych na Morzu Bałtyckim.

Poza tym koncern ogranicza emisję zanieczyszczeń, m.in. dzięki inwestycjom i modernizacjom środowiskowym w swoich elektrowniach, racjonalnemu zarządzaniu surowcami oraz działaniom na rzecz zachowania różnorodności biologicznej.

Taka odpowiedzialna transformacja aktywów wytwórczych ma znacząco obniżyć poziom jednostkowej emisji CO₂. Co ważne, plany rozwojowe Grupy wpisują się w realizację Polityki Energetycznej Polski, zgodnie z którą do 2030 r. co najmniej 23 proc. zużywanej energii w Polsce będzie pochodzić ze źródeł odnawialnych.

– Tematy klimatyczne są dla nas niezwykle istotne, przez co z dużą odpowiedzialnością podchodzimy do kwestii naszego wpływu na środowisko naturalne, działając zgodnie z celami zrównoważonego rozwoju. Dlatego z grona zarządu wyznaczaliśmy wiceprezesa ds. operacyjnych Enei, jako osobę odpowiedzialną za zarządzanie kwestiami związanymi z wpływem Grupy na klimat. Postanowiliśmy również utworzyć w firmie specjalny zespół, który będzie się zajmować procesem transformacji Enei w kierunku zeroemisyjności. Poprzez te działania, jako spółka giełdowa, budujemy naszą wartość dla akcjonariuszy – podkreśla Paweł Szczeszek, prezes Enei.

W Raporcie ESG po raz pierwszy koncern opisuje ryzyko związane ze zmianami klimatycznymi, które mogą mieć wpływ na działalność Grupy, a także informuje, w jaki sposób będzie odpowiadać na wyzwania transformacji energetycznej i działać na rzecz ochrony klimatu, uwzględniając Cele Zrównoważonego Rozwoju ONZ.

CZŁOWIEK W ŁAŃCUCHU WARTOŚCI

ESG często jest kojarzone przede wszystkim z ekologią, tymczasem to tylko jeden z elementów, nie należy zapominać

także o pozostałych. Pozostałe dwa – czyli ekonomia i społeczeństwo – są obszarami równie istotnymi z punktu widzenia dobrego gospodarowania przedsiębiorstwem.

W dokumencie przedstawiającym podejście Grupy Enea do zarządzania poszczególnymi obszarami dużo miejsca poświęcono także działaniom na rzecz publicznego systemu ochrony zdrowia oraz społeczności lokalnych w kontekście epidemii koronawirusa. Spółka w obliczu zagrożenia epidemicznego nie tylko zapewnia bezpieczeństwo energetyczne milionom Polaków, lecz także aktywnie wspiera państwo w walce z COVID-19.

Od początku pandemii, za pośrednictwem fundacji Enea, do 51 ośrodków z terenu działania Grupy trafiło przeszło 6,5 mln zł. Działania spółki pozwoliły na zakupienie m.in. specjalistycznego sprzętu medycznego, w tym respiratorów oraz potrzebnych środków higieny i ochrony osobistej.

Warto podkreślić, że inicjatywy Grupy nie ograniczyły się tylko do udzielenia wsparcia finansowego, obejmowały również inne formy pomocy, w tym m.in. zaangażowanie wolontariuszy.

A wolontariat pracowniczy w Enei działa już 10 lat! Przez ten czas udało się zrealizować wiele dużych i małych przedsięwzięć i akcji, pomagając dzieciom i młodzieży, dorosłym i seniorom, osobom chorym i potrzebującym, a także wielu instytucjom działającym społecznie na terenie całej Polski.

Pracownicy spółki chętnie oddają krew, uczą najmłodszych, jak bezpiecznie obchodzić się z prądem w ramach akcji „Nie taki prąd straszny”, biorą udział w zawodach sportowych, a pokonane przez nich kilometry zamieniane są na złotówki, za które organizowane są wydarzenia sportowe dla dzieci i młodzieży. Spółka nie zapomina też o seniorach, z którymi wolontariusze dzielą się wiedzą z zakresu udzielania pierwszej pomocy przedmedycznej czy praw konsumenckich.

– Wolontariat ma niezwykłą moc integracji, która procentuje w codziennej pracy. Buduje zaufanie, łączy pracowników w realizacji wspólnych celów, a przede wszystkim przyczynia się do wzmacniania kapitału ludzkiego, który jest największą wartością naszej Grupy – wskazuje Paweł Szczeszek.

Grupa Enea włącza się w działania, których celem jest ochrona przyrody. Pracownicy koncernu sprzątają lasy i brzegi

rzek, biorą udział w rewitalizacji ogrodów i skwerów, włączają się w akcje nasadzania nowych drzew, dbają również o owady zapyłające.

Koncern, we współpracy z Lasami Państwowymi, od kilku lat montuje platformy pod gniazda dla rybołowów na 20-metrowych słupach energetycznych, stanowiących infrastrukturę spółki, na których dorosłe i młode osobniki mogą bezpiecznie gniazdować. Energetycy co roku montują na słupach specjalne platformy, na których swoje gniazda zakładają pary bocianów.

CZYNIEŃ DOBRA POPŁACA

Jednocześnie Enea nie zaniedbuje pracowników, budując przyjazne miejsce pracy. Doceniło to jury konkursu „Friendly Workplace 2020”, przyznając spółce wyróżnienie, m.in. za szacunek i wsparcie dla modelu równowagi między pracą i życiem prywatnym, tworzenie zdrowego i przyjaznego środowiska pracy, stawianie na otwarte i partnerskie relacje z pracownikami oraz inwestowanie w rozwój ich kompetencji zawodowych oraz zainteresowań.

To jednak nie jedyna nagroda, którą Grupa Enea otrzymała za działania w obszarze zrównoważonego rozwoju. Za działania pn. „Moc jest w Nas”, które były odpowiedzią firmy i jej pracowników na wyjątkową sytuację związaną z pandemią koronawirusa, Enea została wyróżniona – już po raz czwarty – Srebrnym Listkiem CSR tygodnika „Polityka”.

Z racji swojego zrównoważonego podejścia do biznesu Grupa Enea zdecydowała się też na dołączenie do Global Compact (UNGC) – międzynarodowej inicjatywy ONZ na rzecz społecznej odpowiedzialności biznesu i wspierania zrównoważonego rozwoju, do której przystąpiło już ponad 13 500 członków ze 170 krajów. UNGC jest zaangażowane w bliską współpracę z administracją publiczną – w szczególności z Ministerstwem Klimatu i Środowiska – obejmującą promowanie zrównoważonego rozwoju, polityki klimatycznej i miejskiej. Już tej jesieni Enea i UNGC zainaugurują wspólny, istotny społecznie projekt ekologiczny.

Spółka ma nadzieję stać się jednym z prawdziwych katalizatorów transformacji energetycznej Polski, zapewniając zarówno obecnemu, jak i przyszłym pokoleniom sprawiedliwy dostęp do zasobów naturalnych, przy jednoczesnym zachowaniu najwyższych wymogów w zakresie ochrony środowiska naturalnego.



Paweł Lisicki

Fragment wstępu do książki „Kontrrrewolucja. Eseje i szkice”, która właśnie ukazała się nakładem wydawnictwa Fronda

Najstarszy z publikowanych w tym zbiorze esejów powstał w 1990 roku, ponad trzydzieści lat temu. Była to recenzja książki Milana Kundery pierwotnie opublikowana w „Znaku” pod tytułem „Przypowieść o życiu lekkim jak puch”. Tekst nieco później rozszerzyłem i przeredagowałem, już po przeczytaniu wszystkich wtedy dostępnych powieści czeskiego pisarza. Otwierający pierwszy tom esej „Mroczne dziedzictwo Oświecenia” ukazał się również w „Znaku”, w 1992 roku. W tym samym roku opublikowałem też inny, tak ważny dla mnie tekst o poezji Zbigniewa Herberta, „O pustym niebie Pana Cogito”.

Piękne to były czasy, chciałoby się powiedzieć. Komunizm właśnie upadł, Polska wracała do należnego jej miejsca pośród państw Zachodu. Światowa lewica leczyła rany. Socjalizm, bolszewizm, rewolucjonizm – wydawało się, że zostały ostatecznie obnażone i że ludzkość czeka złoty wiek wolności. Nie znałem jeszcze „Czarnej księgi komunizmu”, ale wiedziałem, podobnie jak całe nasze dojrzewające w latach 80. pokolenie, które zdobywało wiedzę z podziemnych wydawnictw i przekazów rodzinnych, że komuniści są odpowiedzialni za dokonanie masowych, straszliwych zbrodni, że stworzyli system ludobójczy i morderczy. Czy ich ofiarami padło 100 milionów ludzi, jak utrzymują autorzy „Czarnej księgi”, czy mniej, czy więcej, nie miało decydującego znaczenia dla oceny ustroju. Dość, że jego twórcy, tak ci, którzy go uzasadniali intelektualnie, jak ci, którzy bez skrupułów mordowali, jawili się jako ludzkie bestie i potwory. Dla mnie nie było żadnej moralnej różnicy między Leninem, Stalinem, Trockim a Hitlerem, Goebbelsem czy Himmlerem. Jedna zgraja bandytów. Kiedy słyszałem nazwisko Marks, wzgardliwie wydymałem wargi i uśmiechałem się z lekceważeniem. Niemożliwe, myślałem, że tylu ludzi mogło się zwieść opowieściom o walce klas, o upadku kapitalizmu, o religii jako opium dla ludu. Nawet jeśli to ostatnie twierdze-



Byliśmy tacy naiwni

nie nie było prostym potępieniem – można uznać, że Marks widział w religii wyraz ludzkiej tęsknoty za sprawiedliwością – to wciąż była ona jedynie czymś pochodnym, ostatecznie formą fałszywej świadomości. Tak, na początku lat 90. wydawało się, że upadek komunizmu nieodwołalnie zdyskredytował wszystkich tych, którzy go bronili, budowali i usprawiedliwiali. Powrót Marksa zdawał się niemożliwością.

Chociaż, widzę teraz, był to punkt widzenia naiwny, niedojrzały wręcz. Bowiem to zwycięstwo nad realnym socjalizmem, a takie miano nosił panujący w Polsce, wprowadzony przez Sowietów ustrój, było, jak szybko miało się okazać, częściowe. Nie tylko dlatego albo nie przede wszystkim dlatego, że zmiany, które nastąpiły w Polsce czy też w innych państwach bloku wschodniego, były często niezbyt głębokie,

że zasadały się na porozumieniu z komunistami, którzy w zamian za bezkarność i zachowanie znaczącej części przywilejów oddali część władzy. Nie. Prawdziwym problemem było to, że ów zwycięski Zachód w niewielkim jedynie stopniu, a być może wcale, nie przypominał tego wymarzonego ideału, do którego dążyli, o którym marzyli Polacy przez dziesięciolecia ucisku.

Wtedy, na początku lat 90., nie było to tak łatwo dostrzec. Państwa i narody zachodnie zbudowane przecież zostały na silnych i trwałych podstawach cywilizacji chrześcijańskiej. Wydawało się, że Zachód swoje zwycięstwo nad komunizmem zadzięcza przede wszystkim sile moralnej. Przekonaniu, że istnieje prawo naturalne, że ustawy przyjmowane przez parlamenty muszą się do niego stosować, że podstawą społeczeństwa musi być nienaruszalność

wolności słowa, ochrona ludzkiej godności i życia, kierowanie się sprawiedliwością, szacunek dla własności, dziedzictwa, tradycji. Dziś coraz częściej myślę, że było to złudzenie. Że radość ze zrzucenia komunistycznych pęt była zbyt wielka, by pozwolić nam na trzeźwe myślenie. Zachód, który wygrał z komunizmem, znajdował się bowiem również w stanie coraz poważniejszej zapaści.

Z jednej strony, wewnętrznie podmywa go niewiara we własną dziejową wielkość, z drugiej systematycznie ulega presji neomarksistowskich postmodernistów. Dreńczyła go i drenczy coraz bardziej choroba braku własnej tożsamości. To, co wielkie, staje się przedmiotem wstydu, to, co wspańiałe, ma zostać zapomniane. Przeszłość powinna zostać oczyszczona, wyrugowana, przezwyciężona. Ideałem ma być nowe, totalnie wyemancypowane, wyzwolone z więzów dziedzictwa społeczeństwo. Czy z tej choroby zdawaliśmy sobie wtedy sprawę, my, młodzi Polacy zachłyśnięci wolnością i dumni z obalenia komunizmu? Nie sądzę. Nie słyszałem wtedy na pewno ani o ideologii gender, ani o LGBT. Nie przypuszczałem, że zachodnie uniwersytety stały się ofiarami kulturowej rewolucji. To wszystko było jakby nierealne, dalekie. Doniesienia na ten temat budziły wówczas co najwyżej zdziwienie. Mogło się wydawać, że chodzi tu o jakieś dziwactwo, idiosynkrazję. Trzydzieste lat później widać, że to, co zbywaliśmy pogardliwym uśmiechem i pukaniem się w czoło, stało się najważniejszą ideologią Zachodu.

W „Mrocznym dziedzictwie Oświecenia” pisałem, że „współczesny świat przyjął dziedzictwo Oświecenia i tym samym nie może stanowić miary i wzorca”. Dlaczego? Bo najważniejszą częścią tego dziedzictwa, tą najbardziej mroczną stroną, chciałoby się powiedzieć, była negacja istnienia Boga i porządku nadprzyrodzonego. Nie można, oczywiście, sprowadzić Oświecenia do ateizmu, ale z drugiej strony, czy właśnie ateizm nie był ostatecznie najbardziej prawdziwym i autentycznym przesłaniem tych filozofów, którzy od połowy XVII wieku, od opublikowania przez Barucha Spinozę „Etyki”, coraz bardziej wyraźnie występowali jako jedna partia, jedna grupa? Tak, wiem, istniały różne oblicza Oświecenia, ale mimo wszystko, czy właśnie nie negacja prawdy metafizycznej, odrzucenie przekonania, że rozum może ustalić istnienie Boga, nieśmiertelnej ludz-

kiej duszy i prawa naturalnego, nie była czymś najbardziej typowym i charakterystycznym dla całego ruchu? Początkowo ten ateizm mógł wydawać się ówczesnym ludziom czymś wyswobadzającym, uwalniał bowiem człowieka z więzów Tradycji, przeciwstawiał się Kościołowi, opowiadał o ludzkiej dojrzałości i autonomii rozumu. Szybko jednak okazało się, że konsekwentnie musi on prowadzić do nihilizmu. W chwili, kiedy wola powszechna, a nie Bóg, stała się jedynym źródłem prawa i władzy, cały system polityczny musiał dążyć do zamordyzmu. Pytania nasuwają się same: Czy człowiek bez Boga nie musi stać się niewolnikiem? Czy państwo, które programowo odrzuca Boski autorytet i nie uznaje Kościoła, nie musi przekształcić się w tyranie? Co można przeciwstawić woli ogólnej? Jakie granice? Jakie bezwzględne i nienaruszalne prawo? W „Skarbie Tradycji”, też z 1992 roku, twierdziłem: „Społeczeństwo demokratyczne potrzebuje bezwarunkowych etycznych zasad. Te zasady nie są dla wszystkich oczywiste, nie są też tworzone przez samo państwo. Pochodzą z zewnątrz, ale wyznaczają sferze politycznej granice i stanowią jej miarę. Dlatego właśnie ortodoksyjna religijnie postawa powinna być szczególnie ceniona z punktu widzenia demokratycznego państwa”.

Wielu wtedy takie postawienie sprawy wydawało się zbyt radykalne, przesadne. Nie tylko wtedy. Jeszcze i teraz, kiedy już przerażająca potęga ateistycznego Lewiatana staje się coraz bardziej widoczna, nie wszyscy potrafią ten związek dostrzec. Doskonale widać to u autorów skądinąd niezwykle przenikliwej książki, Helen Pluckrose i Jamesa Lindsaya, „Cynical, Critical Theories. How Universities Made Everything about Race, Gender and Identity – and Why this Harms Everybody”. Tytuł długi, istnie barokowy, wiem. Ale wyjątkowo trafny. Otóż autorzy ci, którzy z taką precyzją i dokładnością pokazują obecny stan społeczeństw zachodnich, coraz bardziej zniewolonych przez radykałów, wciąż wierzą, że to, co opisują, jest jedynie wypaczeniem Oświecenia. I dziwi się – jak to się stało? Jak to możliwe, żeby na dzisiejszych uniwersytetach zamykano usta studentom, którzy mają odmienne zdanie? Jak to możliwe, że coraz powszechniejsza jest dyktatura politycznej poprawności? Że twierdzenia jawnie niedorzeczne – na przykład przekonanie, że płeć można sobie swobodnie wybierać i biologia nie ma żadnego znaczenia, że biali ludzie są z natury rasistami, że kultura zachodnia powstała

w wyniku wiekowego ucisku czarnych, że rodzina jest obozem koncentracyjnym w miniaturze, że sprawiedliwość polega na tym, by uciskać wszystkich niepasujących do powszechnej miary równości – cieszą się uznaniem i szacunkiem, a każda próba ich negocjowania pociąga za sobą niebezpieczeństwo?

Pluckrose i Lindsay (notabene ich książka była w 2020 roku bestsellerem „Sunday Timesa”) są zdeklarowanymi, klasycznymi liberałami. Ba, nie tylko, że występują w obronie wolności słowa, praw jednostek; nie tylko, że zastrzegają się i dowodzą, jak bardzo zależy im na powszechnej równości płci, ras, religii, systemów poglądów itd., itp., nie tylko wreszcie podkreślają, ile wlezie, swoje obawy przed prawicowym populizmem i możliwymi faszyzmami (obawiam się, że mógłbym się znaleźć w tej kategorii), ale nawet próbują wykazać, że obecna fala radykalizmu jest zaprzeczeniem projektu liberalnego czy nowożytnego. Że to zdrada Oświecenia. Że to odejście od liberalnych ideałów Zachodu. Ba, nawet, ich zdaniem, obecna rewolucja stanowi odejście od marksizmu. Ale pał szęść. Właśnie dlatego są oni (powinni być przynajmniej) wiarygodnymi świadkami.

Otóż piszą oni, że od późnych lat 60. postmodernizm (powiedziałbym: postoświecony neomarksizm) całkowicie przeorał amerykańską i, szerzej, zachodnią świadomość: „Znajdujemy się w sytuacji, w której musimy stawieć czoło ciągłemu zanikaniu takich kategorii jak wiedza i wiara, rozum i emocje, mężczyźni i kobiety, a także jesteśmy pod presją, by cenzurować nasz język w zgodzie z Prawdą według Sprawiedliwości Społecznej”. Ideologowie – zauważają Pluckrose i Lindsay – od kilkudziesięciu lat systematycznie przejmowali władzę na uczelniach. Nauczają oni teraz, że poznanie i wiedza są formą przemocy, tak samo jak moralność, podział na dobro lub zło, naturę i antynaturę. Nie istnieją uniwersalne normy etyczne ani obiektywna prawda: to jedynie zakodowane w języku dyskursy sprawiają, że coś się wydaje słuszne lub nie. Kto ma władzę, ten narzuca swój dyskurs, kto jej nie ma, ten mu podlega. Używając narzucanego języka, staje się, nieświadomie, ofiarą przemocy. Nie istnieją żadna obiektywna sprawiedliwość lub powszechne dobro – kto tak uważa, dał się zwieść dyskursowi, za którym skrywa się potęga białych, heteroseksualnych mężczyzn. Wszystko ma być zatem względne i płynne. Z jednym wyjątkiem – w tym całkowicie relatyw-

D nym systemie jest jeden absolut: władza, dominacja. I jedno dobro: uciskani, ofiary opresji i wyzysku.

Z tego punktu widzenia wszystko to, co wydaje się stałe i naturalne – płeć, rodzina, hierarchia, własność, nawet godność osobowa, rozum – jawi się jako przejaw przemocy i opresji. I tak choćby rodzą się kolejne potworki, jak teoria postkolonialna (biały mężczyzna jest źródłem zła) czy teoria queer (lub teoria LGBT), zgodnie z którą można być jednocześnie mężczyzną, kobietą, osobą bezpłciową lub jakąś hybrydą, płynnym połączeniem różnych tożsamości, obojnakiem lub nikim. Pojęcia nie odnoszą się do rzeczywistości, są jedynie konstrukcjami panujących grup. Jestem tym, co wzbudza we mnie pożądanie, lub tym, co daje mi zaspokojenie. Nie istnieją żadne ustalenia: ani biologii, ani nauk społecznych czy historycznych. Okazuje się, że kwestionuje się nawet prawdy matematyki czy logiki (bo pochodzą one od białych mężczyzn).

To szaleństwo nie tylko staje się coraz bardziej zaraźliwe. Jest ono też coraz bardziej totalitarne. Nowa (stara) ideologia odrzuca wolność słowa. Wystarczy, że ktoś posługuje się tradycyjnym językiem, że dostrzega choćby różnicę między kobietą a mężczyzną, i staje się tym samym niegodnym wolności nienawistnikiem, którego trzeba od nowa wyedukować. Oczywiście największym źródłem uprzedzeń i zacofania (są nienawistnikami par excellence) są ludzie religijni, bo wierzą w nienaruszalne zasady. Uznają istnienie Boga, który może być przecież jedynie widmem, ekstrapolacją ludzkich pragnień, kreacją ludzkiego umysłu i uczuć i w imię tego produktu ludzkiej świadomości, czasowej i zmiennej, próbują ograniczać dążenie do spełnienia jednostek współczesnych.

Liberalni autorzy (nie, nie ja, prawicowy konserwatysta) piszą o tym wprost jako o obsesji, szaleństwie, szybko mutującym wirusie. I pokazują, jak krok po kroku bakcył ten opanował cały amerykański, szerzej, również zachodni świat akademicki i intelektualny. Nie liczą się argumenty, ale emocje. Sprawiedliwość polega teraz nie na tym, by każdemu oddać to, co mu się należy, ale by wspierać uciszonych (lesbijki, homoseksualistów, transwestytów, kolorowych, a nawet w skrajnej postaci niepełnosprawnych) kosztem rzekomo dominujących, heteroseksualnych białych. Jak to zrobić? Temu służą specjalne urzędy rzeczników równości, którzy opanowali kilkaset (tak!) uczelni. Mnożą się zajmujące

się tym biura i stanowiska w koncernach, instytucjach publicznych i fundacjach.

W ten sposób pojawiła się całkiem nowa klasa ludzi. To są właśnie dziennikarze, publicyści, politycy i biznesmeni XXI wieku, którzy przeszli skuteczne pranie mózgu. Choroba ta szerzy się szybciej niż wirus i w sensie duchowym jest nie mniej, a może bardziej śmiertelna. Ostatecznie uniemożliwia ona dotarcie do obiektywnej prawdy – prawda to dominacja. Wiedza i poznanie to ucisk.

Pluckrose i Lindsay widzą w tym narastającym szaleństwie zerwanie z tradycją Oświecenia, przekreślenie wielkiej zdobyczy Zachodu, jakim była wolność. Mylą się. Wolność oświeceniowa musiała, będąc się przy tym upierał, przynieść właśnie takie konsekwencje, jakie przyniosła.

Nie chcą zrozumieć, że usunięcie Boga musi pociągać za sobą śmierć człowieka, zniszczenie ludzkiej wolności, podeptanie ludzkiej godności. Bez Boga człowiek staje się zwierzęciem, a prawa stanowione przez społeczeństwo mogą być jedynie swoistym regulaminem, umową, kontraktem bez żadnej wyższej sankcji. Bez Boga państwo przekształca się systematycznie w tyranie doczesności, której to człowiek musi bezwzględnie się podporządkować. Przyszłość wypiera wieczność. Jest on jedynie obywatelem tego ziemskiego państwa i jego jedynym celem ma być dążenie do zaspokojenia swoich pożądań. Wszystko, co temu się sprzeciwia, musi zostać usunięte. Wynika to z samej logiki systemu: wyciągnięcie spod ludzkich stóp oparcia, jakim jest Bóg, pozostawia nas w zawieszeniu. Nie ma Boga, więc wszystko jest możliwe. Wszystko – w sensie co mnie zaspokaja i uszczęśliwia, nasycza. Bo jedynym ja, o którym może mówić postowiecony człowiek, to ja składające się z instynktu, pożądania. Skąd się one biorą? Z głębi tego, co nieświadome, z tego, co nieokreślone, z najgłębszej gatunkowo zwierzęcej nieświadomości. Rozum nie jest już najwyższą częścią duszy, co najwyżej jest on uogólnionym, społecznym instynktem gatunkowym. Duszy też nie ma. Rozpłynęła się we mgle. Nie ma prawdy obiektywnej, prawdy metafizycznej.

Dlatego, pisałem, przesłanie Oświecenia najlepiej wyraził nie Kant, ale markiz de Sade. Kant jedynie ogłosił, że rozum nie może dotrzeć do rzeczy samych w sobie, nie może poznać ani istnienia Boga, ani duszy, niczego, co wieczne, bezczu-

sowe i nieprzestrzenne. Skoro tak, skoro to, co w człowieku uważano kiedyś za najwyższe – jak to pięknie ujął św. Tomasz z Akwinu: intelekt jest tym, co najwyższe, bo odkrywa pełnię Prawdy – teraz zniknęło i rozpadło się, to człowiek przypomina obecnie ślepego kreta, niezdolnego dotrzeć do prawdy bytu. Człowiek ostatecznie musi osuwać się w zwierzęcość. „Czymże są, pytam cię, wszystkie ziemskie stworzenia wobec jednego z moich pragnień? I z jakiego powodu miałbym pozabawiać się najmniejszego z nich, by zadowolić jakąś istotę, która nic mnie nie obchodzi?” – pisał de Sade. To pytanie jest oczywiste: jeśli zburzy się ład duszy, jeśli zaneguje się możliwość jej poznania, jeśli z Boga zrobi się co najwyżej postulat ludzkiej moralności, to otwiera się drogę dla nihilizmu. Po co mi spełnienie postulatów, skoro tym, co bardziej bezpośrednie, jest pożądanie? W ten sposób powstaje kult samowoli i nieskrępowanego egoizmu. Kiedy Wolter jeszcze przed rewolucją francuską wykrzykiwał raz za razem nienawistne, skierowane przeciw Kościołowi tyrady, to ujmował właśnie w najbardziej dobitnych słowach sens oświeceniowego projektu. W jednym z listów pisał: „Wyznanie chrześcijańskie jest religią haniebną, podłą hydrą, która musi być zniszczona przez setki niewidzialnych rąk. Konieczne jest, by filozofowie wyszli na ulicę, by ją zniszczyć, tak jak misjonarze krążą po łąkach i morzach, by ją głosić. Winni się odważyć na wszystko, zaryzykować wszystko, nawet dać się spalić, byle ją zniszczyć. *Écrasez l'infâme! Écrasons l'infâme!*”. Trudno o bardziej jednoznaczny przejaw wrogości. A list do Damilaville'a to tylko jeden z licznych przykładów oświeceniowej furii. Podobnie wątpliwości nie miał Jean-Jacques Rousseau, kiedy twierdził, że w państwie oświeconym nie może być miejsca dla Kościoła, który wyznaje, że poza nim nie ma zbawienia. Rousseau i Wolter, a także tylu innych oświeceniowych filozofów w tym jednym w pełni się zgadzają: religię chrześcijańską należy całkowicie wyrugować, bo stoi ona na drodze ku szczęściu ludzkości. Człowiek to skrupowane zwierzę, a prawdziwym archontem ciemności, reprezentantem wrogich mocy porządku jest właśnie Kościół.

Kolejne nazwiska XIX- i XX-wiecznych ateistów są niczym punkty graniczne w tej wielkiej, dziejowej drodze postowiecie-

niowego człowieka do samozniszczenia i do konsekwentnego uśmiercania Boga. Te dwie rzeczy zawsze się ze sobą splatają. Kto odrzuca Boga, ten musi negować ludzką naturę. Czas jest jedynie zapisem samoświadomości. Kolejne pokolenia potrzebują czasu, żeby z tego ogłoszonego w XVII i XVIII wieku projektu wyciągać kolejne konsekwencje. Radykalizacja, to jest wyciąganie coraz bardziej bezwzględnych i okrutnych wniosków, wbudowana jest w sam oświeceniowy projekt. I tak Marks (4. teza o Feuerbachu) widzi wyraźnie związek między człowiekiem, rodziną i religią. W ostateczności, żeby wyzwolić człowieka, nie wystarczy, jak myślał Feuerbach, wyzwolić go z tej ostatniej. Odebranie rodzinie podstawy naturalnej, religijnej, jest pierwszym krokiem do ostatecznego celu, całkowitego zniszczenia. „A więc np. po odkryciu, że ziemską rodziną jest tajemnicą Świętej Rodziny, musi ona sama zostać zniszczona w teorii i praktyce” (<https://www.marxists.org/archive/marx/works/1845/theses/theses.htm>). W pierwszej kolejności należy obalić określoną formę społeczeństwa, bo tak tylko zniknie „usposobienie religijne”, które jest wytworem społecznym (teza 7).

A to usposobienie blokuje człowiekowi drogę do stania się sobą. Na czym to stanie się sobą polega, nie do końca wiadomo, pod tym względem Marks był wyjątkowo oszczędny w słowach. Tym, co napędzało jego system, nie była wizja szczęśliwej przyszłości, ale nieokiełznana nienawiść do wszystkiego, co zastane. Ta sama wrogość do każdego porządku, który odwołuje się do religii, doskonale widoczna jest w innych pismach Marksa, na czele z „Manifestem komunistycznym”. Obalić, zniszczyć, wyrugować, znieść, przezwyciężyć – oto, co czeka zachodnią cywilizację. Z tego punktu widzenia można zauważyć ściśle pokrewieństwo de Sade’a, Marksa, Nietzschego czy, jeszcze później, Freuda. U wszystkich można znaleźć dokładnie tę samą, napędzającą ich antychrześcijańską, zacieklą, uporczywą emocję. Nietzschego jego obwieszczenie „śmierci Boga” doprowadziło do szaleństwa, ale jeszcze przedtem, wśród wielu innych mniej i bardziej zajadłych ataków, zdążył opublikować „Antychrysta”, książkę, którą trudno przebić w nienawiści do Kościoła i Boga.

Piomienne wezwania do rozprawienia się z najbardziej żalosnym przejawem niewolnictwa, jakim jest chrześcijaństwo i szczególnie kapłani, przeplatają się z marzeniem o nowym człowieku,

kreatorze wartości. W porównaniu z nim Freud w swojej „Kulturze jako źródle cierpień” może się jawić wręcz jako dobroduszy staruszek, który z pęsetą w ręce najchętniej po prostu wyleczyłby człowieka z choroby chrześcijaństwa. Religii nie trzeba niszczyć, wystarczy ją zredukować i wytłumaczyć. Zamiast stosów trupów wystarczy łagodna eutanazja. Wystarczy delikwenta wysłuchać i wybić mu głupstwa z głowy. Wiara jest bowiem, w ścisłym tego słowa znaczeniu, z punktu widzenia Freuda, przejawem nerwicy, infantylizmu, niedojrzałości. Tak więc, nie mam wątpliwości, że wszystkie te nazwiska reprezentują jeden wspólny dziejowy proces. Są oni właśnie dziedzicami Oświecenia, radykalnej i totalnej krytyki religii, która to musi pociągać za sobą, podkreślam, zniszczenie całego naturalnego ludzkiego świata. Przekazują sobie pałeczkę niczym w sztafecie. Jeden drugiego uczy wrogości do Boga jako źródła obiektywnego porządku. Od XVII wieku aż do XX i obecnie XXI możemy śledzić przebieg tego przedstawienia. Obalenie rozumu uwolniło to, co najniższe.

„We wszystkich przypadkach analizy charakterologicznej było wyraźnie widoczne, że skłonności do mistycyzmu wyrastają z lęku przed masturbacją, który przybiera postać ogólnego poczucia winy. Trudno pojąć, że aż do dzisiaj w badaniach analitycznych nie dostrzegano tej zależności. Sumienie człowieka, zinternalizowane upomnienia i groźby ze strony rodziców oraz nauczycieli znajdują uprzedmiotowienie w idei Boga” – pisał XX-wieczny guru nowej lewicy, uczeń Freuda i Marksa, Wilhelm Reich. W ten sposób rewolucjoniści krok po kroku zatykają w człowieku wszelkie szczeliny, przez które mogłoby do niego dotrzeć światło z góry. Sumienie przestaje być głosem Boga, jest tylko uwewnętrznionym głosem otoczenia. Pragnienie czystości to infantylizm. Dążenie do świętości to wyraz zahamowania. Czystość to strach przed pożądaniem. Sprawiedliwość, ład, obowiązek to puste słowa, dźwięki bez znaczenia. Wszystko to są, w oczach ateistycznych mędrków, mary sennie, ułudę i iluzje, które uniemożliwiają człowiekowi stanie się tym, kim jest. A kim jest? Tym, kim zechce być, kiedy będzie mu się chciało chcieć. Tylko całkowicie wyswobodzony z zewnętrznych nakazów i zakazów człowiek może być w pełni szczęśliwy.

Zresztą słowo „szczęście” jest tu nie całkiem na miejscu – raczej zaspokojony i nasycony.

Utopia panseksualna polega na tym, by każdy spełniał to, co czuje, na każdy możliwy sposób, bez narażenia się na jakikolwiek krytyczny osąd. Nawet ogólne potępienie wytwarza przecież psychiczny dyskomfort, a dyskomfort i poczucie poniżenia to jedyne dające się uchwycić zło w tym świecie. Skoro tak, to jedynym celem prawa pozytywnego i państwa demokratycznego powinno być usuwanie przeszkód, które przeszkadzają jednostce realizować się w taki sposób, żeby to, co w niej najgłębsze i jedynie realne, pragnienie seksualne, zostało bez żadnych ograniczeń spełnione. Z tego punktu widzenia ostatecznym celem państwa jest stworzenie obywatelom możliwości odbywania jednej wielkiej powszechnej orgii. Każdy ma prawo kochać, kogo chce, jak chce, kiedy chce i wyrażać to, jak mu się żywnie podoba. W ostateczności państwo powinno się też zaangażować w przekonywanie obywateli, że wszyscy są lub mogą być po trosze przynajmniej homoseksualistami, lesbijkami i transwestytami – tak tylko każdy może okazać swoją pełną afirmację i bezwarunkową akceptację zasady nieoceniania. Ideałem ma być jednostka o płynnej seksualności, jakby napisała Judith Butler.

Każdy, kto tego nie rozumie, jest faszystą, dowodzili twórcy późniejszej szkoły frankfurckiej. Więcej. Jak to ujął zręcznie Michel Foucault we wstępie do „Anty-Edypa” – jednej z najważniejszych (przynajmniej dla zrozumienia rewolucji) książek drugiej połowy XX wieku – w każdym człowieku tkwią nieprzezwyciężone pokusy faszystowskie, a filozofia ma polegać na tym, by się od nich nieustannie uwalniać. W rezultacie to wniosek, jaki wyciągają nowi rewolucjoniści, wiara w Boga Ojca i Opatrzność staje się ni mniej, ni więcej, tylko radykalnym przejawem faszyzmu. Trzeba ją zatem zniszczyć lub ośwoić. Czy dziś właśnie tak się nie dzieje? Czy tego nie doświadczamy? W istocie zredukowanie człowieka do jego pożądań oznacza też podporządkowanie go nieustannej kontroli i racjonalizacji. W tym świecie znika też miłość, która zasadza się na intymności i oddaniu, panuje jedynie chciwe, pożądliwe Ego. Zwycięstwo tej rewolucji nie byłoby nigdy w takim stopniu możliwe na Zachodzie, gdyby wcześniej Kościoła nie ogarnął dziwny, głęboki paraliż.

Nie czas na kakofonię



Jan Parys

Wchodzimy w okres zaostrzenia relacji między mocarstwami, a to oznacza, że zachowania naszych polityków na forum międzynarodowym powinny być bardziej umiarkowane i koordynowane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Uważam, że zanim doszło do negocjacji w Genewie, politycy USA wykazali się brakiem profesjonalizmu w dwóch momentach. Jeden to bezwarunkowe ustępstwo w sprawie Nord Stream 2. Takie jednorazowe kroki Moskwa odbiera jako oznakę słabości. Drugi to udział Bidena w szczycie NATO i przyjęcie tuż przez szczytem z Putinem twardego stanowiska NATO wobec Rosji. Treść tego stanowiska nie była tajna i została natychmiast przeanalizowana w Moskwie. Wobec ostrej oceny Rosji i potraktowania jej oficjalnie jako przeciwnika Putin nie miał wyjścia i musiał okazać w Genewie nieustępliwość. Tej treści dokument NATO powinien być przyjęty po nieudanych negocjacjach z Putinem, a nie przed nimi. Zamiast organizować konsultacje z sojusznikami w postaci sesji NATO tuż przed szczytem z Putinem, lepiej, by USA przeprowadziły konsultacje z kilkoma sojusznikami w Europie dzięki wizytom sekretarza stanu.

Z punktu widzenia Rosji USA przystąpiły do rozmów w Genewie ze słabej pozycji. Są w stanie silnego kryzysu wewnętrznego. USA straciły pozycję największego producenta na rzecz Chin. Straciły też pozycję największego eksportera. Nie mają technologii 5G. Uległy atakom cybernetycznym na infrastrukturę federalną w grudniu ubiegłego roku. W maju br. został sparaliżowany ważny amerykański rurociąg. Biden pokazał bezradność wobec tych ataków. Nie tylko nie był w stanie dać riposty, ale mocarstwo zapłaciło hakerom okup. Zwracał się do Putina z prośbą o wykluczenie infrastruktury krytycznej z ewentualnych dalszych ataków. Oznacza to, że w dziedzinie cyberbezpieczeństwa w tej chwili USA nie mają przewagi nad Rosją. Wiemy, że w dziedzinie technologii 5G USA zostały prześcignięte przez Chiny. Wielkie programy inwestycyjne i społeczne zapowiedziane przez Bidena oznaczają, że w Chinach będzie zapewniona koniunktura przez najbliższe kilka lat. Bo tak duży popyt konsumpcyjny i inwestycyjny może zaspościć tylko potencjał produkcyjny Chin.

ŚWIAT NIE BĘDZIE STABILNY

Całkowicie inne były oczekiwania Bidena i Putina wobec szczytu w Genewie. Biden chciał wciągnąć Rosję do polityki rywalizacji z Chinami. To się nie udało. Rosja pominęła taką ofertę milczeniem. Tymczasem Europa podczas szczytu G7 nie zgodziła się nawet na słowną krytykę Chin za łamanie praw człowieka i praw

FOT. JADIE STICK

mniejszości. Teraz po szczycie w Genewie politycy USA muszą zejść na ziemię i pożegnać się ze złudzeniami. Powinni opracować nową strategię odpowiednią do trudniejszej, niż zakładali, sytuacji. Plan, z którym Biden jechał do Europy, okazał się nieaktualny. Dla Putina najważniejsze było uzyskanie decyzji USA o rozpoczęciu rokowań na temat ograniczenia zbrojeń balistycznych. I to uzyskał. Wobec presji pacyfistów żaden prezydent USA nie może odmówić takich rokowań. Aby prowadzić te rokowania, Putin będzie stale zwiększał wielorakie presje na USA. Bo uważa, że może coś uzyskać tylko z pozycji siły. Zatem świat nie będzie stabilny.

Jeżeli chodzi o nasz kraj, to traktujemy nasz udział w NATO poważnie, chcemy zatem wykazywać solidarność z polityką USA. Nie mamy więc dylematu, z którym mocarstwem trzymać. Oczywiście w zależności od tego, jak serio traktuje nas Waszyngton.

JEDNA INSTYTUCJA, JEDNA OSOBA

Postępowanie administracji USA wobec Polski w maju przed szczytem genewskim świadczy, że obca jej jest istotna wiedza wojskowa i polityczna. Tymczasem ewentu-

alny rosyjski atak na kraje bałtyckie będzie się wiązał z uderzeniem na Polskę, bo tylko z Polski może pójść operacja podbijania państw bałtyckich. Jakikolwiek konwencjonalny atak rosyjski na Europę musi ze względów geograficznych zostać przeprowadzony przez Polskę. Oznacza to, że decyzje naszego rządu i nasze przygotowania do obrony są kluczowe dla bezpieczeństwa całej Europy. Bez Polski, tj. gdyby rząd postanowił być pasywny lub gdyby kraj był słabo uzbrojony, obrony przed Rosją w Europie po prostu nie ma. To jest wiedza dość elementarna. Brak konsultacji z Polską ze strony USA w maju br. świadczy o tym, że takiej wiedzy nie ma w Waszyngtonie, że tam działają emocje, a nie argumenty.

W kwestiach bezpieczeństwa polska dyplomacja chce działać w ramach sojuszu z USA. Trudno jednak, aby Warszawa nie brała pod uwagę stanowiska innych państw europejskich. Jeżeli politycy USA nie potrafią ich przekonać do swego podejścia, to powstaje problem. Bo trudno, aby Polska izolowała się od Europy, która jest naszym głównym partnerem gospodarczym.

Konfrontacyjny charakter relacji międzynarodowych powinien wpłynąć na

sposób postępowania naszych polityków. Ambicje polskich polityków, aby wykazywać się samodzielnością i aktywnością na forum międzynarodowym, powinny ulec samoograniczeniu. Nie mamy potencjału, by antagonizowanie Chin czy Rosji miało sens. Wobec tych krajów trzeba działać razem z innymi państwami Zachodu. To, że wchodzimy w okres zaostrzenia relacji między mocarstwami, oznacza, iż zachowania naszych polityków na forum międzynarodowym powinny być bardziej umiarkowane i koordynowane przez MSZ. Czas, kiedy każdy polityk jeździł, gdzie lubi, i mówił, co chce, trzeba zakończyć. Nie ma miejsca na podróże w celach promocyjnych. Każda wizyta zagraniczna jest narzędziem polityki zagranicznej i ma służyć do realizacji określonych przez MSZ celów. Jest jedna instytucja i jedna osoba odpowiedzialna za politykę zagraniczną. Pozostali politycy bez względu na stanowisko mają działać na podstawie materiałów MSZ. Ważne wizyty powinny być poprzedzone spotkaniem z szefem MSZ. Era konfrontacji w życiu międzynarodowym to nie jest czas na kakofonię w polityce zagranicznej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest byłym ministrem obrony narodowej.

REKLAMA

NAJDALSZE KRESY OSTATNIE POLSKIE LATA

- OŚRODKI POLSKOŚCI, KTÓRE
POZOSTAŁY POZA GRANICAMI
II RZECZYPOSPOLITEJ
- EGZOTYKA DALEKICH KRESÓW,
NAMIETNOŚCI, UŁAŃSKA FANTAZJA,
SKANDALE, CELEBRYCI, A NAWET
WALKA WYWIADÓW

PATRONAT MEDIALNY:

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury,
Dziedzictwa Narodowego i Sportu
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Sebastian Ligarski

O poznańskim Czerwcu dyskutowano w całym kraju. Rodacy solidaryzowali się z robotnikami

Robotnicy poznańskich zakładów 28 czerwca 1956 r. powiedzieli „dosyć” władzy mieniającej się „robotniczą”. Regulacja płac pozbawiająca ich znacznej części dochodów, absurdalnie niski poziom życia oraz brak perspektyw doprowadziły do wybuchu, którego wynikiem były walki z milicją, funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa i wojskiem. W stolicy Wielkopolski zginęło kilkadziesiąt ludzi, setki zostało rannych. Najmłodszą ofiarą walki o godność był 13-letni Roman Strzałkowski. Chociaż w innych miastach nie doszło do podobnych protestów, to nie oznacza, że społeczeństwo polskie patrzyło obojętnie na walki i sytuację w Poznaniu. Stolica Wielkopolski skumulowała cały gniew społeczeństwa.

W jednym z listów skierowanych do Radiokomitetu, których nigdy nie publikowano, acz wnikliwie czytano, tak o tym pisał mieszkaniec Częstochowy: „O tym, co się stało w Poznaniu, kipi w całym kraju. Rozpacz, nędza, rozgoryczenie – trzeba tylko iskry. Polała się polska krew, krew niewinnych, bratnia krew. Kto winien temu? »Prowokatorzy, faszyci, imperialiści«? – to śmieszne i niepoważne. Za taką krew niewinnie przelaną odpowiedzialność spada na władzę ludową, która nie troszczy się o człowieka pracy. Czara goryczy przepełniła się. Będą procesy, będą szubienice, będą więzienia. Władza ludowa o to się postara, jak za carskich czasów”.

Stanisław Ciesielski, wrocławski historyk, pisał, że we Wrocławiu miano świadomość nastrojów w Poznaniu i próbowano nawiązać kontakt z robotnikami z tego miasta. W tym celu 26 czerwca 1956 r. z wrocławskiego Pafawagu wyjechało do Poznania dwóch pracowników. Prawdopodobnie mieli udać się do Zakładów im. Józefa Stalina (dawniej: Zakłady Hipolita Cegielskiego). Nie wiadomo, czy misja ta się powiodła. Choć w stolicy Dolnego Śląska do żadnego społecznego wybuchu nie doszło, to nie oznaczało, że sytuacja była spokojna.



„Bunt zawiedzionych nadziei”

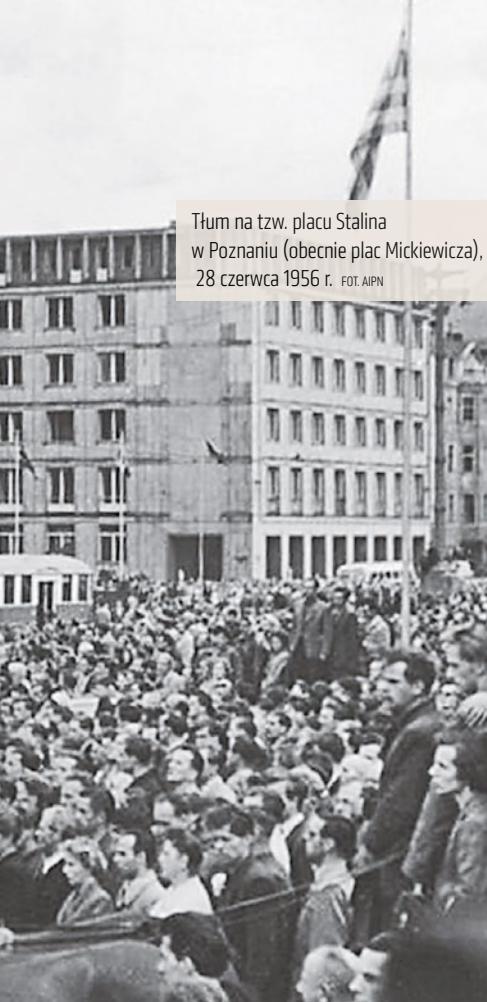
Podobnie pisała o tym „stała słuchaczka z Wrocławia” do redakcji audycji „Fala 49”: „Chcę jednak chociaż wam powiedzieć, co myślę o zaistniałych wypadkach w Poznaniu. Uważam, że zamiast aresztować robotników czy szukać winnych w osobach, które może nawet nie myślały działać przeciw Polsce Ludowej, należy przede wszystkim wziąć za »mordę« wszystkie szyszki z Urzędu Bezpieczeństwa w Poznaniu, które dopuściły do rozlewu polskiej krwi w Poznaniu. Przecież nie było tajemnicą, że robotnicy się burzą i są niezadowoleni z pewnych rzeczy – o tym cały Poznań wiedział od 25 czerwca br., a ci ludzie chcieli pokazać, że najpierw dopuszczają do podobnych rzeczy, a później będą tymi, bez których nie mogą się obejść rząd i partia. Chcieli pokazać, że muszą być ponad partię i że nikt [poza nimi] nie jest w stanie utrzymać porządku”. Nic dziwnego, że w warunkach komunistycznej cenzury tego typu list nie miał szans pojawić się w przestrzeni publicznej.

W stolicy Dolnego Śląska odnotowano, że 28 czerwca w Fabryce Urządzeń Mechanicznych próbowano wzniecić pożary, które władze uznały za sabotaż. Dzień później odnotowano krążące po mie-

ście plotki o odmowie strzelania przez żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego w Poznaniu, zastąpieniu ich wojskiem radzieckim oraz o bombardowaniu miasta. Liczono, że słuszny bunt robotniczy przyniesie poprawę sytuacji. Następnego dnia znaleziono ponad sto ulotek o treści: „Solidaryzujemy się z klasą robotniczą Poznania – nie damy naszym dzieciom i emerytom zginąć z głodu pod okupacją sowiecką”. Do podobnych inicjatyw doszło w całym kraju.

POPARCIE W CAŁEJ POLSCE

28 czerwca w Zbąszyniu odnaleziono ulotki o treści: „Cześć bohaterom Poznania! Precz z komunizmem!”. Kolejne dni przyniosły wysyp podobnych inicjatyw. W całej Polsce pojawiały się napisy na murach, ulicach, ulotki i hasła. Żał, że do wybuchu nie doszło równocześnie w całej Polsce, wyrażał autor jednego z listów kierowanych do władz: „Odnosnie do wypadków poznańskich, to tylko jest jeden błąd, że nie nastąpiły one wszędzie i jednocześnie, bo coś nam pozostało, gdy zostaliśmy doprowadzeni głodowymi płacami na brzeg przepaści”. Przekonanie, że do wybuchu strajków i demonstracji doszło w całym kraju, było jednak powszechne.



Tłum na tzw. placu Stalina w Poznaniu (obecnie plac Mickiewicza), 28 czerwca 1956 r. FOT. AIPN

i kiedy wyszedł na ulicę, wołając: »Wolności i chleba«, toście go poczęstowali kulą z karabinu maszynowego. Wstydem i hańbą po wieczne czasy okryła się partia i rząd Polski Ludowej. Jeżeli robotnik nie będzie głodny, to żaden prowokator nie będzie miał [u niego] posłuchu". W całym kraju w plotkach powtarzano informację, że poznaniaków wspierało 300 tys. chłopów z okolicznych wsi oraz 40 tys. robotników z Lublina.

„DAJCIE NAM CHLEBA!”

Swoją złość na władzę i poziom życia po 11 latach od zakończenia wojny wyrażano we wspomnianych wyżej listach do instytucji państwowych i partyjnych. Pochodziły one z całej Polski i odzwierciedlały nastroje społeczeństwa. W jednym z listów pisano o sytuacji milionów Polaków: „Dajcie nam chleba i nie zamęczajcie ludzi pracą za darmo! Nie ciemiejcie nas! Dajcie wolność! Cierpiemy nędzę i głód. Cóż z tego, że chleba jest dość, kiedy nie każdy może go jeść? Panuje drożyzna i głód pieniądza. Stojcie przy żłobie, jesteście syci, nie wierzcie nam, głodnym". Warszawianka pisała: „My się nie dziwimy, że dochodzi do buntu. Cóż, niedola nas zmusza do tego". Z Oświęcimia dodawano: „Dobrze się debatuje naszym przywódcom – ciemiężycielom, gdy się na tysiącach siedzi. A co ci mają robić, którzy zarabiają po 500–700 zł, a na utrzymaniu mają parę dzieci? Oni na pewno o czym innym nie myślą, jak tylko o tym, jak polepszyć swoją stopę życiową, która coraz więcej nas przygniata. Listem tym, wraz z całą załogą naszych zakładów, przyłączam się do naszych bohaterów z Poznania".

Jeden z autorów z Węgorzewa pod wpływem emocji chwycił za długopis i bez pardonowo zaatakował rządzących: „Krew zalewa człowieka słuchającego waszych plugawych słów. Walkę o chleb nazywacie prowokacją, która miała godzić w naszą praworządność socjalistyczną. Czy ci robotnicy z gołą ręką, żądający podwyżki płac!!!, a których dzieci nie mają kawałka chleba, mogli godzić w waszą praworządność? Dlaczego nie powiecie tego, że wasza praworządność oparta jest właśnie na bagnietach, czołgach i innej broni pancernej? Najęźdźaliście na ludzi z gołą ręką czołgami, strzelaliście do bezbronnych. Mówicie, że kapitaliści strzelają do strajkujących robotników. W takim razie wy jesteście mordercy bez sumienia, pijawki

narzucone przez Kreml. Przyłączam się do robotników poznańskich i stanowczo protestuję przeciw zabijaniu bezbronnych".

Robotnik z Wyrzyskiego (zresztą nie tylko on) odrzucał całą propagandę, która dowodziła, że za buntom robotniczym stali amerykańscy i zachodni Niemieccy imperialiści. Pisał: „Wy chcecie się teraz wybielić, że to zrobili wrogowie, że to byli imperialiści, że robotnicy za namową poszli. O nie, jeden, dziesięciu – to mogłoby być, ale nie cała armia robotników z Poznania by miała wierzyć w propagandę wroga? Co to, to nie. Robotnicy chcieli tylko pokazać gościom zagranicznym, że nie mamy tak dobrze, jak wy to chwalicie".

Jak wyrocznia brzmiały słowa jednej z autorek z Polkowic, która napisała: „Od dziś jest przede mną jaśniejsza przyszłość, bo mam nadzieję, że strajk w Poznaniu to pobudka i otucha dla wszystkich gnębionych przez komuny Polaków. [...] Pochwalam i błogosławię ten święty strajk w Poznaniu, gdyż to nie koniec. To dopiero początek. Naród nie ustąpi".

Tytuł tekstu, który zaczerpnąłem od autora monografii o Polsce 1956 r. Pawła Machcewicza, najpewniej oddaje nastrój w kraju pod koniec czerwca 1956 r. W praktyce w każdym miejscu w kraju wystarczyłaby iskra, aby rozpałił pożański ogień. Chyba tylko strach przed konsekwencjami hamował tego typu protesty. Ale bali się nie tylko robotnicy, jeszcze bardziej bały się elity partyjne. Jak pisał historyk, jeden z robotników z bydgoskiego ujął to tak: „U nas każdy by poszedł w taki bój jak w Poznaniu, bo mamy dosyć biedy".

Na zakończenie warto zacytować kolejny list, który obnażał do cna propagandę władz. Mieszkaniec Łodzi, „stary tkacz łódzki", dobitnie napisał: „Z tego, co podaje radio i prasa, wynika, że mieszkańcy m[iasta] Poznania składają się z siedmiu kategorii – mordercy, bandyci, męty społeczne, chuligani, kryminaliści, otumanieni robotnicy i robotnicy patriotyci. Poznań liczy 250 tysięcy mieszkańców, więc podług radia i prasy w Poznaniu mieszka 35 tysięcy i 700 robotników – patriotów, a reszta, t[o] j[est] 214 tysięcy mieszkańców Poznania, to same łotry i zbroje! Skąd się nabrało tyle bandytów i wszelkiej kanalii w Poznaniu po jedenaście lat władzy Polski Ludowej?!. Na to pytanie nie otrzymałem odpowiedzi.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Bitwa o Francję

Legenda Dywizjonu 303 – który walczył w trakcie bitwy o Anglię – przycięła inne dokonania polskiego lotnictwa podczas drugiej wojny światowej. Boje pozostałych naszych lotników w powszechnej świadomości Polaków właściwie nie istnieją.

Dobrym krokiem w kierunku zmiany tego stanu rzeczy jest imponujące wydawnictwo IPN „Caudrony nad Francją”. To album przygotowany przez grupę znakomitych specjalistów pod kierownictwem Bartłomieja Belcarza. Jego tematem jest historia Dywizjonu Myśliwskiego GC 1/145 „Varsovie”, polskiej formacji lotniczej utworzonej we Francji po klęsce wrześniowej.

Autorzy przedstawili dzieje dywizjonu, a także historię używanego przez niego myśliwca Caudron CR.714. Co ciekawe, tylko Polacy używali caudronów w warunkach bojowych. W albumie znalazły się szczegółowe rysunki techniczne, olbrzymia liczba zdjęć oraz fachowy opis tej „polskiej” maszyny. Był to myśliwiec słabszy niż brytyjski Spitfire, ale polskim lotnikom udało się upuścić nieco krwi Luftwaffe.

To właśnie opisy walk powietrznych wiosną 1940 r. w trakcie niemieckiej inwazji na Fran-

cję stanowią najciekawszy fragment książki.

„Strzelałem do Bf 110 z odległości nie większej niż 75 metrów – pisał plut. Zaniewski. – Ogień prowadziłem prawie do ostatniej chwili, wyciągnąłem [maszynę] tuż przed zderzeniem. Trafiłem strzelca i zapaliłem silnik. Przede mną był Godlewski, strzelał do tego samego samolotu. Minął Niemca o milimetry. Gdy skończyła mi się amunicja, zanurkowałem ostro i wyrównałem dopiero nad ziemią”.

A oto fragment relacji ppor. Głowczyńskiego. „Na nic się już nie oglądałem, nurkując na messerschmitta. Mój atak był na tyle prze-myślany, że jego celem był myśliwiec prawoskrzydłowego klucza całej ich formacji. [Niemcy] nawet się nie zorientowali, przytomnieli, kiedy ich kolega spadał już w płomieniach. Jednego Bf 109 miałem za sobą. Za drugim rozpocząłem pościg”.

Niestety, również polscy lotnicy podczas bitwy o Francję ponieśli dotkliwe straty.



★★★★★
**BARTŁOMIEJ
BELCARZ
I INNI
„CAUDRONY
NAD FRANCJĄ”
IPN**

Na koniec warto wspomnieć, że 150 polskich lotników z Dywizjonu „Varsovie” zgłosiło się na ochotnika do wyjazdu do Finlandii. Mieli tam walczyć przeciwko sowieckiej agresji. Z udziału w walkach nic nie wyszło, bo w międzyczasie wojna zimowa dobiegła końca. Szkoda. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wileńska tragedia śpiewaczki

Jedną z największych gwiazd operetki czasów II RP była Kazimiera Niewiarowska. W 1924 r. jako pierwsza polska śpiewaczka wystąpiła na scenie topless, co wzbudziło ogromną sensację. „Bezbożnicę” oficjalnie odsądzano od czci i wiary, ale męska część widowni była zachwycona.

Niestety trzy lata później, podczas objazdowych występów po Polsce, doszło do tragedii, która zakończyła życie artystki. W ostatnich dniach czerwca 1927 r. jej zespół dotarł do Wilna, aktorzy dla oszczędności nie nocowali w hotelach, lecz w wynajętych wagonach kolejowych. Wieczorem Niewiarowska postanowiła uprać w benzynie jedną ze swoich kreacji i doszło do zapłonu od stojącej w pobliżu maszyny spirytusowej. Śpiewaczka niemal natychmiast zamieniła się w żywą pochodnię i w szoku wybiegła z wagonu, a „jakiś kolejarz pompujący wodę wyłał na nią cały kubeł, ognia nie ugasił, sprawę pogorszył”. Ostatecznie „ktoś przytomniejszy nakrył ją płaszczem i zadzwonił po pogotowie”.

Artystka nie straciła przytomności i zażądała łusterka, by sprawdzić, czy ma poparzoną twarz. Rany miała tylko na podbródku, ale to nie miało już większego znaczenia. Lekarze nie dawali jej bowiem szans na przeżycie, gdyż miała poparzenia trzeciego stopnia na trzech czwartych powierzchni

ciała. Pomimo straszliwych cierpień nie traciła jednak opanowania. Do matki kazała wysłać telegram: „Nie wierzę gazetom, czuję się dobrze”, a zespołowi nakazała normalny, wieczorny występ. W szpitalu „męczyła się 12 godzin z zaciśniętymi ustami”, aż wreszcie odurzona morfiną zasnęła, by więcej się już nie obudzić.

W tych dniach w Wilnie odbywały się uroczystości związane z koronacją cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, co natychmiast wykorzystały miejscowe dewotki. Na widok trumny niesionej przez aktorów wykrzykiwano, że właśnie „spłonęła jawnogrzesznica”, i zwłoki Niewiarowskiej dostarczono na dworzec bocznymi ulicami. W Warszawie nie było zresztą lepiej.

„Tragiczna śmierć i pogrzeb Niewiarowskiej – wspominał z zażenowaniem Ludwik Sempoliński – stały się smutną scenerią dla żadnej sensacji gawiedzi. Od chwili wstawienia trumny do kościoła Świętego Krzyża waliły tam nieprzerwanie żądne wrażeń tłumy. Jakiś fotograf, korzystając z sytuacji, postawił koło kościoła budkę i sprzedawał fotosy Niewiarowskiej z gołymi piersiami. Pełno bigotek starało się nie dopuścić do pogrzebu »jawnogrzesznicy«. Dopiero interwencja policji przywróciła porządek”. ©©



REPUBLIKA MŁODYCH

Piątek
19:45

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

Kamazy wylądowane sprzętem medycznym Rosjanie udekorowali okolicznościowymi nalepkami przedstawiającymi dwa serca w kolorach flag Włoch i Rosji FOT. PIER MARCO TACCA/GETTY IMAGES

Szczepionkowe szpiony

Trzydzień transportowych łośw przyjętych zostało przez Włochów z najwyższymi honorami. Na lotnisko wojskowe pod Rzymem, gdzie wylądowali Rosjanie, wyjechał sam minister spraw zagranicznych Luigi Di Maio. Z transportowców wytoczyły się 23 kamazy wylądowane sprzętem medycznym, które Rosjanie udekorowali okolicznościowymi nalepkami przedstawiającymi dwa serca w kolorach flag Włoch i Rosji. Misję nazwano „From Russia with Love”, nawiązując tym samym do tytułu drugiego filmu z serii o przygodach Jamesa Bonda (w polskim tłumaczeniu tytuł brzmi oczywiście nieco inaczej: „Pozdrowienia z Rosji”).



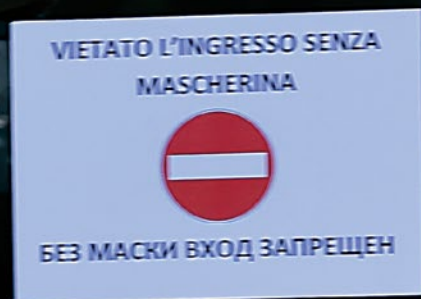
Piotr Włoczyk

„La Repubblica” ujawniła, że rosyjska misja humanitarna z marca zeszłego roku była w istocie jedną wielką operacją wywiadowczą. Jej skuteczność może jednak budzić wątpliwości, zważywszy na problemy Sputnika V

Kolumna wojskowych kamazów pojechała następnie triumfalnie do znajdującej się w tragicznej sytuacji Lombardii. Poza sprzętem medycznym i środkami ochrony osobistej Rosjanie wysłali również 122 lekarzy wojsko-

wych i pielęgniarki. Już wówczas nie brakowało głosów krytycznych, podających w wątpliwość deklarowany cel rosyjskiej misji.

Generał Tod D. Wolters, głównodowodzący połączonych sił zbrojnych NATO



w Europie, tymi słowami skomentował wtedy (w marcu 2020 r.) pojawienie się we Włoszech rosyjskich wojskowych: „To musi niepokoić. Bardzo blisko przyglądam się złym wpływom z Rosji”. Rosyjska propaganda przedstawiała „From Russia with Love” na zasadzie przeciwstawienia – bierna Unia Europejska kontra pełna szczerych chęci pomocy Rosja. Co bardziej trzeźwi politycy włoscy zwracali również uwagę, że pomoc Rosjan powinno się rozpatrywać w kategoriach gry o zniesienie unijnych sankcji nałożonych na Moskwę za agresję na Ukrainę, chociaż rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow zarzekł się, że w żadnym wypadku nie było to celem misji. Szybko okazało się też, że pomoc materialna w ogromnej mierze była „lipna”. „La Stampa” już w marcu zeszłego roku donosiła, że 80 proc. środków ochrony osobistej przekazanej przez Rosjan było kompletnie bezużyteczne. Rzecznik rosyjskiego ministerstwa obrony napisał wówczas na Twitterze pod adresem autora tekstu z „La Stampy” słowa, które – zważywszy na to, jak Kreml obchodzi się ze swoimi wrogami – mogły zjeżyć włosy na jego głowie: „Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada”.

COVIDOWY WYWIAD

Chociaż już rok temu nie brakowało pytań w sprawie rosyjskiej pomocy, to prawdziwą „bombę” na temat „From Russia with Love” odpaliła niedawno gazeta „La Repubblica”. Włoski dziennik ujawnił, że rosyjska misja humanitarna dla Lombardii była przede wszystkim operacją wywiadowczą. Na jej czele, jak podkreśla „La Repubblica”, stał gen. Siergiej Kikot, czołowy rosyjski ekspert w dziedzinie broni biologicznej, którego obecności we Włoszech nie sposób tłumaczyć oficjalnym charakterem tamtej misji humanitarnej. Włoski dziennik twierdzi również, że rosyjscy lekarze wojskowi, wbrew włoskiemu prawu, wynosili ze szpitali materiały biologiczne, które następnie badali w mobilnych laboratoriach zaparkowanych na lotnisku Orio al Serio pod Bergamo. Laboratoria te, mieszczące się w pięciu wojskowych furgonetkach, miały mieć bezpośrednią, szyfrowaną łączność z Moskwą, gdzie wysyłano rezultaty badań. Jak twierdzi włoski dziennik, pracowali w nich oficerowie z 48. Centralnego Instytutu Badawczego w Jekaterynburgu, którzy zostali objęci przez USA sankcjami za prace nad kolejnymi odmianami... nowiczo. Dzięki ich wysiłkowi Rosjanie mieli się wysunąć na

czoło światowego wyścigu po szczepionkę. I rzeczywiście – już 13 maja zeszłego roku, zanim jeszcze misja wróciła do Moskwy, Rosjanie ogłosili, że kierują swoją szczepionką do testów. Co ciekawe, za testowanie Sputnika V odpowiadał właśnie 48. Centralny Instytut Badawczy w Jekaterynburgu.

Wśród rosyjskich ekspertów, którzy zostali wysłani do Włoch, była m.in. Natalia Pszenicznaja, czołowa rosyjska wirusolog, która – jak przywołuje „La Repubblica” – kilka miesięcy po powrocie z Lombardii wprost pisała w rosyjskiej prasie medycznej: „Równie ważne jak przygotowanie się do drugiej fali pandemii jest uwzględnianie politycznego wymiaru pandemii koronawirusa, który przebudowuje światowy porządek”. Najwyraźniej Rosjanie wciąż liczyli wówczas, że udowodnią całemu światu, iż putinowski system wraz ze swoimi „wartościami” okaże się dużo sprawniejszy w walce z pandemią niż świat zachodni i dzięki błyskawicznie opracowanej szczepionce będą w stanie osiągnąć beczenną przewagę.

„Celem Moskwy było ukazanie słabości Zachodu i jego wartości, a także podkreślenie skuteczności reżimów w rozwiązywaniu kryzysów – napisali w swoim tekście dziennikarze »La Repubblica« Gianluca Di Feo i Floriana Bulfon. – Ten przekaz skierowany był zarówno na zewnątrz, jak i do wewnątrz, tuż przed referendum konstytucyjnym [odbyło się ono w Rosji na przełomie czerwca i lipca 2020 r. – przyp. red.]. Chodziło o stworzenie nowej mapy geopolitycznej świata. To, co dawniej osiągało się poprzez konflikty zbrojne, teraz Kreml usiłuje osiągnąć dzięki wojnie hybrydowej. Bez jednego wystrzału, choć dowodzeniem cały czas zajmują się generałowie”.

Dziennikarze „La Repubblica” postulują w swoim tekście, by ten temat dogłębnie wyjaśniła specjalna komisja włoskiego parlamentu.

TRUDNA MISJA SPUTNIKA

Rok po zakończeniu misji „From Russia with Love” można mieć jednak bardzo poważne wątpliwości, czy wysiłki rosyjskich ekspertów wojskowych faktycznie przyniosły zamierzone skutki – czy Rosja rzeczywiście wysforowała się na czoło listy krajów, które najlepiej radzą sobie z pandemią. Mimo postępującej w Rosji kampanii szczepień

opartej na rodzimym Sputniku V trzecia fala COVID-19 – wbrew zapowiedziom Kremla – coraz bardziej narasta. Pod koniec czerwca liczba nowych przypadków zbliżała się do 20 tys. dziennie, z czego połowa dotyczyła samej Moskwy. W największych miastach władze samorządowe przywracają obostrzenia i na nowo otwierają tymczasowe szpitale covidowe. Władimir Guszczin z Instytutu Epidemiologii i Mikrobiologii im. Nikołaja Gamalei, który stworzył Sputnika V, przyznał niedawno wprost, że rosyjska szczepionka ma problem z wariantem Delta.

Zaufanie do rodzimego preparatu przeciwko COVID-19 to olbrzymie wyzwanie dla Kremla. Rosjanie najzwyczajniej w świecie nie ufają Sputnikowi V i nie chcą się nim szczepić. W Rosji przynajmniej jedną dawką zaszczepionych zostało zaledwie 20 mln ludzi (niecałe 14 proc. populacji). Już cztery regiony Rosji, w tym stolica, wprowadziły w związku z tym nakaz szczepień. W Moskwie zaledwie 15 proc. mieszkańców zaszczepiło się przeciw COVID, choć Sputnik V dostępny jest tam za darmo już od grudnia zeszłego roku. Przynajmniej w przypadku Moskwy wygląda na to, że przymus przynosi pewien skutek. Po ogłoszeniu obowiązku przyjęcia Sputnika V dwa razy więcej moskwiaków zaczęło pojawiać się w punktach szczepień. Nakaz wywołał jednak dosyć oczywistą reakcję podziemia. Ci, którzy za nic w świecie nie chcą przyjąć preparatu powstałego m.in. dzięki pracy speców od nowiczo, za równowartość kilkuset złotych mogą kupić „lewy” certyfikat szczepionkowy. Dokument będzie zawierał prawdziwą serię i numer Sputnika V, ale sam preparat zostanie zutylizowany.

Zdając sobie sprawę, jak rodzima szczepionka postrzegana jest przez ogół społeczeństwa, Kreml oficjalnie deklaruje, że nie zamierza wprowadzać przymusu szczepień na terenie całego kraju.

Pod koniec czerwca wielki cios zadała Sputnikowi V Słowacja, która ogłosiła, że rezygnuje z rosyjskiej szczepionki. Preparat ten, nieposiadający certyfikatu Europejskiej Agencji Leków, został wycofany przez Bratysławę z powodu niemal zerowego zainteresowania ze strony słowackiego społeczeństwa. Tamtejszy rząd zadeklarował, że w związku z tym rezygnuje z zakupu dalszych 2 mln dawek Sputnika V, a te, które już kupił, przekaże za darmo lub odsprzeda państwu bałkańskim.



TRANSOLIMPIADA W TOKIO

Podczas igrzysk olimpijskich w Tokio wystąpi po raz pierwszy w historii transkobieta Laurel Hubbard. W podnoszeniu ciężarów w kategorii superciężkiej z kobietami rywalizować będzie więc osoba, która jeszcze kilka lat temu była mężczyzną – Gavinem Hubbardem z Nowej Zelandii. W 2013 r. sportowiec dokonał korekty płci. I w kategorii kobiecej w podnoszeniu ciężarów został już w 2017 r. mistrzem świata. Trzy lata temu był „wicemistrzynią” Igrzysk Pacyfiku, a w 2020 r. zwyciężył w Pucharze Świata w Rzymie. Międzynarodowy Komitet Olimpijski w 2015 r. zmienił przepisy i dopuszcza start transseksualistów w kategoriach kobiecych.

„Ulica Sezamkowa” została para gejów i ich adoptowana córka. „Miłość to miłość. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, mogąc przywitać tę szczególną rodzinę w grupie bohaterów »Ulicy Sezamkowej«” – napisał jeden z twórców odcinka. Taki odcinek, poświęcony Dniu Rodziny, został pokazany najmłodszym w czerwcu w ramach Miesiąca Dumy. Zadowolona z takiej akcji nie kryli dziennikarze CNN.

MIĘSNE WIZYTÓWKI

Bardziej wprost już chyba kiełbasy wyborczej rozdawać nie można – mer ukraińskiego miasta Kopyczyńce zamówił sobie wizytówki w formie... suszonych kawałków mięsa. Jego dane są na folii, w którą zapakowano mięso. Według lokalnych mediów cel jest jednak szczytny. W mieście działa kilka zakładów przetwórstwa mięsnego i mer chce reklamować ich produkty, by Kopyczyńce stały się „kiełbasianą stolicą Ukrainy”. Goście mera mogą tylko żałować, że miasto nie ma akurat wielu gorzelni. ©©

Łukasz Zboralski

ALBO SZCZEPIENIE, ALBO WIĘZIENIE

Prezydenta Filipin zniesmaczyła postawa obywateli wobec szczepień przeciw COVID-19. Rodrigo Duterte dał temu wyraz podczas telewizyjnego przemówienia. Poruszył sprawę niskiej frekwencji w punktach szczepień w Manili i zapowiedział, że będzie szukał „środków prawnych”, aby zmusić ludzi do przyjmowania preparatów. „Masz wybór: zaszczep się albo wsadzę cię do celi” –

zapowiedział prezydent Duterte. Filipińczycy niechętnie się szczepią m.in. po aferze ze szczepieniami na dengę. Odkryto bowiem potem, że preparat zwiększał ryzyko ciężkiego przebiegu choroby u tych, którzy wcześniej nie chorowali.

NISZCZĄCA OCHRONA PRZYRODY

Z diabłami tasmańskimi jest problem. Ich populację trzebi choroba. Dlatego postanowiono przenieść

część zwierząt na małą wyspę Marii położoną u wybrzeży Tasmanii. Miały tam w izolacji mieć się dobrze. I mają. Tyle że doprowadziły do wyeliminowania pingwinów, które do tej pory spokojnie gniazdowały sobie na wyspie Marii.

HOMORODZINA Z „ULICY SEZAMKOWEJ”

Amerykanie postanowili uczyć dzieci tolerancji. Dlatego nowymi bohaterami popularnego programu



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Wojna futbolowa

Mecz Węgier z Niemcami zakończył się remisem. Węgierscy piłkarze toczyli jednak nierówną walkę. Niemcy próbowali ich bowiem postawić pod homopręgierzem. Burmistrz Monachium Dieter Reiter chciał zorganizować przy okazji meczu „tęczowy protest”. Miała to być reakcja na przyjęcie przez władze Węgier tzw. ustawy antypedofilskiej, wprowadzającej surowsze kary dla pedofilów oraz zapisy gwarantujące, że to rodzicom przysługuje wyłączne prawo do decydowania o wychowaniu seksualnym ich dziecka, co utrudnia gejom i lesbijkom indoktry-

nację najmłodszych. Na szczęście zdrowy rozsądek wygrał – UEFA nie zgodziła się na upolitycznienie meczu i podświetlenie stadionu na tęczowo.

Pod wpływem presji w dniu meczu Niemcy–Węgry sama UEFA zmieniła jednak swoje logo na tęczowe. Podczas odgrywania hymnu Węgier na murawę wbiegł zaś mężczyzna z tęczą flagą. Został on nagrodzony przez niemieckich kibiców gromkimi brawami.

Kolejny raz zwolennicy „szacunku” dla mniejszości seksualnych pokazali, że sami innych uszanować nie potrafia.

To kolejna próba upolitycznienia piłki. Wcześniej sugerowano, że piłkarze powinni klękać przed rozpoczęciem każdego spotkania – miało to być znak solidarności z ruchem Black Lives Matter. Węgrzy, Polacy czy Chorwaci stwierdzili – słusznie – że nie chcą polityki na stadionach, zwłaszcza że akurat oni za kolonializm przeproszać nie mają powodu. Dziwne jest jednak, że tak lubiący stadionowe gesty Niemcy nie klękają jeszcze przed każdym meczem z Polską i innymi narodami, które jako „rasa panów” niecałe sto lat temu próbowali eksterminować. ©©

Stawy? Połączona formuła **LR** laurowo-rozmarynowa

artykuł sponsorowany

Rewelacyjne efekty w krótkim czasie! Tysiące Polaków zaufało formule znanej już od 2 tys. lat! Podejmij walkę, aby osiągnąć pozytywne rezultaty.

STOSUJĘ NAPRZEMIENNIE I W KOŃCU CZUJĘ SIĘ SPRAWNA!

Mam na imię Elżbieta i jestem emerytowaną nauczycielką. Mieszkam pod Warszawą. Od około 3 lat dokuczają mi stawy, bardzo mnie boli lewe kolano i łokieć. Teraz na dodatek doszła mi cięśń nadgarstka. To jest straszny ból, po kilka razy w ciągu nocy. Miałam więc przepisany zabieg. Jednak wcześniej poszłam po radę do sklepu zielarskiego mojej przyjaciółki Kasi. Się niedaleko koło pobliskiego sklepu, więc dałam radę tam wolno sobie pospacerować. Moja Kasia zna mnie dobrze, nawet nie muszę jej mówić, ona widzi co mi dolega. Od razu podzieliła się ze mną po prostu swoim nowym odkryciem na stawy.

Ona także miała ostatnio bóle reumatyczne. Jej czasopismo specjalistyczne pisało o tym, że mają coś bardzo dobrego na stawy: kompleksowa, połączona kuracja LR, czyli jak mi wytłumaczyła laurowo-rozmarynowa. Mówiła, że stosowano ją już w starożytności ok 2000 lat temu. Zaciekało mnie to, a teraz mówią o tym naukowcy i badania naukowe. Jest tam podobno wszystko, co skuteczne i dobre na stawy. Zaopatrzyłam się w te nowości inne do smarowania i inne do picia. Szybko nasmarowałam całe kolano, łokieć, nadgarstek, uda, pachwiny, biodro i mniejsze stawy. Kropelki laurowe i kropelki rozmarynowe zmieszałam i wypilałam wg receptury, czyli 3 razy dziennie. Smarowanie robiłam na przemian, raz laur, raz rozmaryn. Słyszałam, że to wszystko razem najlepiej zadziała. A teraz po miesiącu dziękuję Kasi. Ustąpiły moje przewlekłe bóle i nocne wzmaganie ze stawami. Nareszcie mogę spać całą noc. Nawet moja cięśń nadgarstka ustąpiła. Teraz do Kasi prawie biegam, ale nie po radę, tylko na herbatkę. Polecam gorąco!

- Elżbieta Róztoczyńska, I. 60

UŻYŁO MI! TO WSPANIAŁE...



Olejek laurowy i rozmarynowy do wewnątrz polecił mi znajomy. Kuracja nimi okazała się bardzo skuteczna, dlatego zastosowałam dodatkowo kurację laurowo-rozmarynową do smarowania. Teraz rano stosuję laur i zauważam poprawę w obrębie stawów kolanowych, gdzie ból był najsilniejszy, a wieczorem rozmaryn, który rozluźnia moje nogi i czuję ulgę oraz odprężenie po całym dniu. W nocy nie sprawia mi już problemu schodzenie z łóżka, aby chodzić do toalety. Stosuję połączoną kurację laurowo-rozmarynową LR wewnątrz i zewnątrz około miesiąca i zauważam dużą poprawę. Na dzień dzisiejszy jestem zadowolony, ból stopniowo ustępuje. Zdaje sobie sprawę, że stosowanie lauru i rozmarynu powinno trwać dłużej, ponieważ składniki naturalne muszą się przyswoić.

- Robert Rysicki, I. 58

NAUKOWCY POTWIERDZAJĄ!

Czujesz, że twoje kolana i biodra nie są już tak sprawne jak kiedyś? Podobnie jak twoje palce i nadgarstki? Codzienne czynności stają się udręką? To kryształki toksycznych kwasów, które usadowiły się w stawach.

Polecana kuracja LR (laurowo-rozmarynowa) do wewnątrz krople a na zewnątrz do smarowania przyniosła realną nadzieję na poprawę. Teraz kompletna i innowacyjna kuracja penetrująca LR stanowi kolejny krok na drodze do pełnej poprawy dyskomfortu.

INNOWACYJNE POŁĄCZENIE

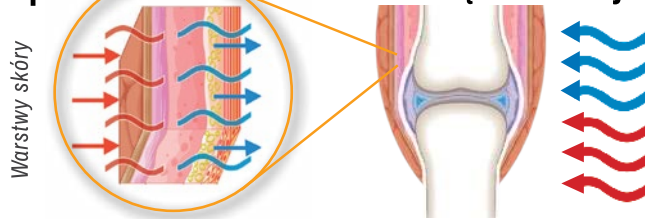


KURACJA **LR** LAUROWO-ROZMARYNOWA

do wewnątrz pij krople



na zewnątrz smaruj



SZYBKE I SKUTECZNE DZIAŁANIE! ZWIĘKSZONE PRZENIKANIE DO GŁĘBOKICH WARSTW SKÓRY



Zwykle działanie jest powierzchniowe, ponieważ rogowa warstwa naskórka ogranicza skuteczność działania. Natomiast połączenie laurowo-rozmarynowe stosowane naprzemiennie, wnika natychmiastowo w głębokie warstwy skóry, dzięki temu uzupełniająca się kuracja jest dużo bardziej wydajna i skuteczna a rezultaty działania potrafią być jednocześnie natychmiastowe oraz długofalowe.

LAUR działa powierzchniowo i na środkowe warstwy skóry. Ma doskonałą wchłanianie i przenikanie.

ROZMARYN działa na głębiej położone tkanki, posiada również doskonałą wchłanianie i przenikanie. Działa skutecznie blisko połączonych nerwowych co daje natychmiastowy efekt.

TO DZIAŁA!

Moja przygoda z kuracją laurową zaczęła się już dawno. Na początku stosowałam olejek z liści laurowych do wewnątrz i efekt był zadowalający. Kilkanaście dni temu natknąłem się na artykuł, że można go również stosować w innej postaci na skórę. Przeczytałem też, że stosując kompleksową kurację laurowo-rozmarynową efekt będzie najlepszy. Postanowiłem zastosować to połączenie na kolana i nadgarstki i już po kilku dniach poczułem ogromną poprawę. Teraz stosuję krople laurowe i rozmarynowe do wewnątrz, mieszając, piję 4 razy dziennie oraz smaruję stawy naprzemiennie. Moja 30 letnia córka Monika widząc moją lepszą sprawność i mniejsze narzekanie, obiecała, że będzie

mnie pilnować, żebym się codziennie smarował i pił te kropelki. Jak powiedziała tak zrobiła bo moja córka jest bardzo konkretna. Jestem z niej taki dumny. Paczkę otrzymałem po dwóch dniach. Zaczęłam stosować na moje zbolale stawy. Ach jak to korzennie wszystko pachnie gdy używam. A moje stawy chodzą teraz jak szwajcarski zegarek. Biodra, kolana, stawy, łokcie, nadgarstki, wszystko to teraz mam zadbane. Czuję się doskonale. Dziękuję swojej kochanej córce za opiekę i kurację laurowo-rozmarynową za skuteczne działanie.

- Tadeusz Niemczyk, I. 70

CAŁA RODZINA CZUJE SIĘ LEPIJ

Jednocześnie stosuję kompleksową kurację laurowo-rozmarynową, wewnątrz krople rozmarynowe i laurowe razem (3 razy dziennie) i zewnątrz na przemian raz laur raz rozmaryn do smarowania. Moja siostra cierpi na bóle biodra i odczuwa ogromną ulgę. Ale i ja czuję rewelacyjną poprawę. To wręcz niesamowite jaka jest siła natury! Czuję jakby moje stawy się odblokowały i naoliwiły. U nas problemy ze stawami są rodzinne, genetyczne. Często wymieniamy się nieprzyjemnymi odczuciami. Teraz nasze rozmowy zmieniły się i aktualnie rozmawiamy o fantastycznej wręcz poprawie naszego zdrowia. A wszystko to dzięki kompleksowemu działaniu kropelek laurowych i rozmarynowych oraz naprzemiennemu smarowaniu stawów raz laurem a raz rozmarynem.

- Barbara Lasoń, I. 54



Maciej Pieczyński

Unia objęła sankcjami najbliższych współpracowników Łukaszenki, w tym – jego syna i synową. Rodzina ostatniego dyktatora Europy odgrywa ważną rolę w jego systemie władzy. I wiele mówi o nim samym

Kiedy zostanę ministrem, rozstrzelam ciebie! – tymi słowami kilkuletni Kola Łukaszenka groził stewardesie tylko za to, że nie pozwoliła mu zamknąć drzwi od samolotu. Ta barwna anegdota pokazuje, jak bardzo wdał się w ojca ulubiony i najbardziej znany syn „ostatniego dyktatora Europy”. Nic dziwnego – Kola jest oczkiem w głowie „Baćki”. Towarzyszy Łukaszence w oficjalnych spotkaniach, wizytach zagranicznych. W sierpniu skończy dopiero 17 lat, a już zdążył poznać Baracka Obamę, Władimira Putina, Xi Jinpinga, Hugona Cháveza, dwóch papieży: Benedykta XVI i Franciszka...

KOLA NASTĘPCA?

Na jednym ze zdjęć z rosyjsko-białoruskich manewrów „Zapad 2009” widać, jak ówczesny prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew wręcza ubranemu w mundur wojskowy pięcioletniemu prezent – złoty pistolet. Rok temu w wywiadzie przeprowadzonym przez słynnego ukraińskiego dziennikarza Dmitrija Gordona Łukaszenka opowiadał, jak to podczas wizyty w Pakistanie jego osobisty tłumacz miał problem ze zrozumieniem wypowiedzi po angielsku tamtejszego prezydenta i wtedy sytuację uratował uzdolniony językowo Kola. Poza angielskim zna dobrze hiszpański, uczy się też chińskiego. Łukaszenka nazwał syna „człowiekiem nastrojonym opozycyjnie”. „Mocno nas krytykuje, jeśli źle postępujemy. Moja rzeczniczka prasowa boi się z nim rozmawiać przez telefon, już woli ze mną” – opowiadał Gordonowi. Oczywiście Łukaszenka jako ojciec nie jest obiektywny, a jako polityk nie jest wiarygodny, jednak wiele mówi sam fakt, że tak wiele i tak ciepło mówi o Koli. Wiele wskazuje na to, że szykuje go na swojego następcę – być może dlatego demonstracyjnie wozi go ze sobą po świecie, szcze-

Rodzina dyktatora



Aleksandr Łukaszenka publicznie promuje najmłodszego syna. Starsi są w cieniu. Ale to oni odpowiadają m.in. za brutalne tłumienie protestów Białorusinów FOT. ANDREA VERDELLI/EPA/PAP

gólnie dbając o to, by Kolę dobrze poznał władca Kremla, a więc ten, kto najwięcej będzie miał do powiedzenia w kwestii ewentualnej zmiany władzy w Mińsku. Oficjalnie Łukaszenka zaprzecza, by szykował nastolatka do objęcia sterów – „brudna polityka” ma być nie dla niego.

Kola uczy się w liceum, w klasie o profilu biologicznym, ma predyspozycje do nauk ścisłych. Gra w hokeja. Uczęszcza do szkoły muzycznej, gra na pianinie. Po raz pierwszy ojciec pokazał się z nim w mediach w 2008 r. Czterolatek syn pomagał ojcu układać beton na budowie stadionu olimpijskiego w Mińsku.

Kola jest nieślubnym dzieckiem białoruskiego przywódcy. Media spekulują, że jego matką jest Iryna Abielska, naczelną lekarz Republikańskiego Klinicznego Centrum Medycznego Zarządu Sprawami Prezydenta, w przeszłości – osobista lekarka Łukaszenki. Gdy w 1994 r. były dyrektor kołchozu został głową państwa, postanowił zatroszczyć się o swoje zdrowie. A właściwie o kobiece towarzystwo. Poleciał współpracownikom poszukać kandydata na osobistego lekarza prezydenta nie wśród wybitnych specjalistów, lecz wśród młodych kobiet około trzydziestki, najlepiej rozwiedzionych i z dzieckiem. Wybór padł na 29-letnią wówczas Abielską. Faworytka dyktatora

towarzyszyła mu w licznych podróżach służbowych w kraju i za granicą. W czasie wizyty we Francji Łukaszenka z sąsiedniego pokoju w zajmowanym przez siebie apartamencie wyrzucił ministra spraw zagranicznych, żeby zakwaterować tam Abielską. Matka pierwszej kochanki Białorusi została ministrem zdrowia.

Przez trzy lata Łukaszenka ukrywał przed opinią publiczną nieślubnego syna. Sam przez cały ten czas – aż po dziś dzień – był i jest formalnie żonaty. W 1975 r., w wieku 21 lat, poślubił Galinę Żołnierowicz, przyjaciółkę ze szkolnych lat, córkę wicedyrektorki szkoły, do której razem chodzili. W tym samym roku urodził się ich pierwszy syn – Wiktar. Pięć lat później przyszedł na świat Dzmitryj. Małżeństwo faktycznie przestało istnieć po tym, jak Łukaszenka został prezydentem. On przeprowadził się do Mińska, ona została w rodzinnej wsi na wschodzie kraju. Od tamtej pory żyją osobno, ale bez oficjalnego rozwodu, którego, jak zapewniają, nie potrzebują. Podobno mają poprawne relacje. „Mam do niej ciepłe uczucia. Przecież to matka moich dzieci, jakże może być inaczej! Właśnie wczoraj mój syn pojechał do rodzinnej wsi. Mówię mu: »Idź do matki, zobacz, co tam u niej. Wirusy się panoszą, boję się, że zachoruje. A ona tego nie wytrzyma!«” – opowiadał



sankcjami za fałszerstwa i łamanie praw człowieka w czasie wyborów prezydenckich. Otrzymał zakaz wyjazdu na terytorium UE. Jako najbardziej wpływowy przedstawiciel Rady Bezpieczeństwa miał odegrać kluczową rolę w represjach przeciwko opozycji. Wiktar Łukaszenka odpowiada też za bezwzględne tłumienie protestów opozycji, które przełaziły się przez białoruskie miasta latem i jesienią zeszłego roku. To on koordynował działania służb. Dlatego też w listopadzie 2020 r. ponownie został objęty unijnymi sankcjami personalnymi. Trafił też na „czarną listę” w Kanadzie, Wielkiej Brytanii i Szwajcarii. Teraz sankcje dotknęły jego małżonkę. Lilija Łukaszenka, dyrektor galerii artystycznej ArtChaos, jest powiązana z wieloma przedsiębiorstwami, które osiągają korzyści z reżimu.

Na opublikowanej w ubiegłym tygodniu liście sankcyjnej znalazł się również średni syn dyktatora, Dźmityrij. „Był obecny na potajemnej inauguracji nowej kadencji Alaksandra Łukaszenki. Osiąga zatem korzyści z reżimu i wspiera ten reżim” – tak uzasadniono jego obecność na liście. Jako pogranicznik Dźmityrij służył w tajnym pododdziale do walki z przemytem i nielegalną imigracją. W 2005 r. został przewodniczącym rady centralnej Prezydenckiego Klubu Sportowego. Rok później wszedł w skład Białoruskiego Komitetu Olimpijskiego.

Wiktar i Dźmityrij wykonują „czarną robotę”, zaś Nikołaj pełni funkcję reprezentacyjną. Ponoć za sobą nie przepadają. Sam dyktator przyznał, że Kola jest zazdrosny o starszych braci. Z pewnością, mając czystą kartę, miałby największe szanse być zaakceptowanym na Zachodzie jako potencjalny następca swojego ojca. Tyle że to i tak nie ma większego znaczenia, bo ewentualna zmiana władzy w Mińsku przebiegnie tak, jak zechce Moskwa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Łukaszenka we wspomnianym wywiadzie z Gordonem. Jednocześnie zapewnił, że miał świetne relacje z teściową (zmarła dwa lata temu), którą traktował – nawet po rozstaniu z żoną – jak drugą matkę. „Gdyby nie ona, nie zostałem prezydentem!” – stwierdził.

W CIENIU PRZYRODNIEGO BRATA

Najprawdopodobniej za namową doradców od PR Łukaszenka wykorzystuje nastoletniego, niezwiązanego jeszcze z „brudną polityką” chłopaka jako narzędzie ocieplenia wizerunku. Bo przecież niemal każdy dyktator pozuje na „ojca narodu”, który „kocha wszystkie dzieci”.

Dźmityrij i Wiktar są w cieniu przyrodniego brata. Ale tylko pod względem medialnej rozpoznawalności. Kola pełni funkcję reprezentacyjną, oni zaś – harują na reżim swojego ojca. Obaj ukończyli Instytut Stosunków Międzynarodowych na Białoruskim Uniwersytecie Państwowym. Obaj też, podobnie jak ojciec, służyli w wojskach ochrony pogranicza. Wiktar od 2001 r. pracował w MSZ. Cztery lata później został doradcą swojego ojca ds. bezpieczeństwa narodowego. Od 2007 r. – członek Rady Bezpieczeństwa Republiki Białoruś. Od niedawna jest prezydentem Narodowego Komitetu Olimpijskiego Białorusi. Prywatnie – zapalony motocyklista już od 16. roku życia. W 2011 r. objęty został unijnymi

STAWY? Teraz poczwórnienie skuteczne działanie!

WYKORZYSTAJ EFEKT WSPÓŁDZIAŁANIA: do **WEWNĄTRZ** krople + na **ZEWNĄTRZ** kremy

LAUROSEPT + STAWOSAN + ROZMARINE + STAVOX
SUPLEMENT DIETY

krople i krem laurowy

krople i krem rozmarynowy

LAUROSEPT + STAWOSAN + ROZMARINE + STAVOX
SUPLEMENT DIETY

LAUROSEPT Q73
Olejek laurowy

STAWOSAN Q7
Krem z olejem z awokado

ROZMARINE R99
Olejek z rozmarynu

STAVOX R9
Krem z olejem z awokado

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!
Z DOSTAWĄ DO DOMU

33 817 34 24
33 817 34 25
602 883 921

ORAZ
w aptekach
i sklepach zielarskich
www.asepta.pro

ASEPTA
Rok założenia 1998



Transformacja giganta

Nowe usługi, nowe możliwości. Poczta Polska S.A., aby sprostać wyzwaniom rynku, musi być szybka, bezpieczna, ale przede wszystkim nowoczesna. Dlatego tak mocno stawiamy na projekty cyfrowe i innowacje. Dwa wielkie projekty finiszują już wkrótce – mówi prezes zarządu Poczty Polskiej S.A., Tomasz Zdzikot

Listy, kartki, przekazy pocztowe. Poczta kiedyś. A dziś? Ludzie wciąż „listy piszą”?

Piszą, chociaż coraz rzadziej. Dziś przeważająca część rynku listowego to przesyłki instytucjonalne. Wolumen duży, ale z tendencją spadkową. Rynek zanikający to także popularne kiedyś przekazy pieniężne.

Poczta straci rację bytu?

Wręcz przeciwnie. Mamy bardzo mocne karty, choć i ograniczenia. Poczta to swego rodzaju hybryda. Spółka akcyjna, która

działa nie tylko w sferze biznesowej, lecz także publicznej. Tu realizujemy misję polegającą na świadczeniu usługi powszechnej, w ramach której musimy zapewnić dostępność podstawowych usług, jak listy i paczki „w przystępnej cenie i na równych warunkach na terenie całego kraju”. We wszystkie dni robocze, nieprzerwanie.

Co w praktyce oznacza...

Chociażby konieczność utrzymywania rozległej sieci placówek pocztowych na terenie całego kraju, które muszą

funkcjonować bez względu na to, czy są rentowne, czy nie. I wbrew obiegu na ten temat opinii Poczta nie jest przez państwo dotowana.

Dotacji nie ma, są obowiązki?

Dużo obowiązków, a związane z nimi koszty Poczta pokrywa samodzielnie, co mocno wpływa na jej finanse. Podobnie jak to, że obecnie prawie 70 proc. naszych przychodów generują rynki, które nie są wzrostowe. Wciąż jednak musimy ponosić koszty związane z utrzymaniem potrzebnej do obsługi listów infrastruktury. Wolumen rynków spada, a koszty utrzymania sieci nie. To problem także innych poczt europejskich.

Tam poczta jest dotowana?

Stosowane są różne modele rekompensowania kosztów świadczenia usługi

powszechnej lub przynajmniej wyrównywania generowanych przez nią strat. W Polsce takiego modelu nie ma.

To może się zmienić?

Ministerstwo Aktywów Państwowych zapowiedziało prace nad zmianami w tym zakresie, bardzo mocno na to czekamy. Jesteśmy największym pracodawcą w kraju, mamy największą sieć placówek, ale żeby skutecznie konkurować na trudnym i dynamicznie rozwijającym się rynku, potrzebujemy zmian, które wymagają inwestycji, a to, że sami musimy ponosić koszty świadczenia w dużej mierze nierentownych usług, bardzo mocno wpływa na nasze możliwości. Poczta to komunikacyjny krwiobieg państwa. Postępowania sądowe, skarbowe. Wszystko jest uzależnione od ciągłości komunikacji, ciągłości i pewności korespondencji, którą Poczta gwarantuje, i to nie może się zmienić.

Operator komercyjny, aby zachować dobre wyniki biznesowe, rezygnuje z mniej rentownych usług. Poczta nie może.

Nie może, ale i nie zamierza. Placówki trzeba utrzymać nie tylko dlatego, że takie są wymogi regulacyjne. Jak to jest ważne, było doskonale widać w pierwszych miesiącach pandemii. Puste ulice, wszystko zamknięte, a poczty otwarte. Namacalny dowód ciągłości funkcjonowania państwa. Poczta to nie tylko miejsce, w którym można nadać przesyłkę. To także miejsce, gdzie można kupić np. książkę. Jesteśmy jednym z największych sprzedawców książek w Polsce. Trzy miliony sprzedanych egzemplarzy, tylko w 2020 r. Wiele innych towarów można kupić jedynie na poczcie, notujemy istotne wzrosty sprzedaży tych artykułów. Musimy też inwestować, rosnąć i rozwijać się na rynkach, które są perspektywiczne, wzrostowe.

Czyli?

Z pewnością na rynku KEP, czyli kurier, ekspres, paczka. To rynek trudny, na którym rywalizujemy z bardzo silną konkurencją z zagranicznym kapitałem.

Jak skutecznie rywalizować?

Zmienić się, inwestować w proces logistyczny. Oczekiwania klientów są dziś mocno skrystalizowane. Ma być: szybko, terminowo i tanio. Poczta musi być zatem nowoczesna, szybka i bezpieczna. Wiarygodny i zaufany partner w komunikacji wszystkich i wszędzie. To nasza strategia na najbliższe lata. Zmieniamy m.in. archi-

tekturę sieci logistycznej. Unowocześniamy się po to, by działać jeszcze szybciej i by coraz lepiej odpowiadać na potrzeby klientów.

Przykłady zmian?

Rozbudowujemy sieć odbioru paczek w punkcie. Paczki dostarczone przez Poczta można dziś odebrać w sieci sklepów Żabka, marketach Lewiatan, sklepach ABC, Delikatesach Centrum, na stacjach Orlenu. Mamy 15 tys. miejsc, docelowo ma być 20 tys. Wkrótce dołączą do nich także automaty paczkowe. Dwa tysiące na terenie całego kraju do końca 2022 r.

Kupujemy trzy maszyny sortujące paczki, intensywnie testujemy m.in. technologię RFID (zdalnej identyfikacji radiowej), która pozwoli zapewnić naszym klientom lepszą terminowość dostarczania przesyłek. Pracujemy także nad maksymalnym skróceniem czasu dostawy. Dziś większość naszych przesyłek kurierskich realizujemy

nych, jak i hybrydowych. E-doręczenia to jeden z naszych strategicznych projektów informatycznych, pracowaliśmy nad nim jeszcze z dawnym resortem cyfryzacji, a obecnie – z Kancelarią Prezesa Rady Ministrów, Ministerstwem Rozwoju, Pracy i Technologii oraz Centralnym Ośrodkiem Informatyki i Podlaskim Urzędem Wojewódzkim. Zmiana cywilizacyjna w obszarze cyfryzacji jest nieuchronna, zastąpienie obecnego papierowego listu poleconego jego elektronicznym odpowiednikiem będzie dużym ułatwieniem dla instytucji i obywateli.

A jeśli wolę papier?

Tym, którzy będą chcieli pozostać przy tradycyjnej formie komunikacji, Poczta, z zachowaniem wszelkich standardów bezpieczeństwa i tajemnicy korespondencji, list automatycznie wydrukuje, zakoportuje i doręczy w sposób tradycyjny. To będzie usługa hybrydowa.

Paczki dostarczone przez Poczta można dziś odebrać w sieci sklepów Żabka, marketach Lewiatan, sklepach ABC, Delikatesach Centrum, na stacjach Orlenu. Mamy 15 tys. miejsc, docelowo ma być 20 tys.

w standardzie D+1 (przesyłka doręczona dzień po nadaniu). To standard, który wkrótce dotyczyć ma wszystkich takich przesyłek. Klienci otrzymają uproszczoną, znacznie bardziej dopasowaną do ich potrzeb ofertę Pocztex. Rozwijamy także usługi logistyczne związane z przesyłką paletową. Plus oczywiście kwestia cyfryzacji. Czekają nas wielkie zmiany.

Witryna cyfrowej poczty? Co możemy dzięki niej zrobić?

Dostępny jest tu cały portfel naszych cyfrowych usług. Możemy przez nią założyć i potwierdzić profil zaufany, zamówić prenumeratę, nadać przesyłkę, opłacić mandaty albo zamówić znaczek np. z własną podobizną. Możliwości jest wiele, ale to dopiero początek. Kluczowym elementem naszej nowej odsłony jest rola Narodowego Operatora Cyfrowego, którą będziemy odgrywać, świadcząc nowe usługi publiczne, tj. publiczną usługę hybrydową (PUH) i publiczną usługę rejestrowanego doręczenia elektronicznego (PURDE).

Czym jest elektroniczna korespondencja?

To rozwiązanie do obsługi przesyłek listowych, zarówno w pełni elektronicz-

Przesyłki międzynarodowe. Segment mocno ucierpiał w wyniku pandemii?

Chwilowo, ale to rynek, który ma ogromny potencjał, i Poczta powinna być jego liderem. Myślę, że dziś niewiele nam do tego brakuje. Mamy umowy z firmą Amazon czy z Cainiao Network, operatorem dostarczającym ponad 90 proc. zamówień z AliExpress. W ostatnim czasie podpisaliśmy także umowę z Poczta Chińska.

Nowe unijne regulacje celno-podatkowe dla przesyłek spoza UE to nowe obowiązki?

Już wkrótce Poczta będzie nie tylko dokonywała zgłoszeń celnych przychodzących do kraju przesyłek. Operacja wymaga integracji z systemami informatycznymi w kraju i za granicą. Przepisy wchodzi w życie jednocześnie w całej UE.

Czy miesiące pandemii dały Poczcie w kość?

Kluczowym wyzwaniem było utrzymanie ciągłości działania, co wcale nie było oczywiste. Kiedy ulice pustoszały, ludzie bali się wychodzić z domów, poczty musiały działać. Nasi pracownicy, jak co dzień, przychodzili do pracy i dostarczali przesyłki. To pocztowcy z krwi i kości. Jestem z nich bardzo dumny.

Kiedy w 1991 r. Sejm uchwalił ordynację wyborczą, zawierającą przywileje dla mniejszości niemieckiej w Polsce, Stanisław Michalkiewicz, ówczesny członek władz UPR, zwrócił się do Trybunału Konstytucyjnego z argumentacją, że te postanowienia ordynacji są sprzeczne z artykułem 81 Konstytucji PRL, który zakazuje wszelkiej, zarówno pozytywnej, jak i negatywnej, dyskryminacji, m.in. ze względu na przynależność narodową. Otrzymał w odpowiedzi „prześiąknięty fałszem i kręactwami list, z którego wynikała Orwellowska formuła, że »prawdziwa« równość wobec prawa jest wtedy, gdy prawo traktuje obywateli nierówno”.

Podobnie artykuł 32 konstytucji stanowi, że „wszyscy mają prawo do równego traktowania przez władze publiczne” oraz że „nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym z jakiegokolwiek przyczyny”. Tymczasem funkcjonujące w polskim systemie prawnym różnego rodzaju ulgi, które uprzywilejowują niektóre grupy społeczne, a dyskryminują inne czy też tworzą nierówne szanse w konkurencji biznesowej, są całkowitym zaprzeczeniem wspomnianej konstytucyjnej zasady. Mało tego: ulg jest tak dużo, że w różnych sytuacjach życia społecznego i gospodarczego stają się one de facto regułą, a niewielu dotyczy przepisy bez preferencji. Oczywiście ulga uldze nierówna, co oznacza jeszcze bardziej nierówne traktowanie i dyskryminowanie lub uprzywilejowywanie przez władze publiczne.

5 PROC. PKB ULG

Z raportu Ministerstwa Finansów z 2016 r. (to najnowszy dostępny raport, resort finalizuje projekt raportu o preferencjach podatkowych za lata 2016–2018) „Preferencje podatkowe w Polsce”, gdzie przedstawiono dane za lata 2009–2015, wynika, że w tamtym okresie wartość preferencji podatkowych zmniejszających dochody budżetu państwa rosła z 59,5 mld zł do 82,7 mld zł. W relacji do PKB było to od 4,43 proc. do 4,75 proc. W 2015 r. najwyższą wartość preferencji odnotowano w podatku VAT – 46 mld zł, czyli 2,6 proc. PKB. Kolejne miejsce pod względem wolumenu przyznanych ulg, zwolnień i odliczeń podatkowych zajął PIT – 21,3 mld zł. Wartość preferencji w wypadku CIT ukształtowa-

Polska ulgowiczów



Tomasz Cukiernik

Obowiązujący skomplikowany system podatkowy i ubezpieczeń społecznych z niezliczoną liczbą ulg narusza konstytucyjną zasadę równości wobec prawa

ła się na poziomie 14,8 mld zł, a w podatku akcyzowym wyniosła 0,6 mld zł. Preferencje funkcjonujące w 2015 r. w VAT stanowiły 37,4 proc. dochodów podatkowych z tego podatku, a w zakresie CIT i PIT wyniosły odpowiednio 45 i 25,6 proc. dochodów.

W 2015 r. preferencją podatkową, która osiągnęła najwyższą wartość, była obniżona, 8-procentowa stawka VAT na roboty budowlane dotyczące budownictwa mieszkaniowego, której wartość oszacowano na 11,3 mld zł (12,4 proc. wartości preferencji funkcjonujących w systemie podatkowym). Kolejnymi najistotniejszymi preferencjami były: funkcjonująca w PIT ulga na dzieci (7 mld zł), obniżona, 8-procentowa stawka VAT na produkty

lecznicze (5,6 mld zł), dotacje z budżetu państwa w CIT (5,2 mld zł), łączne opodatkowanie dochodów małżonków w PIT (3,2 mld zł) i odliczenie strat z lat ubiegłych w CIT (2,6 mld zł). Inne preferencje to zwolnienia w CIT dla podatników prowadzących działalność gospodarczą na terenie specjalnych stref ekonomicznych (2,5 mld zł), preferencyjne stawki VAT na takie produkty, jak mięso i wyroby mięsne (2,8 mld zł), wyroby mleczarskie (1,6 mld zł), usługi związane z żywnością (2,2 mld zł) czy transport lądowy (1,8 mld zł), zwolnienia z opodatkowania dopłat do rolnictwa (prawie 2,4 mld zł), zwolnienie z PIT świadczeń rodzinnych, dodatków rodzinnych i pielęgnacyjnych (prawie 1,6 mld zł), zwrot niewyko-



5,04 proc. PKB. W 2021 r. 5,04 proc. PKB to już ponad 120 mld zł.

SKOMPLIKOWANY PIT

Jednak po 2015 r. wprowadzono wiele nowych ulg podatkowych – np. tzw. estoński CIT czy zerowy PIT dla osób do 26. roku życia. Wiceminister finansów Jan Sarnowski poinformował, że koszty estońskiego CIT w pierwszym roku jego wprowadzenia wyniosą 4,3 mld zł dla budżetu państwa i 1,3 mld zł dla samorządów. Z kolei w ocenie skutków regulacji załączonej do projektu ustawy napisano, że zerowy PIT będzie kosztował sektor finansów publicznych 2,454 mld zł rocznie, w tym 1,316 mln zł budżet.

Sam PIT jest podatkiem bardzo skomplikowanym, w którym występują zarówno odliczenia od dochodu (18 rodzajów odliczeń, w tym m.in.: składki na ZUS, ulgi termomodernizacyjne, na sprzęt rehabilitacyjny, na Internet, darowizny na cele pożytku publicznego, a nawet darowizny na cele walki z COVID-19), jak i od podatku (składka zdrowotna, ulga na dzieci, abolicyjna). W 2019 r. podatnicy odliczyli od dochodu składki na ubezpieczenie społeczne w wysokości 83,1 mld zł. Z kolei zniesienie odliczenia składki zdrowotnej zapowiedział rząd w Polskim Ładzie. 21,7 mln podatników PIT opodatkowanych według skali w 2019 r. odliczyło z tytułu tej składki ponad 65,7 mld zł. Inne odliczenia od podatku sięgnęły kwoty nieco ponad 6 mld zł, z czego 5,63 mld przypadło na ulgę na dzieci. Z takich ulg korzysta ok. 83 proc. podatników opodatkowanych według skali. Ponadto 1,1 mln podatników opodatkowanych według PIT-36L i PIT-28 odliczyło 3,4 mld zł składki NFZ. Co ciekawe, według danych amerykańskiej Tax Foundation w Polsce obowiązują największe wśród krajów OECD preferencje podatkowe dla rodzin. Wyliczono, że to u nas jest największa różnica między poziomem opodatkowania pracy bezdzietnego podatnika i pary z dwojgiem dzieci.

Różne grupy społeczeństwa są inaczej traktowane przez prawo. W ramach diet parlamentarzystów i radnych obowiązuje 10-krotnie wyższa kwota wolna od podatku, niż płaci reszta podatników. Za pewien rodzaj ulgi podatkowej można też uznać 20 i 50 proc. kosztów uzyskania przychodu w umowach o dzieło. Specyficznego rodzaju preferencją podatkową jest nieopodatkowanie pieniędzy zbieranych przez Kościół na tzw. tace

rzystanej kwoty ulgi na dzieci (prawie 1,4 mld zł), zwolnienie z CIT dochodów organizacji non profit (prawie 1,3 mld zł) czy zryczałtowane koszty uzyskania przychodów w PIT (ok. 1,2 mld zł).

Wartość preferencji występujących w podatkach lokalnych, pomniejszających dochody jednostek samorządu terytorialnego, oszacowano za 2015 r. na 8 mld zł, co stanowiło blisko 0,5 proc. PKB. 2,1 mld zł wyniosło zwolnienie z podatku od nieruchomości gruntów stanowiących nieużytki, zadrzewionych i zakrzewionych. Zwolnienie dla budynków gospodarczych lub ich części położonych na gruntach gospodarstw rolnych, służących wyłącznie działalności rolniczej, sięgnęło niemal 1,9 mln zł,

a zwolnienie budowli kolejowych i zajętych pod nie gruntów – 1,1 mld zł. Z kolei wartość preferencji dotyczącej wsparcia udzielonego przez rady gmin w formie zastosowania obniżonych stawek w podatku od nieruchomości dla budynków lub ich części związanych z udzielaniem świadczeń zdrowotnych oszacowano na 300 mln zł.

Łączną kwotę preferencji podatkowych funkcjonujących w 2015 r. w podatku dochodowym od osób fizycznych, podatku dochodowym od osób prawnych, podatku od towarów i usług, podatku akcyzowym oraz w podatkach lokalnych (tj. podatku od nieruchomości, podatku rolnym, podatku leśnym) oszacowano łącznie na 90,7 mld zł, co stanowiło

■ czy zarobionych na posłudze – ślubach, chrztach, pogrzebach itd. Sami duchowni wszystkich uznawanych przez państwo wyznań płacą według odrębnego systemu podatki ryczałtowe i są to dość niskie stawki. Oczywiście jak wszystkich obowiązujących ich podatki, jeśli pracują poza parafią (np. za nauczanie religii, pisanie artykułów, prowadzenie działalności gospodarczej) czy kupują towary i usługi (VAT i akcyza). Z kolei rolnicy w ogóle nie płacą PIT, jeżeli osiągają przychody wyłącznie z działalności rolniczej i gospodarki leśnej oraz nie prowadzą tzw. działów specjalnych produkcji rolnej. Gdyby chłopci mieli zapłacić podatek dochodowy w podobnej wysokości jak reszta Polaków, to można oszacować, że byłaby to kwota ok. 4 mld zł rocznie.

KTO NIE PŁACI ZUS?

Podobnie jak księża także rolnicy opłacają stosunkowo niskie składki na ubezpieczenia społeczne. Wpływy z tych składek do KRUS (Fundusz Emerytalno-Rentowy oraz składki na ubezpieczenia wypadkowe, chorobowe i macierzyńskie) w 2020 r. wyniosły ok. 1,6 mld zł. Gdyby rolnicy – tak jak przedsiębiorcy – płacili pełny ZUS wraz z chorobowym, który by sięgał 1431 zł miesięcznie (17 172 zł rocznie), to wpływy z tego tytułu wyniosłyby ok. 15 mld zł. Oznacza to stratę dla finansów publicznych na poziomie 13,4 mld zł.

Składek na ZUS nie uiszczają też pracujący studenci, sędziowie, prokuratorzy czy osoby pracujące na podstawie umowy o dzieło (np. dziennikarze, pisarze, naukowcy, programiści czy artyści). Z kolei żołnierze zawodowi oraz funkcjonariusze policji, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Centralnego Biura Antykorupcyjnego, Straży Granicznej, Państwowej Straży Pożarnej, Służby Więziennej, Służby Kontrwywiadu Wojskowego, Służby Wywiadu Wojskowego oraz Biura Ochrony Rządu są objęci odrębnym systemem zaopatrzenia emerytalnego, wypłacanym z budżetu państwa.

Z drugiej strony w polskim prawie funkcjonuje też absurdalna, dyskryminująca zasada, zgodnie z którą ubezpieczony uzyskujący przychody z więcej niż jednego tytułu kwalifikującego do objęcia obowiązkiem ubezpieczenia zdrowotnego (np. stosunku służbowego czy umowy-zlecenia) składkę na ubezpieczenie zdrowotne musi opłacić od każdego z tych tytułów. A przecież

w razie choroby nikt jednocześnie nie będzie leżał w dwóch szpitalach.

Samy przedsiębiorcy prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą – mimo że obowiązują ich bardzo wysoki ZUS – też mają swoje ulgi w płaceniu składek na obowiązkowe ubezpieczenie społeczne. Po pierwsze, działalność nierejestrowana – nie opłacają składek na ubezpieczenia społeczne i zdrowotne do miesiąca, w którym przychód z działalności przekroczy 50 proc. kwoty minimalnego wynagrodzenia. Po drugie, przez sześć miesięcy od rozpoczęcia działalności można skorzystać z ulgi na start, czyli opłacać tylko składkę na ubezpieczenie zdrowotne. Po trzecie, niższe składki przez 24 miesiące od dnia objęcia ubezpieczeniami społecznymi. Po czwarte, tzw. mały ZUS plus, czyli ulga polegająca na umożliwieniu rezygnacji z ryczałtowych składek ZUS i opłacaniu składek w wysokości uzależnionej od wartości osiągniętych dochodów.

ULGA INWESTYCYJNA

Możemy też mówić o swoistego rodzaju uldze inwestycyjnej dla zagranicznych koncernów i instytucji finansowych. Szokiem dla wielu osób było ogłoszenie w 2018 r. przyznania przez polski rząd 20,2 mln zł dotacji dla nieprzyzwoicie bogatego, jednego z największych holdinów finansowych na świecie – JP Morgan. Na stronie internetowej Ministerstwa Rozwoju, Pracy i Technologii znajduje się lista aż 46 umów dotacyjnych podpisanym w ostatnich latach z takimi koncernami, jak Toyota, Mercedes-Benz, Shell, LG Chem, ABB czy BASF.

– Przez ostatnie trzy dekady w Polsce dochodziło i nadal dochodzi do sytuacji wysoce kuriozalnych, kiedy kolejne rządy nadają obcemu kapitałowi liczne ulgi i przywileje, podczas gdy nasi krajowi przedsiębiorcy są obciążani rosnącymi podatkami i daninami – komentuje ekonomista Marcin Janowski, współpracownik PAFERE. – Jest to sytuacja chora i patologiczna, bo nasze państwo dyskryminuje własnych obywateli, a nadaje przywileje obcym. W wyniku takiej polityki w naszym kraju ukształtowała się struktura społeczno-gospodarcza typowa dla krajów afrykańskich, gdzie występuje wąska grupa ludzi bogatych i szeroka rzesza biedoty. Jeśli Polska nie postawi na rozwój krajowej przedsiębiorczości prywatnej, to nadal pozostanie gospodarczą kolonią zależną od łaski i niełaski obcego kapitału.

Tymczasem będą nowe ulgi. Ma się pojawić specjalna ulga podatkowa dla osób, które zdecydują się pozostać na rynku pracy po osiągnięciu wieku emerytalnego. Kolejne są projektowane w ramach Polskiego Ładu. – Proponujemy pakiet nowych ulg. Będą ulgi wspierające wejście polskich firm na giełdę, będą też ulgi na inwestowanie przez fundusze venture capital i zwolnienie podatkowe dla alternatywnych spółek inwestycyjnych – mówił minister finansów Tadeusz Kościński.

Poza ulgami podatkowo-ubezpieczeniowymi funkcjonują w Polsce jeszcze inne. Karta dużej rodziny daje zniżki i dodatkowe uprawnienia w instytucjach publicznych i firmach prywatnych dla rodzin z co najmniej trojgiem dzieci (niemal 30 tys. punktów na terenie całego kraju). Komunikacja miejska, muzea, teatry czy kina oferują bilety ulgowe dla dzieci, studentów i seniorów. Koleje zapewniają ustawowe ulgi dla wielu kategorii pasażerów: funkcjonariuszy różnych służb, dzieci i młodzieży, studentów, nauczycieli, inwalidów, emerytów i rencistów, osób niewidomych, posiadaczy Karty Polaka czy parlamentarzystów (ci ostatni mają też darmowe loty krajowe). Z kolei Ministerstwo Klimatu ma wkrótce przedstawić projekt dotyczący rekompensat dla najuboższych gospodarstw domowych za podwyżki cen energii elektrycznej (takie rekompensaty otrzymują też przedsiębiorstwa energochłonne).

Gdyby nie ulgi funkcjonujące w obecnym skrajnie przefiskalizowanym systemie, to w ogóle by się nie opłacało pracować ani prowadzić działalności gospodarczej. Podatki i obowiązkowe składki na ubezpieczenia społeczne zostały wywindowane bowiem na tak wysoki poziom, że niejednokrotnie tylko skorzystanie z preferencji powoduje, iż praca zarobkowa czy działalność gospodarcza ma jeszcze sens. Z drugiej jednak strony – same ulgi to komplikowanie i psucie prawa. Nierzadko wprowadzane są w efekcie lobbingu różnych grup interesu czy środowisk. W rezultacie mamy bardzo skomplikowany system wysokich danin z ulgami według zawodu, wieku, wysokości dochodu czy innych parametrów, które na dodatek zachęcają do nieuczciwych praktyk, co nabija kieszenie głównie doradcom podatkowym. Lepszym rozwiązaniem byłby prosty system niskich podatków i składek bez ulg. Wtedy konstytucyjna zasada równego traktowania przez władze w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym nie byłaby łamana.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Polska dziś i 45 lat temu



Piotr Hofman

Ludzie mają różne potrzeby. Jest w ich zbiorze miejsce na transcendencję, kontakt z czymś niematerialnym, co sprawia, że jesteśmy właśnie ludźmi, a nie zwierzętami. To ważne, aby te potrzeby mogły być zaspokojone. Stąd tak istotna jest wolność religijna, w ramach której kultywujemy dziedzictwo naszych przodków i możemy je przekazać następnym pokoleniom. Jesteśmy jednak także skazani na zaspokajanie potrzeb materialnych. Musimy jeść, pić i gdzieś mieszkać. Chcemy, aby godne warunki życia mieli także nasi bliscy, dlatego pracujemy. Chcemy, aby za nasze wysiłki czekała nas godna płaca, dająca możliwość spokojnego życia nam i naszym rodzinom. Człowiek to byt duchowo-cielesny i dlatego nie należy zaniedbywać ani tego, co potrzebne duszy, ani tego, co potrzebne ciału.

PRL było państwem, w którym Polaków chciano pozbawić

jednego i drugiego. Władze walczyły z Kościołem, ograniczały możliwości kultu, prześladowały wierzących. Próbowaly zastąpić dziedzictwo ojców marksistowską papką, czyli zestawem bredni, które z naturą i prawdziwymi potrzebami człowieka nie miały nic wspólnego. Dodatkowo komunizm był ustrojem permanentnego niedoboru. Centralne planowanie, czyli kontrola partyjniaków nad gospodarką, prowadziło do zubożenia społecznego. Robotnicy, którzy w pocie czoła oddawali się swoim obowiązkom, nie mieli szans na podniesienie swojego poziomu życia. Upadający system od czasu do czasu próbował poprzez szok, w rodzaju gwałtownej podwyżki cen, stabilizować sytuację ekonomiczną. Oczywiście kosztem obywateli – biedni mieli stać się coraz biedniejsi. Nic zatem dziwnego, że nieudolne rządy wywoływały niezadowolenie. Pozbawiały nadziei i odbierały szanse na lepsze jutro. Zmęczenie i zniechęcenie skutkowało frustracją i budowało napięcie. Ile bowiem można znosić upokorzenia i słuchać o budowie lepszej socjalistycznej przyszłości, kiedy na sklepowych pułkach niemal pusto, a to, co na nich zostało, jest niewyobrażalnie drogie w relacji do tego, co w portfelu. Tak nastąpiła erupcja Ursusa, której 45. rocznicę niedawno obchodziliśmy. Miałem zaszczyt brać udział w tych obchodach i przyznam, że zainspirowały mnie one do różnych przemyśleń. Czy z tego, co działo się ponad cztery dekady temu, wynika coś ważnego dla nas współcześnie? Oczywiście wynika!

Lata mijają, ale my wciąż jesteśmy tacy sami. Chcemy czuć się bezpiecznie także pod względem materialnym. Innymi słowy, zarówno wtedy, jak i teraz ważne są praca i godna płaca dająca możliwość utrzymania rodziny. Ważne są perspektywy na przyszłość,

pewność zatrudnienia i stabilność gospodarki. To wszystko nabiera szczególnego znaczenia w okresie pandemii. Wielu Polaków utraciło w tym czasie spokój, niektórzy wciąż żyją w niepewności. W końcu nikt nie da gwarancji, że nie nadejdzie kolejna fala i znów wprowadzony zostanie lockdown. Naprzeciw tym obawom wychodzi państwo, prezentując Polski Ład. Dokument, który ma nam dać poczucie, że ktoś trzyma rękę na pulsie i nie zastawi obywateli samych. Oczywiście w tym momencie to wciąż raczej zestaw ogólnych zapowiedzi niż konkretny plan. Niemniej wyznacza on pewien kierunek. Mamy zatem iść w stronę państwa dobrobytu, którego fundament stanowić będzie silna klasa średnia. Brak tej klasy w PRL (bo z pewnością nie była nią komunistyczna nomenklatura) skutkowało napięciami społecznymi. Po transformacji wciąż nie udało się nam jasno tej grupy zdefiniować i zaadresować programu jej rozwoju. Teraz ma być inaczej. To właśnie klasa średnia jest na ustach wszystkich i to właśnie ona ma być motorem napędowym rozwoju i przedmiotem troski rządzących. Dobrze, że sobie o niej przypominano.

Polski Ład czeka pewnie wiele korekt. Ma on swoje wady i zalety. Do tych pierwszych zaliczyć należy wyłączenie części przedsiębiorców z kwoty wolnej od podatku (tych, którzy płacą liniowy podatek dochodowy), do drugich zaś wiele interesujących propozycji rozwojowych (zamówienia publiczne adresowane do MŚP, ulgi podatkowe etc.). Warto, aby to, co dobre, nie zostało tylko na papierze, a to, co wymaga korekty, zostało szybko zmienne. Sprawne i odpowiadające na potrzeby obywateli państwo to bowiem warunek spokoju społecznego, którego w tych trudnych czasach bardzo potrzebujemy.

Polsce grozi kara 5 mln euro za każdy dzień, gdy praca kopalni w Turowie nie została wstrzymana

FOT. ADOBE STOCK

Kopalnia problemów



Jakub Wozinski

Wydając niekorzystny dla Polski wyrok w sprawie kopalni w Turowie, TSUE wyraził tak naprawdę niezadowolone z faktu, że proces odejścia od paliw kopalnych nie przyspiesza jeszcze bardziej

Ostatnie tygodnie stanowią dla polskiej energetyki niemal nieprzerwane pasmo niefortunnych zdarzeń. Finalizacja budowy gazociągu Nord Stream 2, problemy przy budowie gazociągu Baltic Pipe na odcinku duńskim i awarie w elektrowni w Bełchatowie stanowią niemały powód do zmartwień, a jeszcze Polska dodatkowo musi radzić sobie z orzeczeniem Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, na mocy którego nakazano natychmiastowe wstrzymanie wydobycia węgla brunatnego w kopalni w Turowie. Dodatkowo orzeczono, że polskie państwo ma płacić karę w wysokości 5 mln euro dziennie do

czasu, aż kopalnia wstrzyma wydobycie. Natychmiastowe wyłączenie kompleksu, który odpowiada za 7 proc. zużywanej w Polsce energii, było oczywiście wykluczone, dlatego strona polska zdecydowała się na podjęcie rozmów z Czechami, którzy złożyli skargę.

W tym celu na rozmowy do Pragi wybrała się delegacja, w której skład weszli m.in. ministrowie Michał Kurtyka, Zbigniew Rau, Jacek Sasin i Konrad Szymański. Czas na negocjacje jest ekstremalnie trudny, bo nad Wełtawą zbliżają się październikowe wybory do parlamentu. – System polityczny w Czechach jest podobnie rozsypany jak u nas. Z racji wyborów trwa tam zacięta walka. Nasi decydenci popełnili błąd, że obrali dość twardy kurs właśnie w momencie, gdy Czesi żyją kampanią wyborczą. Żaden polityk, nawet najbardziej nam sprzyjający, w tej sytuacji nie pójdzie nam na rękę – uważa ekspert ds. energetyki Andrzej Szczęśniak.

A CO Z KOPALNIAMI W CZECHACH I W NIEMCZACH?

Kto więc ponosi odpowiedzialność za to, że Polska musi rozwiązać spór z Czechami w takich właśnie okolicznościach?

Zdania na ten temat są podzielone. Na łamach „Rzeczpospolitej” prof. Waldemar Gontarski wskazywał, że niemała część winy leży po stronie polskiej, gdyż mieliśmy m.in. błędnie zastosować dyrektywę unijną w kwestii przedłużenia koncesji dla wydobycia węgla w Turowie. W oficjalnej skardze strony czeskiej wskazano także na złamanie kilku innych dyrektyw, dotyczących m.in. sposobu przeprowadzania konsultacji z ludnością żyjącą w bezpośrednim sąsiedztwie kopalni. Polska miała również popełnić proste błędy prawne w czasie, gdy Czechy złożyły już skargę do TSUE – mieliśmy korzystać z niewłaściwych procedur. Tego rodzaju zarzuty chętnie podjęła opozycja totalna, która stara się przedstawić sprawę Turowa jako błąd rządzących.

W rzeczywistości lista błędów polskiej strony wydaje się być zdecydowanie krótsza. Redaktor naczelny serwisu BiznesAlert.pl Wojciech Jakóbiak skłania się ku twierdzeniu, że największy błąd Polska popełniła, nie przygotowawszy wcześniej odpowiedniej nowelizacji ustawy o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa oraz o ocenach oddziaływania na środowisko.

– Przy przedłużaniu koncesji w Turowie Polska korzystała z pewnej furtki prawnej. Problem ten jest już usuwany przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska, które w ten sposób niejako przyznało się do błędu, o czym pisał BiznesAlert.pl – mówi Jakóbiak. – Zostaliśmy złapani na gorącym uczynku i to dlatego nasza kopalnia jest przedmiotem sporu przed TSUE. Na tym polegał nasz błąd. Natomiast szersza dyskusja o bezpieczeństwie wydobycia węgla brunatnego powinna obejmować nie tylko jedną z mniejszych kopalni tego typu w regionie, jaką jest kopalnia Turow, lecz także obiekty w Czechach i w Niemczech.

– Mówienie o tym, że w trakcie negocjacji z Czechami popełniono proste błędy proceduralne i prawne, to czysty populizm – uważa jednak Andrzej Szczęśniak. – W cały spór zaangażowanych jest mnóstwo prawników, dlatego niemożliwe jest, aby popełnili aż tak wielki błąd. Problem dotyczy zawsze tego, czy obie strony są w stanie wypracować pewien kompromis. Z jednej strony przy tego rodzaju inwestycjach środowisko zawsze do pewnego stopnia ucierpi, a z drugiej – dana firma musi wiedzieć, czy stać ją na to, żeby zrekomensować wyrządzone szkody. W przypadku Turowa negocjowano bardzo długo, a potem nagle czeska strona wykorzystwała pewien kruczek prawny, że polski przepis, na podstawie którego kopalni udzielono tymczasowego przedłużenia koncesji, nie zgadza się z przepisami europejskimi. Europejskie sądy mają niestety dużą swobodę interpretacji tego, co jest zgodne z unijnym prawem, a co nie. Stały się one swego rodzaju superwładzą, niekiedy dość brutalnie ingerując w procesy polityczne lub wręcz stając się stroną sporu politycznego. I właśnie z tymś takim mamy teraz do czynienia.

I rzeczywiście, unijne trybunały już wiele razy w przeszłości dawały dowody swojego politycznego zaangażowania. W obecnej sytuacji kwestie środowiskowe są zaś szczególnie istotne, gdyż Unia Europejska stara się jeszcze bardziej podkręcić tempo zielonej transformacji. W czasie niedawnego szczytu klimatycznego zwołanego przez Joe Bidena przedstawiciele Komisji Europejskiej zadeklarowali, że do 2030 r. Unia ograniczy emisję gazów cieplarnianych aż o 55 proc., choć jeszcze do niedawna oficjalny cel wynosił 40 proc. Przyspieszenie prac nad wdrażaniem

zielonej agendy dokonuje się w ramach wspólnoty nie w drodze konsultacji, lecz za pomocą faktów dokonanych. I tego ofiarą pada teraz Polska.

– Orzeczenie TSUE wynika niestety z tego, że Polska się poddała. Nasz kraj poddał się Unii Europejskiej i powiedział: „Wy nam dajecie pieniądze, a my zamykamy węgiel i oddajemy energetykę zachodnim inwestorom” – mówi Andrzej Szczęśniak.

Gdy wcześniej pojawiały się spory między krajami rozstrzygane przez TSUE, Komisja Europejska nierzadko sama stawiała się ich stroną zamiast jednego państwa i w ten sposób łagodziła napięcia. W przypadku Turowa KE zdecydowała o przystąpieniu do sporu po stronie Czech, dając tym samym wprost do zrozumienia, że zależy jej na jak największej eskalacji konfliktu i przymuszeniu Polski do określonej postawy.

Światowe media, które zainteresowały się sprawą, stoją niedwuznacznie po stronie czeskiej. W relacjach zagranicznych dziennikarzy brakuje jednak najczęściej odpowiedniego kontekstu. Czesi bardzo silnie akcentują to, że w następstwie wydobycia węgla w Turowie znacząco obniżył się poziom wód gruntowych, choć ogromny wpływ na to ma panująca od dłuższego czasu susza. Jednocześnie bardzo istotnym czynnikiem w całej układance jest to, że wobec ogromnych kosztów związanych z karami płaconymi za każdy dzień prowadzonego w Turowie wydobycia Polska może w pewnym momencie zostać zmuszona do zamknięcia dolnośląskiego kompleksu i kupowania węgla z czeskich kopalni. A tymczasem w kraju usteckim znajdują się bardzo obfite złoża, których Czechom najprawdopodobniej nie uda się w pełni wyeksploatować do czasu narzuconego przez Unię odejścia od węgla.

LOS TUROWA JUŻ PRZESĄDZONY

W ubiegłym roku udział węgla w polskim miksie energetycznym spadł do poziomu ok. 60 proc., choć jeszcze niedawno wynosił ok. 80 proc. Jednak – jak widać na przykładzie Turowa – polskie wysiłki dotyczące zielonej transformacji spotykają się z coraz większą irytacją ze strony Unii. Przedstawiciele unijnych instytucji zachowują się niestety coraz częściej niczym młodociani działacze organizacji ekologicznych, którzy domagają się natychmiastowej implementacji wszystkich swoich żądań.

W tym właśnie kontekście spór wokół Turowa przedstawia się jako wyjątkowo trudny do rozstrzygnięcia, gdyż nawet jeśli uda się wypracować odpowiedni kompromis ze stroną czeską (w czasie powstawania tekstu nieznany był jeszcze rezultat rozmów w Pradze), to osobnego rozstrzygnięcia będzie wymagał jeszcze spór przed TSUE, w którym stroną jest przecież także Komisja Europejska.

Rząd próbuje obecnie za wszelką cenę uratować kopalnię w Turowie, lecz w rzeczywistości jej los już dawno został przesądzony. W sporze z Czechami polscy przedstawiciele wielokrotnie odwoływali się do argumentu, że zamknięcie całego kompleksu wiązałoby się z utratą pracy przez 15 tys. pracowników elektrowni i kopalni, a w kontekście całego krajowego systemu energetycznego wywołałoby prawdziwą katastrofę. W związku z przyjętymi zobowiązaniami wynikającymi z członkostwa w UE wydobycie węgla w Turowie skończy się jednak w perspektywie dwóch-trzech dekad, co w praktyce oznacza jedynie odroczenie wykonania wyroku.

Warto także wspomnieć, że tuż przed orzeczeniem TSUE otwarto w Turowie najnowocześniejszy w całej grupie PGE niskoemisyjny blok węglowy o mocy 496 MW, którego budowa zaczęła się zaledwie w 2014 r. Wydano na niego łącznie ponad 4,3 mld zł, a mimo to w niezbyt odległej perspektywie czasowej czeka go wyłączenie. Fakt ten chyba najlepiej obrazuje to, jak szybkim i dramatycznym przemianom ulega właśnie polska energetyka i do jak wielkich jesteśmy zmuszani wyrzeczeń.

Sposób, w jaki polskie państwo zostało potraktowane przy okazji sporu z Czechami, powinien dać wszystkim politykom sporo do myślenia. Po raz kolejny okazuje się bowiem, że strona unijna dość luźno taktuje podjęte zobowiązania i przyjęte harmonogramy, wymuszając jednocześnie od Polski bardzo drobiazgowo przestrzeganie rozmaitych dyrektyw i przepisów. Nie mamy żadnej gwarancji, że wyznaczone dziś przez Komisję Europejską cele klimatyczne już za dwa czy trzy lata nie ulegną kolejnej korekcie, choć każda tego typu decyzja obarcza polskich podatników znacznymi kosztami (to właśnie one mają znaczny udział w ostatnim wzroście cen). Konflikt wokół Turowa to jeden z ostatnich momentów na to, by w porę przemyśleć przyjętą politykę uległości.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ktoś powie rolnikom?

Ktoś odważy się obwieścić polskim rolnikom, że w kwietniu 2021 r. Komisja Europejska wprowadziła dla hodowców świń drakońskie obostrzenia sanitarne – a wszystko po to, by powstrzymać pochód ASF, czyli afrykańskiego pomoru świń, ze wschodu, czyli także z Polski, na zachód Unii Europejskiej? Dotyczą one głównie rolników ze stref zagrożonych ASF, a te obejmują w Polsce już połowę kraju. Ktoś odważy się obwieścić polskim rolnikom, że w każdym chlewie, w którym są zwierzęta, obowiązuje podział na strefy czyste i brudne, że obowiązkowo musi być tam prowadzona książka wejść i wyjść gospodarza i jego pracowników, że obowiązkowo są przebiegalnie i przysznica dla ludzi mających kontakt z trzodą?

Takich, niezwykle rygorystycznych postanowień jest więcej. Kiedy zatem w Polsce pełną parą ruszy akcja informacyjna wśród rolników i kiedy te wymagania zaczną być egzekwowane? A może lepiej: Czy w ogóle kiedykolwiek będą z całą surowością egzekwowane? Czy jednak – dotychczasowym sposobem – odpowiedzialni za zwalczanie ASF polscy politycy znowu schowają głowy w piasek?

Albowiem główną przyczyną totalnej porażki Polski w walce z ASF jest właśnie gigantyczny strach polskich polityków przed polskimi rolnikami, strach powodujący niemożność jasnego postawienia sprawy: z ASF nie da się wygrać „po polsku”, czyli utartym u nas sposobem –

wy udajecie, że przestrzegacie reżimu sanitarnego, a my udajemy, że wam ufamy, że tak jest.

Półtora roku temu w felietonie pt. „ASF pokonał Platformę, PSL i PiS” napisałem: „Jest już najpewniej tylko kwestią czasu, gdy ASF – afrykański pomór świń – ogarnie całą Polskę. Zmierzając ze wschodu na zachód, miesiące temu przekroczył Wisłę i niedawno pojawił się w Wielkopolsce, zbliżając się do granicy z Niemcami. [...] Przez pięć lat byliśmy świadkami systematycznego, właściwie niczym niepowstrzymanego rozprzestrzeniania się epidemii ze wschodu na zachód Polski. I wszystkie po kolei rządy – zarówno z Platformy Obywatelskiej i PSL, jak i z Prawa i Sprawiedliwości – oddawały afrykańskiemu pomorowi świń kawałek Polski po kawałku. Nie potrafiły bądź nie miały odwagi, a raczej nie potrafiły i nie miały odwagi postępować na tyle skutecznie, by powstrzymać zarazę”.

Niestety, sposób reakcji na dokument Komisji Europejskiej (a przecież nie wszystko, co pochodzi z Brukseli, jest złe) dowodzi, że w podejściu polskich polityków i urzędników państwowych niewiele się w tej materii zmieniło. Chyba nie ma więc innego wyjścia i ASF musi opanować całą Polskę, doprowadzając do konieczności wybicia wszystkich hodowanych u nas świń. Pytanie: Z jakim efektem dla zasobności portfeli polskich rolników i konsumentów? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Od Delt do Omegi

Pana ministra Niedzielskiego zapytano w „Fakcie”, kiedy zostanie zniesiony stan epidemii. Szef resortu zdrowia odpowiedział: „Trzeba zdawać sobie sprawę, że nie mamy sytuacji zero-jedynkowej. Nie możemy powiedzieć, że skoro teraz zakażeń jest stosunkowo niewiele, to koniec walki z pandemią” – co oczywiście odpowiedzią na pytanie nie jest. Dalej pan minister przeszedł do straszenia nowymi wariantami wirusa, w tym zwłaszcza złowrogą Deltą, którą – według mediów popularnych – można się zarazić przez otarcie się o kogoś na ulicy, a także która – to nie żart – ma być przenoszona przez pyłki drzew i traw.

Jak to z tą Deltą jest – nie wiemy, ponieważ dostępne są na razie jedynie szcątkowe dane z Wielkiej Brytanii. Wiemy natomiast, że w Polsce zakażenia są na bardzo niskim poziomie i nie ma absolutnie żadnego uzasadnienia, żeby utrzymywać stan epidemii. Zwłaszcza że do dyspozycji jest jeszcze stan zagrożenia epidemicznego, a stan epidemii można w dowolnym momencie przywrócić na mocy rozporządzenia ministra zdrowia.

Dlaczego w takim razie rząd upiera się, by trwać przy stanie epidemii? To proste: bo wówczas może podejmować różne uciążliwe dla

obywateli decyzje na mocy Ustawy o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi, na przykład takie jak przywrócenie kwarantanny dla wjeżdżających spoza strefy Schengen, ogłoszone dobie przed wejściem regulacji w życie.

Takie działanie to absolutny skandal, bo z kwarantanny nie zwalnia nawet wynik testu – jedynie pełne zaszczepienie. Rząd zresztą nawet nie ukrywa, że to kolejny sposób na wymuszenie szczepienia się – mówił to wprost wiceminister zdrowia Waldemar Kraska.

Oznacza to, że Polacy, którzy są już na wakacjach poza strefą Schengen, muszą nagle doliczyć do nich tygodniową kwarantannę po powrocie, a biura podróży, w których klienci kupili już wyjazdy poza Schengen, mają teraz gigantyczny problem i otrzymają kolejny finansowy cios. Rządu jednak to tradycyjnie nie obchodzi, tak jak nie obchodził go los przedsiębiorców, którym przez wiele miesięcy nie pozwalano pracować.

Wracając do ministra Niedzielskiego – zgodnie z jego logiką stanu epidemii właściwie nigdy znieść nie będzie można, bo zawsze gdzieś będzie krążył jakiś wariant SARS-CoV-2. Alfabet grecki ma jeszcze wiele liter w zapasie. Po delcie jest epsilon, potem dzeta, eta, theta, jota, kappa, lambda, my, ny, ksi, omikron... I tak dalej, aż do omegi. ©©

TEST „DO RZECZY”: OPPO ENCO X

Nowoczesne wzornictwo, wysoki komfort użytkowania, zaskakująco dobry dźwięk oraz skuteczne tłumienie szumów – to największe zalety dousznych słuchawek chińskiej firmy Oppo, stworzonych we współpracy z duńską marką Hi-Fi Dynaudio.

To, że mamy do czynienia z produktem z wyższej półki, pokazują stylowe opakowanie oraz eleganckie etui, służące jednocześnie jako przenośny powerbank dla słuchawek. Komplet waży 52,5 g, a same „pchełki” niecałe 10 g (4,8 g każda z nich). Ich największą zaletą poza wzornictwem i niewielkim rozmiarem jest komfort użytkowania. Trzeba przyznać, że ten model jest wygodny w użytkowaniu nawet podczas kilkugodzinnej pracy. Enco X można też polecić miłośnikom aktywnego spędzania czasu: niewielkie słuchawki pewnie trzymają się ucha i ani myślą wypaść podczas intensywnych ruchów głowy. Słuchawki są też względnie odporne na kurz i wodę (IP54), ale już etui do nich warto trzymać w suchym miejscu.

Bardzo ciekawie rozwiązano też sterowanie słuchawkami za pomocą paneli sterujących. Na przykład dwukrotne stuknięcie panelu przełącza utwór. Aby regulować głośność, wystarczy zaś przesuwać palcem po słuchawce z góry na



dół lub z dołu na górę. Plusem modelu Enco X jest to, że można używać np. tylko lewej lub wyłącznie prawej słuchawki.

Zaletą testowanych słuchawek jest też funkcja aktywnego tłumienia niechcianych hałasów (ANC). Enco X pracują w jednym z czterech trybów: przepuszczalność, eliminacja hałasu, maksymalna eliminacja hałasu oraz wyłączona eliminacja hałasu. Właśnie bez żadnej redukcji hałasu Enco X brzmią zdecydowanie najlepiej. Słychać dużo detali, dobrze odwzorowane są wysokie i średnie pasma, choć miłośnicy gitarowych solówek rockowych mogą być minimalnie zawiedzeni. Bardzo przyzwoite są również basy. Te ostatnie jednak dużo wyraźniej rozbrzmiewają po włączeniu tłumienia zewnętrznych szumów. Nie są to oczywiście słuchawki dla audiofilów, ale dzięki obsłudze kodeków SBC, AAC, LHDC

świetnie nadają się do uprzyjemniania czasu podczas joggingu, jazdy na rowerze czy pracy w biurze. Brzmienie można ocenić na czwórkę z plusem w pięciostopniowej skali.

Samo tłumienie hałasu, zwłaszcza w trybie maksymalnym, skutecznie eliminuje dużą część niechcianych dźwięków z otoczenia: ludzkiego gwaru, grającego telewizora, pracującego odkurzacza czy też odgłosów ruchu drogowego.

Słuchawki na jednym ładowaniu mogą działać niecałe sześć godzin. Czas pełnego ładowania baterii wynosi 110 minut.

Wady? OPPO Enco X są przeznaczone głównie dla użytkowników telefonów z systemem Android. Ich działanie z piekielnie drogimi smartfonami z nadgryzionym jabłkiem jest bowiem mocno ograniczone, gdyż na iOS nie jest jeszcze dostępna aplikacja sterująca system tłumienia szumów.

Nawet w aplikacji na Androida można wybrać jedynie dwa z czterech trybów redukcji hałasu, między którymi można się łatwo przełączać bez potrzeby sięgania po smartfon.

Kolejny minus to aplikacja HeyMelody – tak ubogiej apki do obsługi stosunkowo drogiej słuchawek nie widziałem już dawno.

Mimo tych wad OPPO Enco X zasługują na mocną czwórkę. Słuchawki dostępne są w dwóch kolorach: czarnym i białym. Cena wynosi 599 zł i jest bardzo przyzwoita jak na sprzęt takiej jakości. ©© **Jacek Przybylski**

ŁODÓWKA SPERSONALIZOWANA

Bespoke. Tak nazywa się nowa linia lodówek firmy Samsung. Wyróżniają ją m.in. wymienne panele zewnętrzne, dostępne w różnych kolorach i wersjach wykończeniowych, a także możliwość dowolnego łączenia ze sobą wybranych modułów lodówki. Z technologicznych nowinek na uwagę zasługuje strefa Cool Select+, która pozwala dostosować temperaturę wybranych komór urządzenia do aktualnych potrzeb – można więc łatwo zamienić np. zamrażalnik w chłodziarkę. Z kolei komora zero Optimal Fresh+ pozwala wyodrębnić np. oddzielną, chłodniejszą strefę dla mięs i wędlin oraz cieplejszą dla warzyw i owoców. Cena zależy od wybranych modułów, np. chłodziarko-zamrażarka to koszt ok. 3–3,5 tys. zł.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CHŁODZIARKA DLA GRACZY

Xbox Mini Fridge to chłodziarka dla fanów kultowych akcesoriów dla graczy. Niewielka lodówka została stworzona przez Microsoft na bazie konsoli Xbox Series X. Z pewnością nie zastąpi ona prawdziwej chłodziarko-zamrażarki, ponieważ urządzenie może pomieścić maksymalnie 10 puszek o pojemności 330 ml. Urządzenie wyglądające jak konsola zostało wyposażone w układ chłodzenia Xbox Velocity. Cena kolekcjonerskiego gadżetu nie jest jeszcze znana. Wiadomo jedynie, że Xbox Mini Fridge ma trafić na rynek jeszcze w tym roku. ©©

Jacek Przybylski





Jacek Komuda

Zamek w Krasieczynie prezentuje się zachwycająco – nie ma chyba drugiego takiego miejsca, które równie pięknie wyglądałoby w obiektywie

Zamek w Krasieczynie pod Przemyślem jest odcięty komunikacyjnie od reszty Polski. Brakuje bezpośredniej drogi ze stolicy do Przemyśla, ciągle daje o sobie znać XIX-wieczny układ dróg stworzony przez zaborców – łatwiej dojechać stąd do Krakowa niż na Mazowsze. Ze szkodą dla jednego z najpiękniejszych zamków w naszym kraju.

Krasieczyn wygląda dziś prawie tak samo jak w latach 30. XVII w.; w czasach, kiedy rozbudował go Marcin Krasicki, starosta przemyski, polski szeryf na górach i dolinach naszego południowego Teksasu, czyli ziemi przemyskiej i sanockiej. Krasicki bowiem nie tylko przebudował odziedziczony po ojcu zamek, nawiązując do stylu włoskiego, lecz także oczyścił okolicę z hultajstwa i swawolników. Zamek w połowie XVI w. był typową, drewniano-ziemną fortecą z czterema drewnianymi wieżami na rogach, ot, taki wielki Chreptiów jak z „Przypadku pana Michała”. Stanisław Krasicki, kasztelan przemyski, zbudował na jego planie renesansowy zamek obronny – z czterema bastionami, czyli ogromnymi, kamiennymi wieżami, gdzie były stanowiska dla armat i strzelnice. Jego syn, wspomniany Marcin, przebudował go na rezydencję, dodając zdobienia, nakrywając baszty dachem i dodając attyki, czyli misterne zwieńczenia ich murów. Podobne można oglądać w Zamościu, w Baranowie Sandomierskim, a przede wszystkim na zamku w Przemyśle, który był oficjalną siedzibą starosty.

Krasieccy zafascynowani byli kulturą i sztuką Italii. Można się spodziewać zatem, że na początku XVII w. większość dworów i zamczków w ziemi przemyskiej i sanockiej naśladowała Krasieczyn; nie zdziwiłbym się, gdyby nieudolne attyki znaleźć można było na dworach,

we dworach i w fortalicjach; na pewno były w Dubiecku, gdzie mieszkał rodzony brat Marcina – Jerzy, niestety, groźny warchoł i awanturnik, zwany grandzadzą i często znieważany przez szlachtę. Attyki w większości nie przetrwały próby czasu, misterne zdobienia dachów nie nadają się

bowiem do naszego klimatu.

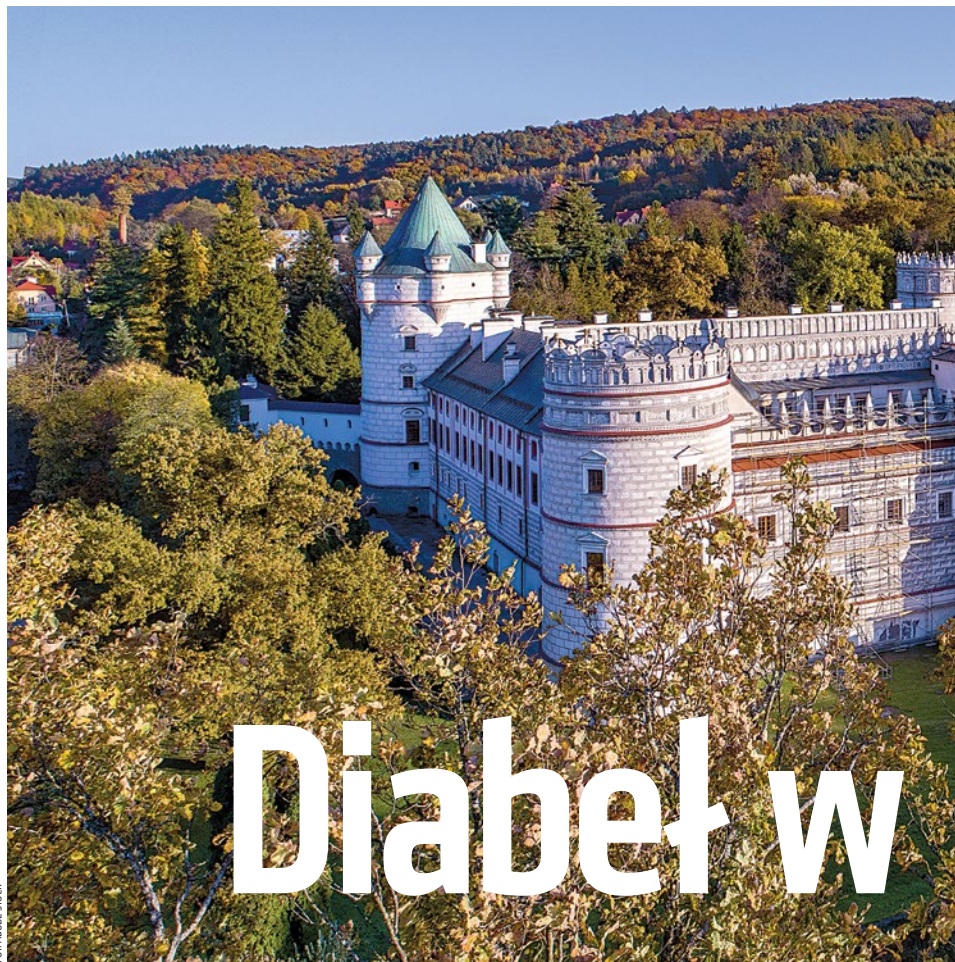
Mróz, wiatr i deszcz łatwo je niszczy. Podobnie jak łatwo uszkadzają drugi rodzaj zdobienia, z którego sławny jest Krasieczyn, a mianowicie – dekoracje wykonane techniką sgraffito.

Cóż to znaczy? Otóż estetyka ludzi z XV i XVII w. nie lubiła pustych, płaskich powierzchni. Ogromne połacie białych, murowanych czy drewnianych ścian drażniły i kłuły w oczy, świadcząc o biedzie właściciela. Tylko biedak lub chłop miał białe, puste ściany w domu. Dlatego w ubogich dworach malowano na nich kwiaty, pejzaże, czasem sceny religijne. Bogate rezydencje zaś musiały wręcz zaskakiwać

pomysłami; malowano tam obrazy, które dodawały im trójwymiarowości. Zamiast wykonać płaskorzeźby, kreślono ich wizerunki, które zwodziły, dając poczucie nieistniejącej głębi. Technika sgraffito oznaczała zaś, że ścianę pokrywano różnymi rodzajami tynku (każdy w innym kolorze), następnie zeszkrobywano warstwę z wierzchu, tworząc wrażenie głębi. Płaska powierzchnia uzyskiwała w ten sposób efekt trójwymiarowości; można by rzec, że była to pierwsza, prymitywna wersja techniki, którą dziś stosuje się w grafice komputerowej pod nazwą mapowania normalnych.

DIABEŁ NA ZAMKU

Filmowo Krasieczyn prezentuje się zachwycająco – nie ma chyba drugiego takiego miejsca, które równie pięknie wyglądałoby w obiektywie. To właśnie na zamku kręciliśmy ostatnio sceny do serialu „Diabeł Łańcucki”. Ogromny zamek Krasickiego umożliwia wykonanie różnych zdjęć i kreowanie rozlicznych scenerii. W pierwszym odcinku „Diabła...” grał siedzibę tytułowego Stanisława Stadnic-



Diabeł w





Krasieczynie

kiego, czyli jego zamek w Łańcutie zwany Piekłem, dziś już nieistniejący. Jest w tym oczywiście mój własny przekręt historii, gdyż w rzeczywistości właściciel Krasieczyna, starosta Marcin, był jednym z głównych wrogów synów Diabła. Pokonał i przepędził młodszego Zygmunta z Rudawki, a starszego Władysława kazał rozstrzelać, kiedy 21 grudnia 1624 r. zdobył Łańcut na czele szlachty i prywatnych wojsk.

W Krasieczynie można zrealizować prawie cały film historyczny. W pierwszym odcinku odtworzyliśmy sceny i miejsca, takie jak: wieżę dolną w podziemiach w południowym skrzydle, wyjście głównego bohatera z lochu, ucztę u Diabła Łańcutckiego. I przede wszystkim – w baszcie szlacheckiej, na piętrze – salę, w której więźniowie, mincerze, biją dla Stadnickiego fałszywe monety. Staropolskie czerwone złote, którymi pan na Łańcutcie opłacał prywatne oddziały wojskowe najęzające sąsiadów. Do kolejnych odcinków zaplanowane są ujęcia Stadnickiego oglądającego pędzące przed nim konie, na tle najpiękniejszej, prawdziwie malarskiej panoramy zamku od strony stawu.

Krasieczyn po bezpotomnej śmierci Marcina Krasickiego przeszedł na jego bratanka, Marcina Konstantego, i pozostawał własnością Krasickich do 1687 r. Kłopot jednak w tym, że następcy nie mieli już tak wielkich dochodów jak starosta przemyski, który był kasztelanem lwowskim i potem wojewodą podolskim, a także hrabią Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Zamek zaczął podupadać, po śmierci Marcina Konstantego dostał się w ręce jego córki Urszuli i Jędrzeja Modrzejewskiego, później zaś wojewody lubelskiego Jana Tarły, który był stronnikiem Augusta II Sasa. W 1726 r., tuż po zakończeniu wojny północnej, został splądrowany przez wojska rosyjskie i kozaków; od tej chwili datuje się okres upadku i stopniowego niszczenia.

Do końca XVIII w. budowla wielokrotnie zmieniała właścicieli. Widok zamku z 1839 r. ukazuje wieżę bez hełmu i liczne zamurowane okna w ścianach baszty Papińskiej. Wcześniej, bo w 1834 r., kupił go Leon Sapieha i rozpoczął remont oraz częściową odbudowę. Niestety, 3 maja 1852 r., tuż przed ślubem Adama Sapiehy i Jadwigi Sanguszkówny, w Krasieczynie wybuchł pożar,

który doszczętnie zrujnował budowlę, ocalała tylko przepiękna kaplica w baszcie Boskiej. Sapiehowie nie załamali się jednak i rozpoczęli mozolną odbudowę, udało im się przywrócić budowli pierwotny wygląd z początku XVII w. Jednocześnie zlikwidowano ogród i pozostałości fortyfikacji, dzisiejszy przepiękny park i drzewa pochodzą właśnie z tego okresu. Zwyczajowo przyjęcie na świat dziewczynki upamiętniano posadzeniem lipy, a chłopca – dębu. To właśnie w rodzinie nowych właścicieli 14 maja 1867 r. przyszedł na świat Adam Stefan Sapieha, od 1946 r. kardynał, jeden z najwybitniejszych duchownych w naszym kraju. O jego niezłomnej woli i oporze przeciwko stalinowskim wielkorządom Polski długo by można pisać.

OSTATNIE ALAMO

Krasieczyn drugi raz padł łupem hord ze wschodu w nocy z 19 na 20 września 1939 r., po wkroczeniu oddziałów Armii Czerwonej na Kresy. Sceny, które rozegrały się na dziedzińcu, przypominały najazd Hunów. Bolszewicy rozpalili na dziedzińcu ognisko i palili meblami wyrzucanymi przez okna z komnat zamkowych, powyrywali wanny i umywalki w łazienkach, zniszczyli unikalne rzeźby w kaplicy zamkowej. Jak pisał Andrzej Sapieha, który oglądał zamek w 1941 r.: „Do wysokości, do jakich dzicz mogła sięgnąć, ołtarze, ławki gdańskie, chórek drewniany i tablice marmurowe wyrąbane”. W grobowcu poniżej kaplicy rozbili groby i wyrzucili szczątki Sapiehów, a metalowych trumien podobno używali w charakterze... wanien. Zniszczeniu uległo całe wyposażenie zamku poza pokojami myśliwskimi (które według legendy zostały zamurowane), aczkolwiek słyszałem również wersję, że oszczędzono je, ponieważ znajdowały się tutaj kwatery sowieckiego dowództwa.

Po wojnie spustoszony Krasieczyn służył miejscowej ludności jako kryjówka przed oddziałami UPA, które dokonywały napadów na Birczę i sąsiednie miejscowości. Znowu XVI-wieczne baszty i mury okazały się dobrym schronieniem przed napastnikami. Później zamek miał niesamowite szczęście. Po wojnie trafił w ręce Fabryki Samochodów Osobowych w Warszawie, od 1996 r. przejęła go Agencja Rozwoju Przemysłu, co pozwoliło zrekonstruować pierwotny wygląd tego miejsca i przywrócić mu unikalny wygląd i klimat.



Agnieszka Niewińska

Przechowują paszport covidowy, pomogą zapanować nad budżetem, a nawet znaleźć miejsce w lesie, w którym można biwakować „na dziko”. W aplikacjach mobilnych można przebierać. Które przydadzą się na wakacjach?

To nie będą najłatwiejsze wakacje dla tych, którzy zdecydują się na wyjazd do zagranicznego kurortu czy choćby na weekendową wycieczkę po stolicy któregoś z naszych sąsiadów. Nie wystarczy, jak dawniej, rezerwacja przejazdu i noclegu. Trzeba sprawdzić, czy kraj, do którego się wybieramy, jest otwarty na turystów i pod jakimi warunkami, przygotować dokumenty poświadczające zaszczepienie, przebytą chorobę czy wykonany test na COVID-19.

Jak zaplanować tegoroczne wakacje i nie zwariować? Wiele spraw do załatwienia przed wyjazdem, a także w trakcie podróży możemy wykonać za pośrednictwem aplikacji mobilnych.

mObywatel to aplikacja, której wydawcą jest Kancelaria Prezesa Rady Ministrów. Dzięki niej można m.in. wykupić e-recepty bez dyktowania farmaceucie PESEL-u czy sprawdzić liczbę punktów karnych. Tego lata na swoje telefony będą ją ściągać szczególnie ci, którzy zaplanują zagraniczny wyjazd, bo aplikacja daje możliwość przechowywania Unijnego Certyfikatu COVID (potocznie zwanego paszportem covidowym), czyli kodu QR z danymi o tym, że zostaliśmy zaszczepieni przeciwko COVID-19 (do ściągnięcia z naszego Internetowego Konta Pacjenta). Aplikację pobrało już ponad milion użytkowników.

Re-open EU także daje możliwość przechowywania kodu QR z danymi szczepiennymi. W tej unijnej aplikacji można też znaleźć informacje dotyczące reguł wjazdu do państw UE, bo te nie są jednolite. Na razie użytkownicy narzekają, że dane nie są wystarczająco często aktualizowane. Aplikacja ma być jednak dopracowywana. W tej chwili ma 100 tys. pobrań.

Aplikacje na lato

FOT. ADRIAN BOSTOCK

Rome2Rio pomoże sprawdzić połączenia lotnicze, kolejowe, kołowe między dwoma punktami na Ziemi. Nieważne, czy jedziesz z Radomia do Załubic Starych czy z Końskich do hiszpańskiego Elche. Rome2Rio pokaże dostępnych przewoźników, godziny połączeń i orien-

tacyjną cenę przejazdu. W okłopotanym okresie warto jednak zweryfikować dane na stronie proponowanych w aplikacji przewoźników ze względu na częste zmiany w rozkładach.

Booking.com – nocleg nawet w najodleglejszych zakątkach świata zarezerwu-

jesz on-line z poziomu dość intuicyjnej aplikacji. Booking.com jest dostępny w ponad 40 językach.

Airbnb to też aplikacja umożliwiająca rezerwację noclegu on-line. Nie łączy jednak firm z ludźmi, ale co do zasady Airbnb ma kontaktować ze sobą prywatnych właścicieli (gospodarzy) chcących udostępnić podróżującym jeden z pokoi w swoim domu lub całą nieruchomości. Airbnb to rezerwacyjny gigant, który narodził się w Kalifornii, a jednym z jego założycieli jest Nathan Blecharczyk, którego dziadek wyemigrował do Stanów Zjednoczonych z Polski.

Couchsurfing to coś dla tych, którzy na podróże mają niewielki budżet. Aplikacja jest uzupełnieniem serwisu internetowego. Zarejestrowane na platformie osoby z całego świata bezpłatnie udostępniają swoje kanapy czy przestrzeń na podłodze innym podróżującym. Wystarczy wpisać cel podróży, wyszukać gospodarzy i wysłać prośbę o nocleg. Po takiej wizycie gospodarz i gość wystawiają sobie wzajemnie opinie. Couchsurfing w związku z pandemią wprowadził opłaty dla użytkowników, by móc utrzymać platformę. To zniechęciło część z nich, więc trzeba się liczyć z tym, że gospodarzy i podróżników jest na tej platformie mniej niż przed pandemią.

BeWelcome stał się alternatywą dla płatnego Couchsurfingu. Wielu użytkowników przeniosło się właśnie tam. Platforma chwali się w tej chwili 156 tys. użytkowników, jednak w porównaniu z Couchsurfingiem jest jeszcze serwisem raczkującym.

Blablacar to coś dla tych, którzy chcą maksymalizować oszczędności i np. do bezpłatnego noclegu dorzucić przejazd za drobne. Serwis działa w 22 krajach i ma 90 mln użytkowników. Łączy kierowców z pasażerami jadącymi w tym samym kierunku, dzięki czemu koszt przejazdu dzieli się na kilka osób. Aplikacja zainstalowana na telefonie z polskim oprogramowaniem oraz językiem polskim będzie pokazywać przejazdy proponowane przez polskich użytkowników. Jeśli chcemy skorzystać ze wspólnej jazdy w innym kraju, to trzeba się posłużyć mobilnymi stronami – dla każdego kraju jest inna. Na przykład we Francji będzie to m.blablacar.fr, w Niemczech m.blablacar.de, a w Hiszpanii m.blablacar.es.

Mapa Turystyczna to aplikacja, która przyda się, kiedy choćby i Blablacarem dotrzemy w polskie góry. Wielu miłośni-

kom górskich wycieczek znana jest strona mapa-turystyczna.pl, która pozwala zaplanować wędrówki szlakami w polskich górach. Te same funkcje dostępne są w aplikacji. Można wybrać szlak, sprawdzić czas przejścia, profil wysokościowy trasy, sprawdzić, czy po drodze są ciekawe miejsca, schroniska, w których można zanoć. Aplikacja jest dobrze oceniana przez użytkowników. W Sklepie Play średnia ocen to 4,8/5.

mBDL, czyli mobilny Bank Danych o Lasach, przyda się tym, którzy zapragną noclegu w środku lasu. Lasy Państwowe w ramach akcji „Nocuj w Lesie” we wszystkich nadleśnictwach wyznaczyły miejsca, w których można nocować „na dziko”. Grupy maksymalnie dziewięcioosobowe mogą bez zgłaszania tego leśnikom rozbić się w takich miejscach na dwie noce. W aplikacji mBDL znajdziemy miejsca, w których jest to dozwolone. Po otwarciu aplikacji w lewym górnym rogu wybieramy opcję „Mapy BDL”, a następnie „Mapa zagospodarowania turystycznego”. W aplikacji nieco trudno się zorientować, więc podpowiadamy: obszar zaznaczony na pomarańczowo to miejsca, w których można biwakować i korzystać z palników gazowych; te zaznaczone na żółto dają jedynie możliwość przenocowania.

BirdNET to aplikacja, która przyjdzie nam z pomocą, kiedy już zdecydujemy się na nocleg w lesie. Pomoże zidentyfikować ptaki, które swoim śpiewem ukołyszają nas do snu. Wystarczy je nagrać, a aplikacja odpowie, jaki to gatunek. W tej chwili rozpoznaje ok. 3 tys. najpopularniejszych gatunków ptaków i stale się rozwija. Aplikacja to efekt współpracy Cornell Lab of Ornithology i Uniwersytetu Technicznego w Chemnitz. Okazała się szczególnie popularna w czasie pandemii. Pobrało ją ok. 1 mln osób.

TripAdvisor to miejsce, w którym można znaleźć rekomendacje innych podróżujących, dotyczące m.in. restauracji, hoteli, muzeów, atrakcji turystycznych, przewodników. Najwięcej opinii mają rzecz jasna miejsca tłumnie odwiedzane, ale niekiedy w komentarzach można też znaleźć rekomendacje użytkowników co do atrakcji poza głównym szlakiem i patenty na dojazd transportem zbiorowym.

TravelSpend pomoże nam kontrolować wydatki na wakacjach. Wyliczy dzienną średnią, pozwoli zapanować nad tym, kto komu ile jest dłużny (w przypadku wyjazdów we dwójkę czy w grupie). Nie trzeba przejmować się przeliczeniami

walutowymi. Aplikacja automatycznie przeliczy wydatki na wskazaną walutę. Szczególnie polecają ją ci, którzy wyjeżdżają na dłużej i mają ograniczony budżet. Niestety, TravelSpend dostępny jest w języku angielskim. Wśród budżetowych aplikacji w polskiej wersji językowej dobre recenzje użytkowników zbiera Szybki Budżet – Menedżer Wydatków przeznaczony do kontrolowania domowego budżetu. Można wykorzystać tę aplikację także w podróży.

Revolut przyda się tym, którzy nie korzystają z karty wielowalutowej, a podróżując za granicę, nie chcą tracić na niekorzystnym kursie banku przy płatności kartą złotówkową. Revolut w podstawowej darmowej wersji pozwala m.in. na płatności w obcych walutach po korzystniejszym niż bankowy kursie, międzynarodowe szybkie przelewy czy kontrolę nad wydatkami.

App2U to coś dla tych, którzy niczego nie pozostawiają przypadkowi i wolą się ubezpieczyć. Jeśli przed podróżą zabrakło im na to czasu, to mogą to zrobić nawet w kilkanaście sekund w drodze na dworzec czy lotnisko. Ochrona ubezpieczeniowa aktywna jest po opłaceniu składki (za pomocą karty płatniczej, BLIK czy PayU). App2U daje możliwość ubezpieczenia np. na okoliczność przymusowej kwarantanny i izolacji związanej z COVID-19 w trakcie pobytu za granicą. Można także ubezpieczyć elektronikę, sprzęt sportowy (nawet na kilka godzin) czy podróż lub wydarzenie kulturalne na wypadek rezygnacji. App2U to aplikacja firmy Europa Ubezpieczenia. Zadebiutowała w czerwcu.

CheckMyTrip przyda się ruszającym na wakacje i wracającym z nich drogą powietrzną. Ta aplikacja to podróżniczy organizator. Jeśli w czasie podróży korzystamy z różnych połączeń i kilku linii lotniczych, to CheckMyTrip może być pomocny. Na podany w aplikacji adres e-mail przesyłamy potwierdzenia rezerwacji lotów i mamy je wszystkie w jednej aplikacji. Za pośrednictwem aplikacji można też dokonać odprawy na lot. Aplikacja w angielskiej wersji językowej.

Pozostaje nam życzyć udanego wypożyczenia zarówno w odległych kurortach, jak i podczas nocowania w pobliskim nadleśnictwie. Aplikacje to przydatne narzędzie do planowania urlopu. Oby go nie zdominowały, bo w końcu wakacji nie wypada spędzać z nosem w telefonie.



FOT. GONZALO ARIBOW - UEFA

wiem... Przyjdzie nowy prezes. Zobaczymy, co wymyśli, co zrobi. Wydawało mi się, że to była dobra koncepcja – mówił w rozmowie z TVP Sport.

Pytanie tylko, czy właśnie wymiany trenerów nie są jedną z podstawowych chorób toczących polską reprezentację piłki nożnej.

PIĘĆ MIESIĘCY TO ZA MAŁO

51-letni Portugalczyk Paulo Sousa objął polską kadrę dość niespodziewanie pod koniec stycznia tego roku. Kiedy zaczął pracować z naszymi piłkarzami, do rozgrywek ME zostało ledwie pięć miesięcy. To prawda, że patrząc na grę formacji obrony (zaledwie jeden mecz rozegrany od stycznia skończył się bez utraty bramki), można było wymagać także od trenera czegoś więcej. Jednak ile naprawdę można było zrobić z drużyną w tak krótkim czasie?

– Uważam, że to za krótko i absolutnie nie możemy oceniać dokonań Paulo Sousy – mówi „Do Rzeczy” Jacek Gmoch, były trener reprezentacji. – W dodatku widać, że zademonstrował wprowadzenie wielu elementów nowych w reprezentacji i to takich idących w kierunku światowego poziomu – ocenia.

Sousa to były piłkarz Juventusu, Benfiki Lizbona i Borussia Dortmund. Jako zawodnik w klubach sięgał z kolegami po trofea krajowe czy Ligi Mistrzów. Jako trener sięgnął po mistrzostwo Węgier jako prowadzący Videoton oraz mistrzostwo Izraela z Maccabi Tel Awiw i mistrzostwo Szwajcarii z drużyną FC Basel. Pracował też w klubach w Wielkiej Brytanii, we włoskiej Fiorentinie, w Chinach i francuskim Bordeaux.

Można zżymać się, że nie jest to trener przetransferowany ze światowej klasy klubu, ale w rzeczywistości tacy trenerzy nie trafiają do narodowych reprezentacji. Najczęściej selekcjonerami nie są najgłośniejsze i najbardziej rozrywane w piłkarskim biznesie nazwiska. Zwykle to trenerzy, którzy szczyt swojej kariery w prowadzeniu klubów mają już za sobą.

Takich z rodzimego podwórka w Polsce trudno do kadry zatrudnić. I wiadomo dlaczego – polska liga wciąż mocno odbiega od innych. – Jeśli w kadrze grają dziś piłkarze ze świetnych klubów, zarabiający mnóstwo pieniędzy, to jak trener z ligi polskiej, no, oprócz Nawałki, może im zaimponować? – pyta Gmoch. – W związku z tym posucha trenerska polega u nas na tym, że w tej konfiguracji ludzie z naszej Ekstraklasy nie mogą

Sousa musi zostać?



Łukasz Zboralski

Porażki polskich piłkarzy zawsze uruchamiają żądania wymiany selekcjonera kadry. – Nie wolno zmieniać trenerów jak skarpetki – apeluje jednak Jacek Gmoch. I domaga się stworzenia mechanizmu szkolenia rodzimej trenerskiej kadry

Porażki są gorzkie. Zwłaszcza gdy chodzi o piłkę nożną. Mecze reprezentacji urastają u nas zawsze do rangi ważnych narodowych wydarzeń. Głód zwycięstwa w tym sporcie masowym jest nad Wisłą olbrzymi, bo klubowa piłka nie dostarcza zbyt wielu powodów do radości. Dlatego kibicom puszcza nerwy, gdy oglądają tak słabe występy naszej reprezentacji jak te na Euro 2020. W dniu, w którym przegraliśmy „mecze o wszystko” ze Szwecją (2:3), mieszkaniak Kościana wyrzucił telewizor przez okno z trzeciego piętra.

Gdy piłkarze pakowali się i wracali do domu, w Polsce tematem numer jeden było już to, czy należy wymienić selekcjonera reprezentacji. Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że – przynajmniej w publicznej debacie – najprostszym rozwiązaniem wydaje się za każdym razem znalezienie „lepszego” trenera. Trochę te zapatrywania można rozumieć, gdy ma się w kadrze najlepszego piłkarza świata i innych świetnych zawodników grają-

cych w renomowanych zagranicznych klubach, a jednocześnie reprezentacja grać i wygrywać nie umie.

Pojawiły się już więc publiczne wezwania do wymiany trenera. Michał Kołodziejczyk, dyrektor Canal+ Sport, wytykał, że Paulo Sousa czarował Polaków słowami pełnymi patosu i odwołaniami do św. Jana Pawła, by skonstatować w tekście na Wp.pl: „Sousa powinien podać się do dymisji. Portugalczyk miał zadanie wyjścia z grupy i planu nie wykonał”.

Zaczął się też wyrzucanie szefowi PZPN, że dokonał takiej zmiany trenera i w takim czasie. Sam Zbigniew Boniek, który twardo stał przy Sousie w trakcie Euro 2020, po odpadnięciu z rozgrywek jakby stracił rezon i zrzucił dalsze decyzje na swojego następcę (w sierpniu kończył się jego kadencja). – Oczywiście chciałbym, żeby Paulo Sousa zawsze wygrywał. Ja widzę, jak on pracuje, co chce zrobić. Widać, że chce tej drużynie dać coś innego. Dziś może nie ma szczęścia, może drużyna nie ma szczęścia. Nie

zaimponować ani zawodnikom, ani nam. To dlatego nasi trenerzy nie mogą konkurować z tymi z zagranicy – przyznaje.

Zdaniem Gmocha jest jeszcze jeden powód tego, że nie powinniśmy mieć pretensji do rodzimych trenerów. Jego zdaniem zawinili ci, którzy trenerów kształcą. – Mam nadzieję, że nowa generacja wygoni te twarze postkomuny, tych wielkich znawców, nauczycieli, profesorów piłki nożnej, którzy są winni takiemu, a nie innemu poziomowi szkolenia polskiego w piłce nożnej – mówi Gmoch. – No bo dlaczego zmarnowaliśmy taki potencjał mistrzostw świata, olimpijskiego medalu? Dlaczego z ogromnej grupy piłkarzy uchowali się tylko Nawałka i Kasperczak, którzy potem mieli wyniki? Kto jeszcze się wybił? – pyta.

POLSKA KARUZELA

Polski pęd do wymiany trenerów mocno kontrastuje czasem z kontraktami selekcjonerów w innych krajach. Prowadzący podczas Euro 2020 Niemców trener Joachim Löw opiekuje się kadrą tego kraju od 2006 r. Niemcy mają więc selekcjonera już 15. rok! (choć oczywiście i u nich emocji po blamażu w MŚ

w 2018 r. nie brakowało i Löw zapowiedział wówczas, że obecne mistrzostwa Europy będą dla niego już ostatnie).

– W przypadku Niemiec zauważę jeszcze jedną rzecz. Przy trenerze kadry zawsze jest dwóch, trzech asystentów. I z tej wybijającej się trójki po odejściu selekcjonera wybiera się następnego – wskazuje Jacek Gmoch. – Tak to działa w Niemczech. I u nas też powinniśmy taki system wprowadzić – postuluje. Legendarny trener dodaje też, że ma wątpliwości, czy w polskiej kadrze każdy selekcjoner przekazywał obiektywne zapisy swojej pracy. Dokumenty, dzięki którym następca miałby wgląd w historię, także w historię błędów, których mógłby unikać.

Nie ma oczywiście jednej metody na wybór selekcjonera. Niektórzy pracują już z kadrą po kilka lat, jak np. Stanisław Czerchesow z Rosją (od 2016 r.). Cztery lata Chorwatów ma pod opieką też Zlatko Dalić (ale trzeba też uczciwie przyznać, że już w kolejnym roku po zatrudnieniu zdobył z drużyną wicemistrzostwo świata). A u nas? Już nie sięgając tak bardzo w przeszłość: Jerzy Engel – dwa lata, Boniek – kilka miesięcy, Leo Beenhakker – trzy lata, Stefan Majewski – kilka miesięcy,

Franciszek Smuda – dwa lata, Waldemar Fornalik – trochę ponad rok, Jerzy Brzęczek – dwa i pół roku. Raczej ewenementem był Adam Nawałka pracujący z kadrą pięć lat (i docierający do ćwierćfinału ME).

Co będzie z Sousa? Nie wiadomo. Jego kontrakt trwa do końca tego roku, czyli do zakończenia eliminacji do mistrzostw świata w Katarze. On sam ma ochotę na dłuższą pracę. – Chciałbym kontynuować ten projekt – powiedział na konferencji po ostatnim meczu podczas Euro 2020.

Kibice i dziennikarze sportowi będą jednak wywierać presję na zmianę. Czy PZPN powinien się ugiąć? – Nie wolno zmieniać trenerów jak skarpetki – oponuje Gmoch. – Błędem byłoby wyrzucić Souś i kogoś szukać. To prawda, Euro 2020 było porażką. Widzę jednak światło w tunelu. Jest możliwość powstania nowej reprezentacji Polski. Widzę fundament, początek tej budowy jest. Jest potencjał. Oczywiście nie jest to jeszcze potencjał na mistrzów, ale jest młode pokolenie, które zaistniało i miało szansę doświadczyć jednej z najlepszych na świecie imprez piłkarskich. Są zawodnicy, mają doświadczenie, trzeba zacząć budować zespół – przekonuje.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

TOMASZ KOT

ATHENA STRATES

88 MINUT

MISTRZOWSKO NARASTAJĄCEGO
NAPIĘCIA

La Cronosfera

NA MOTYWACH POWIEŚCI
KOSMETYKA WROGA
AMÉLIE NOTHOMB

REŻYSERIA KIKE MAILLO

WRÓG
DOSKONAŁY

TYLKO W KINACH OD 2 LIPCA

AKTIVIST MAD KRYZY WPCOŚT lubimyczytać.pl BOOKLIPS.PL HBI CLASS KINOSTART FILMWEB empik GatoNegro MOKATE LOVD

Prawa wyłączeniowe
przez Europę
Europejska
Unia
Kultura

BABA GHANOUSH SEBASTIANA WILCZKA

Baba ghanoush to popularne na Bliskim Wschodzie danie kuchni arabskiej. To pasta na bazie bakłażanu, podawana najczęściej na chlebie pita. W tej wersji przygotowuję się ją na grillu i podaje z tortillą. Rada przed pójściem do warzywniaka: im ciemniejszy kolor bakłażana, tym intensywniejszy smak miąższu. Warto też wybierać mniejsze bakłażany, które nie mają przerosniętych gniazd nasieniowych.

Baba ghanoush z grillowaną tortillą

Składniki:

- 3 bakłażany
- 130 g pasty tahini lub masła orzechowego
- 1 i 1/4 łyżeczki soli
- 3 łyżeczki świeżo wyciśniętego soku z cytryny

- 3 obrane, rozgniecione ząbki czosnku
- szczypta chilli suszonego
- 1 łyżeczka oliwy z oliwek
- garść posiekanych liści pietruszki

Przygotowanie:

Rozgrzej grill. Ponakłuj widelcem każdy bakłażan kilka razy, a następnie włóż na grilla, żeby się mocno ugrillował.

Zdejmij z grilla i ostudź.

Rozkrój bakłażany i łyżką wyjmij miąższ.

Miąższ posiekaj z pozostałymi składnikami.

Dopraw do smaku solą i sokiem z cytryny. Dodaj oliwę, zioła.

Podawaj z grillowaną tortillą pszenną lub pieczywem. ©©

*oprac. raw.
Sebastian Wilczek
jest szefem kuchni.*



FOT. ARCHIWUM SEBASTIANA WILCZKA

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Sweter miły czy niemiły



JOANNA BOJAŃCZYK

Siedzieliśmy na tarasie u przyjaciół. Dzień był rześki, a wieczorem zrobiło się jeszcze chłodniej. Poszłam po sweter: – Nie ma jak wełna – powiedziałam i otuliłam się przyjemną miękkością.

– Wełna? – zdziwił się jeden z panów. – Kto jeszcze nosi wełnę? Wełna gryzie i się filcuje. Ja już dawno nie noszę wełnianych swetrów. Polar jest lepszy: miły, ciepły i praktyczny.

Co mi zostało wobec takiego dictum? Tylko przyznać, że rzeczywiście jego polar jest całkiem ładny, jak na polar oczywiście. Zresztą inni panowie też byli w polarach.

Jednak podjęłam się polemiki, bo znamy bardzo się dziwić, że po ziemi chodzą jeszcze prehistoryczne osobniki w wełnianym swetrze na karku. Postanowiłam podjąć się obrony mego ginącego gatunku w poczuciu, zapewne nieuzasadnionym, że to misja... „Nie tylko to się liczy, żeby sweter był »miły«, tłumaczyłam koledze, ale jakie będzie miał właściwości, jak się będzie zachowywał w praniu, jak długo potrwa. Twój polar wydziela w praniu setki tysięcy mikrocząstek, które razem z wodą z prania spływają do rzek. Łatwo się mechaci i choć istotnie nie uczuła, to jest mało przewiewny i nie tak ciepły jak wełna. Gdy zdejmujesz sweter z akrylu czy bluzę z polaru, włosy stają ci na głowie”.

Tu kolega przeciągnął niepewnie dłonią po swojej łysiej czuprynie, niewiele

tam znajdując włosów w pozycji pionowej... Postanowiłam złożyć broń, choć nie sądzę, żebym go przekonała.

I tak nie mam szans. Podobnie jak naturalne włókna nie mają dzisiaj szans ze sztucznymi.

Jak podaje „Guar-

dian”, połowa ubrań sprzedawanych przez sieciówki wykonana jest z plastiku. Czyli poliestru, akrylu i nylonu. Wyglądają całkiem podobnie do naturalnych. Postęp technologii tkanin sprawił, że nawet wprawne oko nie rozróżni naturalnego od sztucznego. Widziałam kurtkę ze sztucznych norek, którą nawet przy dotknięciu trudno było poznać o plastikowość.

To nie tylko swetry. To cała reszta: koszule, płaszcz, skarpetki, garnitury, buty. Popularność fast fashion spowodowała, że zużycie włókien syntetycznych wytwarzanych z paliw kopalnych podwoiło się w ciągu ostatnich 20 lat. To tanie materiały dla szybkiej mody – powiedziała Josie Warden, współautorka badania. „Tkaniny te mogą być tanie, ale stanowią część gospodarki petrochemicznej, która napędza zmiany klimatyczne i zanieczyszcza środowisko. Produkcja włókien syntetycznych zużywa duże ilości energii”.

Ja to oceniam z punktu widzenia użytkownika, ona patrzy jak ekonomistka. Jedno, co można zrobić, to czytać metki i nie traktować nowego ciucha jak plastikowej jedno-razowej torebki na zakupy. Tyle. ©©



FOT. ANNE STOK



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Kotwica beznadziei

P przed meczem eliminacji mistrzostw Europy w piłkę kopaną pomiędzy Szwecją a Słowacją doszło do nieciekawego incydentu. Polskiemu dziennikarzowi nakazano zderzenie z obudowy komputera naklejki „Powstanie Warszawskie 1944”, symbolu kotwicy Polski Walczącej i flagi polskiej. Po długich negocjacjach okazało się, że flaga polska może zostać, ale pozostałe symbole muszą zostać zdjęte. Chodzi o to, że UEFA nie dopuszcza żadnych... politycznych symboli na stadionach. Polscy dziennikarze ze zdumieniem odkryli, że kotwica Polskiego Państwa Podziemnego znajduje się na liście symboli zakazanych z powodu swojego... rasistowskiego i faszystowskiego przesłania. Symbole te znalazły się na takiej liście z powodu akcji naszych polskich ludzi.

Stowarzyszenie Nigdy Więcej, mające zapobiegać rasizmowi, faszyzmowi i ksenofobii (o zapobieganiu komunizmowi ani słowa, jasne), miało akcję „Wykopmy rasizm ze stadionów” i w ramach tej akcji zgłosiło europejskim władzom piłkarskim listę faszystowsko-rasistowskich symboli, wśród których stowarzyszenie wpisało kotwicę Polski Walczącej. Ciekaw jestem, jak to się Polakom skleja, bo to PW właśnie walczyła z faszyzmem, zaś nic nie wiadomo o rasistowskich inklinacjach Państwa Podziemnego, no, chyba że głównie walczone z Germanami, a to rasizm przecież.

A więc wyszło, żeśmy faszyci, bo znak historyczny nie ma przecież podtekstu współcześnie politycznego, a ten miałby eliminować każdy symbol z trybun. Każdy? Akurat równolegle odbyła się

krótka zadymka, czy niemiecki bramkarz i cała reprezentacja nie powinni być ukarani, że golkeeper miał na rękawie tęczową opaskę w trakcie meczu. Niby podpadało pod to samo (brrr – tu symbol armii podziemnej i tęczaślow w jednym worku?). Ale się wyjaśniło, że to „przecież ludzie, a nie ideologia” (A powstanie to co? ideologia?), i UEFA powiedziała, że nic nie widzi zdrożnego, „tęczowa opaska została uznana za symbol różnorodności, a tym samym dobrą sprawę”. Rozumiem, że powstanie nie zasłużyło się w zbożnym celu różnorodności, zaś „sprawą dobrą” nie było.

Oczywiście to skandal, że można porównywać dwie tak różne rzeczy. W dodatku to ta fantasmagoryjna ma wjazd na stadiony, a nasza sprawa – nie. Od razu pojawiły się propozycje, by Lewandek założył opaskę z kotwicą PW, skoro to pewnie „dobra sprawa”. Przebiły to propozycje, że może jednak nie kotwica, tylko by nasi założyli opaski #germandeathcamps i sprawa by się wyjaśniła. Co prawda niemieckie obozy koncentracyjne to bardziej ideolo niż ludzie (po obu stronach katów i ofiar coraz mniej), ale gdyby nasi mieli cojones, to by tak zrobili. Ale i tak im klaszczemy, że nie klękają, by przeprosić za słynny polski kolonializm (wide: Tokarczuk).

Tak czy siak, trzeba zobaczyć, jak to jest z tym, że Polacy Polakom zgotowali taki los. To znaczy – wpisali kotwicę na listę symboli rasistowsko-faszystowskich. Mechanizm opisałem wyżej, ale zobaczmy, kto zacytował, ci Nigdy Więcej. Popatrzmy na nagrody stowarzyszenia: to, że z jego rąk nagrodę Antyfaszysty Roku otrzymał Simon Mol,

uchodźca, który świadomie zakazał kobiety HIV i nie dożył karnego procesu z tego tytułu, to małe piwo. Zobaczymy, jakie nagrody i od kogo otrzymywało stowarzyszenie: liderzy dostali nagrody m.in. od „Newsweeka” (Społecznik Roku), Polonia Restituta od prezydenta Komorowskiego, honorową odznakę Rzecznika Praw Obywatelskich, medal honorowy Powstanie w Getcie Warszawskim, nagrody im. Sendlerowej za „Naprawianie świata”, za antyrasistowskie działania edukacyjne.

Ciekaw jestem, czy dzieciakom pokazywano kotwicę na takich szkoleniach i w jakim kontekście. Stowarzyszenie współpracuje z Radą Europy, ONZ i OBWE, chciałem popatrzeć, kto je jeszcze finansuje, ale nie miałem czasu albo wiedzy, jak do tego dotrzeć szybko.

Tak czy siak, jak widać, swoje sprawy załatwiamy cudzymi rękoma. I co się potem dzieje, gdy jacyś ignoranci mówią w Brukseli, że w Polsce parady po skrwawionej Warszawie 70 tys. faszystów. Pod hitlerowskimi symbolami kotwicy. Nardziei Polski Walczącej. To właśnie efekt takich „akcji edukacyjnych” naszych bohaterów.

Słabo stoimy w tym międzynarodowym PR. Ichnie tęcze wygrywają z naszym bohaterstwem. Hucpa nadmuchanej opresji mniejszości wygrywa w porównaniu z realnymi milionami ofiar i próbą oporu, za którą płaciliśmy życiem dziadków tych, którzy dzisiaj wkładają tęczowe opaski w nimbie walki o równość. A pomysł podrzucają im „nasi”, obawiam się, że także za naszą kasę. Niżej się chyba nie da upaść. Ale to pewnie sprawa dla sprawnej Polskiej Fundacji Narodowej.

Kurtyna. ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Wakacje bez nawigacji

Bohaterami mojego dzieciństwa byli moi ciocia i wujek. Wujek w ogóle był bohaterem, bo jako dzieciak brał udział w powstaniu czortkowskim. Ale mnie imponowali czym innym: w latach 70. i 80. ubiegłego podróżowali po Europie. Fiatem 125p. Czasem z przyczepą, co jeszcze wzmacniało ich heroizm.

Dziś podróżowanie jest najłatwiejszą rzeczą na świecie, nawet jeśli autorzy blogów próbują nas przekonać, że jest inaczej. Ale wtedy... Może nie było tak heroicznie jak w czasach Magellana i Cooka, ale jednak granice były prawdziwe i solidnie na nich trzepano. Tranzyt przez ZSRG był swego rodzaju wyścigiem, bo jeśli ktoś zboczył z trasy albo przekroczył dozwolony czas, to lądował na Łubiance – tak przynajmniej opowiadano. Zaś na tzw. Zachodzie – który wtedy był i na południu – polska pensja wystarczała dokładnie na to, żeby umrzeć z głodu. Więc trzeba było sobie jakoś radzić, czyli handlować. No ale przede wszystkim w tamtych czasach nie było Google Maps ani nawet pocziwego GPS. Wszędzie jechało się według mapy i drogowskazów – dziś to zapewne umiejętność zupełnie zatracona, o czym świadczą liczne przykłady wjechania do rzek, „bo tak prowadziła nawigacja”.

Zalałem się na jedną wyprawę z wujostwem i odpadnięcie koła z przyczepy w małej rumuńskiej wiosce zawsze będzie jednym z najwspanialszych

przeżyć mojego życia. Wydawało się, że wyprawa jest skończona. Jednak w Rumunii Ceaușescu za papierosy Kent i tabletki biseptolu można było wtedy kupić absolutnie wszystko, ale i bez tych skarbów ludzie, pod których domem „zaparkowaliśmy”, błyskawicznie zorganizowali sprzęt do spawania i zaczęli naprawiać przyczepę. Co ciekawe, prawie identyczna historia przydarzyła nam się w drodze powrotnej w Bułgarii – tyle że odpadło drugie koło. Ale znów nadeszły pomoc oraz bałkańska impreza. Nic dziwnego, że Bałkany do dziś zajmują szczególne miejsce w moim sercu. Chociaż miałem 16 lat i rakiję tylko wahałem z daleka. I tak było cudnie.

Już w „naszych” czasach zdarzyło mi się jeździć po świecie bez GPS (bo za granicą okazało się, że mam oprogramowanie tylko na Polskę) i wiem, że z jednej strony jest to fantastyczna frajda, z drugiej – nie lada wyzwanie. Na przykład w Belgradzie udało mi się dotrzeć do upatrzonego hotelu, trzymając się jedynie planu miasta. W Lizbonie jednak poległem całkowicie i mimo pytania o drogę zaliczyłem wjazd na trasę ekspresową pod prąd. Ale i tak dojechałem z Polski do najdalej na zachód wysuniętego punktu Europy bez nawigacji. Przez całą Europę. Wnułkom będę opowiadał!

A moja ciocia i wujek jeździli bez GPS po Stambule. I to z przyczepą. To byli kozacy! ©©



MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Ignoranci z Czerskiej

Małgośka – mówią mi – nudzisz z tą Hiszpanią. – My tu mamy własne podwórko, a 90 proc. twoich czytelników nie postawił stopy na Półwyspie.

Ciężko wzdyham i myślę sobie: „Co ma piernik z Torunia do wiatraka z La Manchy” (taki byłby tytuł mojego wykładu dla sceptyków). Po czym odpalam sobie jakąś niedawną konferencję Michnika, gdzie mówi: „Ale dla mnie Hiszpania była od wielu lat takim miejscem, gdzie trzeba było oglądać i wyciągać z tego wnioski”. My wszyscy w Polsce z tej nieszczęsnej La Transición, którą zachwycił się Michnik, bo ją opacznie rozumiał i wdrażał po swojemu. A że Michnik swego czasu uwiódł elity intelektualne Polski – no to jesteśmy, gdzie jesteśmy. To jednak temat na oddzielny, długi esej. Tymczasem wsadzanie głowy w nurty zdarzeń obu krajów daje do ręki niebywałą broń – jesteś wielokrotnie bardziej odporny na propagandę lewicy, ponieważ codziennie konfrontujesz się z innym przekazem na ten sam temat. Weźmy np. takie banialuki Ziemowita Szčerka w ostatnim felietonie „GW”. Rzecz zupełnie niewarta uwagi, gdyby nie kaskady bzdur wynikających z ignorancji. Jeśli Dudę na szczycie NATO spotkało „ostateczne upokorzenie”, to znak, że autor nie ma bladego pojęcia, jak wygląda „ostateczne upokorzenie” w wykonaniu Bidena, i to

względem najbardziej progresistowskiego szefa najbardziej LGBTQI+ friendly kraju w Europie – Hiszpanii. Więc cała ta narracja, że trzeba „podzielać wartości Zachodu”, aby ze stołu pańskiego Bidena kapnęło nieco więcej uwagi dla Polski, jest funta kłaków warta. Przodkowie Dudy nie odkryli Ameryki, a dolar nie był naszą walutą. Porównywać więc naszych relacji nie ma sensu, a mimo to prezydent Duda zasłużył na nieporównanie więcej uwagi niż premier Sánchez. Mało tego, Hiszpanie od 10 dni tarzają się ze śmiechu, znając kulisy „spotkania”, o którym dumnie donosił rząd hiszpański, a które... nie zaistniało ani w agendzie Białego Domu, ani w rzeczywistości. Jedyne „spotkanie”, o którym wiadomo, było doskokiem i wyrównaniem kroku premiera Sáncheza z amerykańskim prezydentem w drodze na grupowe zdjęcie członków NATO i trwało – uwaga! – aż 29 sekund! Problem w tym, że Biden nie miał nawet ochoty podnieść wzroku na intruza, a sam Sánchez finalnie nie załapał się nawet do grupowego zdjęcia. To jednak nie koniec blamażu hiszpańskiego przywódcy, bo na konferencji prasowej opowiedział rodakom, jak wiele kwestii poruszonych zostało na rzekomym dwustronnym spotkaniu z Bidenem. Doprawdy nic tak nie łączy lewicy polskiej i hiszpańskiej jak chroniczny pociąg do kłamstwa. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Rozmowy na szczycie **bagnetu**

ANDRZEJ NOWAK

Poprzedni odcinek mojej obecności na tych łamach wzbudził nieoczekiwany rezonans. Na Facebooku żywą dyskusję wywołał mały felieton z „Do Rzeczy”, którego jeszcze mniejszą część poświęciłem fenomenowi tzw. ludowej historii Polski, wystawiającej kolejny akt oskarżenia Polski i tradycji chrześcijańskiej. Wzięli w owej dyskusji udział m.in. prof. Adam Leszczyński (współtwórca owej fali), znani pisarze – Wojciech Orliński, Jacek Dehnel, Piotr Paziński, a także znani historycy – prof. Jan Grabowski i dr Krzysztof Persak, wybitna reżyserka – Agnieszka Holland, były przewodniczący SLD i minister spraw wewnętrznych – Krzysztof Janik, wpływowi redaktorzy portali Onet i Wirtualnej Polski, dziennikarze OKO.press i „Gazety Wyborczej”, do tego jeszcze dobra reprezentacja profesorek i doktorów socjologii, psychologii, kulturologii oraz innych dyscyplin, a także autor „Pancernej brzozy – słownika pravicowej polszczyzny”.

Stworzyli interesujące źródło do poznania naszych czasów. Warto kilka jego fragmentów przytoczyć tutaj. Profesor Leszczyński do Piotra Pazińskiego: „[...] będziesz mi przysyłał paczki, jak cywilizacja życia już odniesie u nas ostateczne zwycięstwo”. Odpowiedź: „Nie, bo

wtenczas będę wisiał”. Uczestnicy dyskusji zastanawiają się następnie, dlaczego Nowak i jemu podobni są „wciąż tacy markotni”. Tłumaczy to ironicznie Piotr Paziński: „Jego [czyli Nowaka – czytaj: PiS] partia rządzi szósty rok, kraj rośnie w siłę, ludziom żyje się dostatniej, Polska jest coraz bardziej Polską, wszystko jest katolickie, a jemu nadal źle.

Wciąż lewacy sypią piach w narodowe tryby, prawnuki kapepowców knują, libki propagują zachowania permissywne, młodzież nie czyta książek, lekceważy starszych, nie szanuje bogów, a w dodatku polskie kobiety nie chcą rodzić dzieci.

A miało być tak pięknie!”. Agnieszka Holland komentuje sentencjonalnie: „Walka klasowa nasila się w miarę zwycięstwa komunizmu. Stary mechanizm!”. A Jacek Dehnel dorzuca inny bon mot: „Wiele można zdziałać bagnetami, ale nie da się na nich siedzieć”. Wojciech Orliński mądrze przestrzega: „Oni wszyscy są teraz na szczycie. To wspaniała sprawa, ale szczyt tak już ma, że wszystkie drogi z niego prowadzą w dół”.

I wreszcie propozycje konstruktywne. Agnieszka Holland przypomina pomysł „żeby nowakiem nazywać uchodźcę”. Krzysztof Persak jest jednak za zdemaskowaniem przeciwnika albo też przerzucą w jego stronę „złoty most” i pisze tak: „Nazwisko Nowak przyjmowali też wychrzczeni Żydzi”. Prof. Grabowski dostrzega pewien skandal i apeluje o jego jak najszybsze zakończenie: „Chciałbym tylko dodać, że prof. A. Nowak jest członkiem Komisji Etyki Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz redaktorem naczelnym »Kwartalnika Historycznego« – arguably najbardziej szacownego pisma polskich historyków. Pozostawiam bez komentarza. Niech się pracujący w Polsce koledzy/koleżanki wypowiadają”. To chyba jest jednak wezwanie do działania?

Widzimy rzeczywistość z różnych punktów. Niektórych widzenie

nie zadowala – wolą rzeczywistość zmieniać. Świadomie nawiązują do dziedzictwa Marksa. Chcą zmieniać świat, który jest dla nich wcieleństwem niesprawiedliwości i ucisku kolejnych grup, z którymi można się utożsamiać. Już, co prawda, nie klasy robotniczej, może bardziej rasy (BLM), orientacji seksualnej, przyrody zagrożonej przez człowieka. Powodów do walki z niesprawiedliwością jest dość. Są wszakże wciąż tacy (jak wyżej wspomniany – siedzący na szczycie bagnetu markotny przechrzta), którzy widzą może więcej powodów do wdzięczności wobec ludzkiego świata, którego nie stworzyli, lecz w którym się znaleźli, i z jego dóbr, przez pokolenia pracowicie tworzonych, korzystają. I nie chcą jego zniszczenia.

Moi znakomici polemisci, jeśli dobrze rozumiem, chcą skupić nasz wzrok na cenie owych dóbr – na krwi i pocie przelanym przez pokolenia ofiar. Chcą obciążyć – innych, nie siebie! – zbiorową odpowiedzialnością za wciąż odkrywane zbrodnie z przeszłości: przeciw chłopom pańszczyźnianym, osobom niebinarnym, wilkom zamienionym w pożalowania godne psy, dziewiczym niegdyś puszczołom... Czy na tym ma polegać emancypacja? I czy jest możliwa rozmowa z emancypator(k)ami? Czy tylko pozostaje walka, by jednak nie dać się wyemancypować z polskości, z chrześcijaństwa, z tego, co uważam za swój dom?

Inga Iwasiów, profesorka Uniwersytetu Szczecińskiego, w niedawnej rozmowie z „Gazetą Wyborczą” zauważyła: „Dziś w centrum zainteresowania młodych lewicowców nie jest człowiek porzucony przez system, ale oni sami – lewicowy projekt empatii zamienia się w akt cenzury cudzej postawy”. Lepiej bym tego nie ujął. Nie jestem tylko pewien, czy chodzi wyłącznie o lewicowców młodych. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



BEZ GACI



FOTO: W. CIEPROWSKI / LIT / ARODZAWY SOSNO

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jest taki prosty sposób na spędzanie większej liczby facetów, gdy was jest kilku, a zatrzymaliście kilkunastu lub więcej, i trzeba ich stopniowo związać lub przeszukać, a jednocześnie nie chcesz, by w tym czasie reszta uciekła. Każesz tym wszystkim zatrzymanym ustawić się twarzą do ściany lub do autobusu, którym jechali, a potem mają sięgnąć spodnie do kostek. Gdy jest ich naprawdę wielu, a was niewielu, wówczas każesz opuścić spodnie razem z gaciami. To dlatego, że ludzie bez gaci mają dużo mniej ochoty do uciekania. Wolą się raczej zastrzelić.

Spodnie spuszczone do kostek to nie są mocne pęta, ale na jakiś czas wystarczy. Nie da się biec ze spuszczonymi spodniami, bo się człowiek wywali już na starcie.

Ten sposób stosują patrole w Ameryce Południowej, gdy zatrzymują do kontroli jakiegoś chicken busa w górach np. w Kolumbii. I patrol może być rządowy lub ten drugi, czyli guerilla.

Stałem tak z gaciami w dół wiele razy, a ręce trzymałem wysoko nad głową oparte o blachę autobusu.

Tak właśnie wyglądamy teraz w oczach Putina, po niedawnym szczycie NATO. Rozbiliśmy się sami, sami sobie zdjęliśmy gacie i tak stoimy bezbronnie z gołym tyłkiem.

Najpierw Biden powiedział publicznie, że największym zagrożeniem w tej chwili są zmiany klimatyczne. Powiedział to do amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Europie w ramach NATO. Potem powtórzył to samo na zebraniu przywódców państw sojuszniczych i... NIKT NIE ZAPRZECZYŁ! Czyli wszyscy się zgadzają. Nikt nie wystąpił z tezą przeciwną, że może jednak grozi nam nie klimat, tylko... Iran, Korea, Kim, Hamas oraz ogromne arsenały nuklearne Rosji i Chin – nikt nie powiedział głośno, że sojusz obronny NATO nie powinien się skupiać na klimacie, lecz trzymać oko na celowniku, a palec na spuście.

Prezydent Duda zgodził się z tezami Bidena słowo w słowo, w trakcie osobistego

spotkania. Jaki to niesie przekaz dla polskich żołnierzy wystawianych na śmierć w takich miejscach jak Afganistan? Po cholerę tam są? Mają strzelać do wroga czy może powinni zbierać plastikowe butelki i ochraniać klimat?

Nawet brytyjski Borys kiwał głową ze zrozumieniem. Ten sam Borys, który doskonale pamięta (bo uczył się tego w podstawówce) sławne przemówienie z 4 czerwca 1940 r., gdy Winston Churchill powiedział, że nigdy się nie poddamy i będziemy bronić na plażach, na polach i na ulicach, aż Ameryka przyjdzie na pomoc Staremu Światu.

Tamto przemówienie stanowiło podwaliny dla późniejszego NATO – koncepcja sojuszu obronnego ponad Atlantykiem.

Churchill przemawiał po ogromnej klęsce, jaką była Dunkierka. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny stracił 68 tys. żołnierzy, do Wielkiej Brytanii udało się ewakuować 338 tys. wojska, ale bez sprzętu. Czym więc mieli walczyć? Czym mieli się bronić na plażach, na polach i wzgórzach, na ulicach? Zostali w samych gaciach.

Brytyjskie społeczeństwo było przed drugą wojną światową uzbrojone za pomocą ustawodawstwa z lat 1920 i 1937. W prywatnych rękach zostały im tylko fuzje na bażanty. W roku 1940 z pomocą przyszli Amerykanie, którzy zorganizowali zbiórkę PRYWATNEJ broni w USA i jej wysyłkę na Wyspy. Ale to wtedy, a dziś?

Znowu stoimy w samych gaciach. Powszechna służba wojskowa (czyli szkolenie ze strzelania) nie istnieje, broń w domu posiadają wybrańcy i najbardziej uparci, czyli

gdyby trzeba było stanąć do obrony naszych plaż i ulic, to nikt nie umie strzelać, bo takie mamy przepisy.

Sąd w Zgorzelcu skazał emerytowanego wojskowego, weterana z Iraku, za nielegalne posiadanie broni. Co to w ogóle znaczy? Co to za granda, by wymagać kursów i zezwoleń od kogoś, kto spędził 20 lat w wojsku i walczył na prawdziwej wojnie, gdzie był strzelcem ciężkiego karabinu maszynowego? Stoimy ze spuszczonymi gaciami, mówię Państwu. A siła obronna NATO jest grą pozorów.

Ten emerytowany żołnierz prowadził firmę ochroniarską i zakupił LEGALNĄ BEZ ZEZWOLENIA broń hukową. Sąd się na broni nie zna, więc skazał jak za posiadanie broni prawdziwej i ostrej. I co możemy zrobić sędziemu? Jajco, czyli nic.

Istnieje podział władzy na trzy: ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Każda z nich powinna trzymać pozostałe w szachu – na tym polega równowaga władzy w zdrowym państwie. Ale przede wszystkim to Naród powinien trzymać władzę w szachu i dlatego wymyślono wybory i ograniczoną liczbę kadencji. Z tym że powinniśmy wybierać całą naszą władzę, nie tylko kawałek. No i tego u nas nie ma.

Władzę ustawodawczą wybieramy z listy, a na tworzenie listy nie mamy wpływu. Władzę wykonawczą wybieramy jedynie w osobie prezydenta, ale u nas rządzi rząd z premierem i tego już sobie nie wybieramy. A sądowniczą? Powinna pochodzić z całości z wyboru Narodu. I wtedy Naród w kolejnych wyborach pokazałby temu sędziemu ze Zgorzelca drzwi z napisem „WON”. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~711~~ zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

ALINA PETROWA-WASILEWICZ
„URATOWAĆ TYSIĄC ŚWIATÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

311,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 400 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 73413d5b6b



**IGRZYSKA
OLIMPIJSKIE**

Wszyscy, razem z Eneą, wspieramy Polską Reprezentację!

Enea z dumą sponsoruje Polską Reprezentację Olimpijską na Igrzyskach w Tokio. Kibicuj razem ze sprawdzonym dostawcą energii i dziel się sportowymi emocjami! Dziękujemy, że jesteście z nami!

#RazemPoEmocje

enea.pl